

WYDANIE NA BOŻE NARODZENIE – 116 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 51/609 16–26 GRUDNIA 2024
CENA 12,90 zł (w tym 8% VAT)

DO RZECZY

- Czy stany w USA mają więcej wolności niż państwa w UE?
- Dyktat rusofobii, czyli jak się steruje strachem Polaków
- Zagadka sukcesu Krzysztofa Stanisłowskiego i jego Kanału Zero
- Gdzie są groby pierwszych Piastów?

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 46 500 egzemplarzy

Pasjonująca opowieść ks. prof. Waldemara Chrostowskiego

HEROD – OKRUTNY WŁADCA I WIZJONER

PISZA: ZIEMKIEWICZ • CEJROWSKI • SEMKA • WARZECHA • JUREK • MASŁOŃ • ROSZKOWSKI • GOCIEK
ŻEBROWSKI • GMYZ • BOJAŃCZYK • KARWELIS • POSPIESZAŁSKI • WIEROMIEJCZYK • GABRYEL



www.ecrgroup.eu

**WSZYSTKO CO WAŻNE
DLA POLSKI W UE:
AKTUALNOŚCI, KOMENTARZE,
CODZIENNIE NA MOICH KANAŁACH**



@PatrykJakiPL



@PatrykJaki



@PatrykJaki



@patrykjaki_official



@patrykjakiofficial

Patryk Jaki



Niech przyjdzie na świat Chrystus
przyniesie nam ze sobą radość,
pokój, nadzieję i miłość
Wesołych świąt Bożego Narodzenia
w rodzinnym gronie

życzy Redakcja „Do Rzeczy”

W RZECZY SAMEJ

Tylko właściwi kandydaci



PAWEŁ LISICKI

W Polsce, o dziwo, sprawa anulowania pierwszej tury wyborów prezydenckich przez rumuński Trybunał Konstytucyjny przeszła niemal bez echa. Szkoda. Było to bowiem najpoważniejsze naruszenie reguł demokratycznych od kilkudziesięciu lat.

Oto jak zachodnie media opisywały rumuńskiego kandydata. Podam cytat za Deutsche Welle, które wyrażało powszechny, zachodni, powiedzmy transatlantyki punkt widzenia: „Călin Georgescu – bardzo mało znany kandydat z TikToka o skrajnie prawicowych, prorosyjskich i ezoterycznych poglądach”. Z tych opisów nie dowiedziałem się jednak, którą konkretnie regułę wyborczą złamał pan Georgescu. Czy Rumuni, którzy na niego głosowali, nie wiedzieli, za kim się opowiadają? Wiedzieli. Czy poza TikTokiem mieli prawo do korzystania z innych źródeł informacji? Ależ mieli! Więcej: wszystkie inne kanały tak telewizyjne, jak radiowe i internetowe wspierały jego konkurentów. Czy inni kandydaci nie mogli korzystać z TikToka? Mogli.

Według bliżej nieokreślonego, tajemniczego raportu przygotowanego ponoć przez ukraińskie służby specjalne filmiki na TikToku miały

być przygotowywane przez bliżej nieokreślone siły rosyjskie. Nie wiem, czy tak było. Jednak wiem, że w oparciu o tak niejasne zarzuty można unieważnić wszystkie wybory. Żaden z publicznie dostępnych raportów nie dowodzi też tezy Trybunału, a mianowicie, że dwadzieścia kilka procent głosów, które zdobył pan Georgescu, było wynikiem oglądania TikToka. Gdyby uznać rozumowanie rumuńskich sędziów za poprawne, należałoby pozbawić prawa głosu jedną piątą społeczeństwa, ogłaszając, że są to osoby niepełnosprawne umysłowo.

Ale czy to faktycznie TK podjął decyzję? Zanim ją ogłosił, osobne oświadczenie wydała ambasada USA w Bukareszcie, która wyraziła najwyższe zaniepokojenie przebiegiem pierwszej tury. Złowrogo zabrzmiały słowa, że zmiana rumuńskiej polityki zagranicznej „będzie miała poważny, negatywny wpływ na współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa USA z Rumunią”. Dodatkową pogroźką była zapowiedź wstrzymania amerykańskich inwestycji. Georgescu zdążył zapowiedzieć, że jeśli wygra wybory, to „zablokuje dalszy eksport ukraińskiego zboża przez Rumunię i dalszą pomoc wojskową dla Kijowa”. Czy według USA naród rumuński

ma prawo do takiej decyzji czy nie? Wygląda na to, że nie, co sugeruje kolejne oświadczenie, tym razem Departamentu Stanu USA już po unieważnieniu pierwszej tury.

W prawdziwie orwellowskim stylu Mark Miller powiedział: „Rumuni muszą mieć pewność, że ich wybory odzwierciedlają demokratyczną wolę narodu rumuńskiego i są wolne od wrogich, obcych wpływów mających na celu podważenie uczciwości wyborów [...]”. Stany Zjednoczone potwierdzają nasze zaufanie do demokratycznych instytucji i procesów Rumunii, w tym dochodzeń w sprawie obcych wpływów”. Być może coś mi umknęło, ale z oświadczeń amerykańskich wynika, że obce wpływy, o których mowa, to nie są wpływy USA i ich sojuszników. Czy Rumunia została, nie wiedząc o tym, stanem USA?

Tym, co w całej sprawie najbardziej mnie niepokoi, jest możliwy wpływ łamania zasady demokratycznej w Rumunii na inne państwa Europy, w tym na Polskę. W tym kontekście wyjątkowo osobliwie brzmiały słowa ministra Tomasza Siemoniaka, który komentując sytuację w Rumunii, wspominał o takiej zmianie prawa, która uniemożliwi zwycięstwo nieodpowiedniego kandydata na prezydenta w Polsce. ©



TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA
Z KS. PROF. WALDEMAREM CHROSTOWSKIM
HEROD KIEDYŚ, IZRAEL DZIŚ...
O okrucieństwie i rozmachu króla Heroda

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ALFABET GŁUPICH MĄDROŚCI
Prawdy objawione salonu

26 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
**JAROSŁAW KACZYŃSKI
POSTAWIŁ NA MŁODYCH**

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
SELF-MADE „STANO”

33 PIOTR SEMKA
JEDYNA TAKA SALA

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
SPRAWY BEZ ODPOWIEDZI

39 RADOŚLAW WOJTAS
PAŁAC ALBO NIC

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
Z KOPYTA ZAPRZĘG RWIE
Malarstwo Józefa Chełmońskiego

45 PIOTR GOCIEK
W OGRODZIE DOBRA I ZŁA

48 TOMASZ ZAPET
**HOLLYWOODZKA KARIERA
KASKADERA Z POLSKI**

51 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARD – OLEK GROTOWSKI

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 MARCIN SKALSKI
**RUSOFOBIA.
JAK STERUJĄ STRACHEM POLAKÓW**
Stosunki polsko-rosyjskie

60 ŁUKASZ WARZECHA
**SZABELKIZM
SZKODZI POLSCE**

62 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
PRZED KIM ZWINĄĆ CZERWONY DYWAN?

64 ROZMOWA
Z PROF. ADAMEM WIELOMSKIM
ŚWIADOME UŚMIERCANIE ZACHODU

HISTORIA

68 JACEK KOMUDA
**ŚLADAMI GROBÓW
PIERWSZYCH PIASTÓW**
Historyczne miejsca pochówku

72 PAWEŁ CHMIELEWSKI
**CZAS ZATRZYMAĆ
OCZERNIANIE
HISTORII KOŚCIOŁA**

76 ŁUKASZ CZARNECKI
SAMURAJ Z FERAJNY

ŚWIAT

80 WITOLD REPETOWICZ
TYRAN I JEGO UPADEK
To koniec rodziny Asadów

84 ROZMOWA Z KAROLEM MAZUREM
**CZY POLSKA JEST JESZCZE PAŃSTWEM
CZY JUŻ TYLKO PROWINCJĄ UE?**

87 MACIEJ PIECZYŃSKI
OFENSywa Z-LITERATURY

90 TERESA STYLIŃSKA
**ODSZKODOWANIA
ZA NIEWOLNICTWO?**

EKONOMIA

94 AGNIESZKA COUDERQ
**CHIŃSKO-ZACHODNIE GRZECHY
GOSPODARCZE**
Przyganiał kocioł garnkowi

98 MARIUSZ JAGÓRA
**REWOLUCJA ZDROWOTNA
KENNEDY'EGO**

KUCHNIA I OBYCZAJE

102 JOANNA BOJAŃCZYK
OPOWIEŚĆ DLA KUCHAREK
Ewolucje na stole

106 Cezary GMYZ
ODA MIŁOSNA DO KARPIA



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W Kaiser-Wilhelm-Gedächtniskirche **pusto**

Berliński Breitscheidplatz przed świętami to miejsce wyjątkowo symboliczne. Wszystkie okoliczne ulice: Kantstrasse, Budapeststrasse i Tauenzienstrasse to rzędy sklepów – świątyni rozbuchanego konsumeryzmu. A w środku tego zakupowego rauszu – tradycyjny niemiecki Weihnachtsmarkt – bożenarodzeniowy jarmark. W 2016 r. w tłum odwiedzających jarmark wjechała ciężarówka z terrorystami, zabijając 12 osób i raniąc od 49 do 56 osób. Od tego czasu jarmark otacza fortyfikacja z betonowych bloków i dużych worów wypełnionych ziemią. Policja z ostrą bronią, kołеды z głośników i zapach grzanego wina. Jakby mało było tej upiornej mieszanki gwiazdkowej idylli i lęku przed terrorem, pośrodku placu wznoszą się ruiny nieodbudowanego po wojnie Kaiser-Wilhelm-Gedächtniskirche – kościoła pamięci cesarza Wilhelma.

Wystarczy przejść parę kroków, pchnąć masywne drzwi, by zanurzyć się w ciszy i pustce. Zawsze gdy tu jestem, przyciąga mnie Madonna Stalingradzka. W noc Bożego Narodzenia w grudniu 1942 r. żołnierze niemieckiej 6. armii feldmarszałka Friedricha von Paulusa stracili już nadzieję na wyrwanie się z sowieckiego „kotła”. Jednym z nich był lekarz szpitalny i pastor protestancki Kurt Reuber. Całe dni asystował przy agonii tych, którzy umierali od ran, zimna, brudu i rozpacz. Gdy wreszcie miał chwilę oddechu w wigilijną noc, w odruchu natchnienia naszkicował na odwrocie mapy sztabowej wizerunek Madonny tulącej swoje dziecko przed zimnem. Biała przestrzeń odwrotu mapy wygląda jak śnieg, na którym spoczywały bose stopy Bożej Matki. Nazajutrz spotkał kolegę, który dostał miejsce w samolocie ewakuacyjnym, i poprosił o przekazanie małowiłda rodzinie. Gdy trafił potem do niewoli, zmarł na tyfus

w sowieckim łagrze 20 stycznia 1944 r.

Gdy siedzę w twardej ławce i przyglądam się temu dramatycznemu świadectwu ludzkiej nędzy i opuszczenia, przychodzi mi na myśl smutna refleksja. Człowiek musi znaleźć się w ślepym zaułku nędzy, strachu i poniżenia, by szukać ratunku w myśli o sacrum. A gdy tylko dostatek i powodzenie oddalają strach przed śmiercią, myśl o Bogu się oddala. I wtedy tylko takie pamiątki jak Madonna Stalingradzka przypominają, że zło zaczęło się od odwracania wzroku od sacrum. Hitler, który wysłał swoich żołnierzy nad Wołgę w rauszu imperialnego myślenia, Boga się nie bał. Był pełen zadufania, nawet gdy jego samego los rzucił na dno upadku w berlińskim bunkrze. Zastanawiam się, ilu z zakupowiczów z okolic zagląda do tej cichej kaplicy. Chyba niezbyt wielu. Na Breitscheidplatz tłumy, ale w kościele jest pustawo. ©©



W SKLEPACH ŻNÓW CORAZ DROŻEJ

W listopadzie ceny we wszystkich z 17 badanych kategorii poszybowały w górę. Najmocniej podrożały warzywa (aż o 16,6 proc. rok do roku), artykuły tłuszczowe (10,4 proc.) oraz słodczyce i desery (o 10,2 proc.) – wynika z najnowszego raportu UCE RESEARCH i Uniwersytetu WSB Merito. Według badaczy średnio ceny w ubiegłym miesiącu wzrosły o 5,5 proc. w skali roku. Dla porównania: w październiku wzrost wynosił 5,4 proc., a we wrześniu 4,9 proc. rok do roku. (jap)

©©

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Roratnie pospolite poruszenie

*Droga Redakcjo!
Cały rok czekamy na roraty. Uczestniczymy w nich z dorastającą już młodzieżą, wcześniej dziećmi, w kościele Najświętszego Serca Jezusa w Lublinie. Przed świtem, przed 6.30, w ciemnościach świątyni przybywa ludzi, a w okolicach kościoła już nie zaparkujesz. Suną seniorzy i głównie rodzice z dziećmi od całkiem malutkich w wózkach po dorastającą młodzież z plecakami.*

Prawie każde dziecko z lampionem i ozdobą choinkową w rączkach. Ozdobę, zwykle niezdarnie podpisaną, trzeba zanieść pod ołtarz, skąd po mszy kapłan losuje dziecko, które dziś zabierze figurkę Matki Bożej lub św. Józefa do domu. Jeśli wygrasz, to jutro też musisz przed świtem wstać, żeby figurkę oddać i postawić na ołtarzu. Wszystkie ozdoby trafiają do jednej puli losowania głównego w dniu Wigilii. Kto wtedy wylosuje, zabiera Matkę Bożą lub św. Józefa do domu na zawsze. Te wyjątkowe przepiękne Msze św. w ciemności z pielgrzymką figurki po domach działają na wyobraźnię dziecięcą i przy-

ciągają do kościoła. Dzieci jest masa, co roku więcej. Jest to kościół tętniący życiem, młody, a czasem bardzo malutki, dynamiczny, żywy, głośny, radosny, a o tej porze również głodny. W salce parafialnej proboszcz zaprasza na śniadanie, które przygotowują każdego dnia poszczególne wspólnoty. Kanapki znikają, jeszcze łyk herbaty, pytania, kiedy wreszcie spadnie śnieg, i dzieciaki ruszają do szkół. Pachnie świeżą kawą (dla rodziców) i nadzieją na dobry dzień.

Piszę o naszym pospolitym roratnim poruszeniu po to, żeby nie pokazywać tylko tłumów pod centrami handlowymi i kolejek do kas. Na przekór świętym konsumpcjonizmowi i ideologiom upychanym do szkół, a często pod ich bokiem kielkuje młody, nowy, zaan-gażowany Kościół. Wielka to zasługa rodziców, na których bierność tyle się narzeka, oraz dobrych uważnych kapłanów. Życzę Pięknego Adwentowego Oczekiwania!

Anna Teleon, Lublin

REKLAMA

Kondolencje

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci Pana Ryszarda Bosaka, ojca Pana Pośła Krzysztofa Bosaka.

Składam Rodzinie najszczerze wyrazy współczucia i wsparcia w tych trudnych chwilach.

Polecam w modlitwie Zmarłego i pogrążonych w żałobie Jego Bliskich.

Niech Matka Boża, Pocieszycielka Strapionych, wspiera Całą Rodzinę w przeżywaniu tej straty i prowadzi ku pocieszeniu serc.

Wieczne odpoczywanie racz Mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj Mu świeci, niech odpoczywa w pokoju wiecznym. Amen.

Grzegorz Braun

Polski Poseł do Parlamentu Europejskiego



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cusić (Bruksela), Tomasz Łukiniernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamedki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Palkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz, Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyska, Małgorzata Puzyn, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubryka-Wemerowska, Agata Błaszczak-Stefaniak**

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzedzi@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, <https://subskrypcja.dorzeczy.pl/>

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl, www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska <https://prenumerata.poczta-polska.pl/>

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

SKANDALIŚCI II RP



Ekscesy polskich gwiazd – alkohol łat się tu strumieniami, a rzadkie przypadki abstynencji tylko potwierdzały regułę. Elity artystyczne przedwojennej Polski szokowały swoimi ekscesami

Pożary serc – w obozie piłsudczykowski pełno było skandali obyczajowych, zaczynając od samego Marszałka, który miał spore doświadczenie w zarządzaniu równoległymi związkami

Czarni przeciw czarnym – gdyby nie współpraca afrykańskich pośredników z handlarzami z Europy, nigdy tak wielu ludzi zakutych w kajdany nie trafiłoby za Ocean Atlantycki

Poszukiwanie arcydzieł Matejki – latem 1945 r. grupa polskich muzealników przemierzała ówczesny polski Dzik Zachód wśród sowieckich maruderów i niedobitków z Wehrwofu

Drakula na tronie – życia Włada Palownika nie trzeba już niczym ubarwiać. Prawdziwa historia krwawego hospodara przeraża bardziej niż gotyckie opowieści o wampirach

Najdziwniejsza wojna świata – wysłanie wojsk na drugi kraniec świata wiązało się z wielkim ryzykiem, ale Margaret Thatcher nie mogła opuścić mieszkańców Falklandów

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Gang Olsena wrócił

Nawet sędzia Igor Tuleya, którego trudno doprawdy podejrzewać o sympatię wobec PiS czy Suwerennej Polski, przyznał publicznie w Radiu TOK FM – i było to już kilka miesięcy temu – że prokuratorski wniosek o areszt dla Marcina Romanowskiego nie ma żadnego sensu. Inna sprawa, że było to bodaj ostatnie zaproszenie Tuleyi do propeowskich mediów. Rewolucja, jak ma w zwyczaju, pożarła kolejne swoje dziecko. Miejsce Tuleyów, za bardzo wierzących w głoszone ideały, zajęli „nasi sędziowie” (określenie Rafała Trzaskowskiego), którzy lepiej rozumieją, z której strony chlebek jest w „demokracji walczącej” posmarowany.

Nie zmienia to faktu, że areszt pozostaje pozbawiony sensu, i to jeszcze bardziej niż wtedy, gdy mówił o nim Tuleya – bo sąd nakazał już wypuszczenie innych aresztowanych w tej samej sprawie osób. Jedynymi powodami prześladowania byłego wiceministra są zwykła złośliwa chęć zemsty i ułagodzenie Donalda Tuska, by już się na bodnarowców nie wściekał, że słabo sobie radzą z rozliczeniami. Mieliśmy już areszty „wzrosty”, ale tu już nawet nie ma nic do wydobycia, czego by „śledczy” nie wiedzieli – to areszt prywatny, mający zaspokoić emocje „wodza” i „żelaznego elektoratu”.

Wpisuje się to w szczególną cechę tej „dyktatury patalichów”, którą jest stwarzanie pozorów

działania bez wypełnienia ich jakąkolwiek treścią. Z hukiem i przytupem doprowadzić świadka przed komisję śledczą, a nie zastanowić się wcześniej, czy w ogóle ma się do niego jakieś pytania. Odpalić wielką konwencję wyborczą, na której kandydat odstawia ogólny bonzur, pokazując, że jedyną koncepcją jego kampanii jest on sam. Wleźć po bandycku do państwowej telewizji i przejąć ją brutalnie, by potem miesiącami zastanawiać się, co by tu w niej pokazywać...

Kiedyś, jeszcze za poprzednich rządów PO, mówiłem, że mam o nich dwie wiadomości: dobrą i złą. Zła – że to gangsterzy, dobra – że gang Olsena. Po latach widać, jak bardzo miałem rację i jak coraz bardziej. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Confiteor wiceprezydenta

Na Ewangelię lubią się powoływać wszyscy. Jedni, bo konfrontują z nią swoje przekonania i chcą się upewnić, czy są zgodne z powszechną Prawdą. Inni, bo chcą Ewangelię przeciwstawić Kościołowi – zarówno temu, który naucza, jak i temu, który żyje w społeczeństwie.

Ale kto lepiej słyszy Kazanie na Górze? Prawica czy lewica? Prawica chce państwa, które będzie reprezentować cichych i ubogich duchem – tych, którym brak demokratycznego tupetu w upominaniu się o swoje. Lewica twierdzi, że faknie i pragnie dla nich sprawiedliwości, więc poprowadzi ich, by ją sobie sami

wzięli. Ale kto w swej intencji jest czystego serca?

Myślałem o tym, czytając w magazynie „Wszystko Co Najważniejsze” confiteor wiceprezydenta elekta J.D. Vance’a „o tym, jak został katolikiem”. Vance opowiada, jak pisanie „Elegii dla bidoków” stało się dlań podróżą nie tylko wstecz, lecz także w głąb. Myśląc o niedoli górali z Apalachów uświadomił sobie „bezdusznosc” dyskursu ekonomicznej „prawicy”, która rozprawia o indywidualnej odpowiedzialności, nie przejmując się już tym, w jak wielką przepaść spadają ludzie, którzy nie potrafili dokonać dobrych wyborów. I o lewicy, która wierzy, że wszystko rozwiążą świadczenia społeczne, podczas gdy „najbardziej

destrukcyjne zachowania utrzymywały się, a nawet kwitły w czasach materialnego komfortu”.

Vance dostrzegł, że to katolicyzm ma najgłębszy zmysł dobra wspólnego, najlepiej rozumie naturę ludzką, jej społeczny charakter; uwarunkowany przynależnością, genealogią, warunkami, a jednak zapewniającą człowiekowi wolną wolę. W katolicyzmie właśnie JDV odkrył relacje między nadprzyrodzonym ładem Wszechświata i ładem społecznym narodów. Idąc w głąb, doszedł do punktu, z którego mógł ruszyć wzwyż. Bo tym lepiej chyba słyszymy Kazanie na Górze, im bardziej patrzymy w Górę. Jak pastersze pod Betlejem, gdy usłyszeli „Gloria”. Szczęśliwych świąt! ©©



RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Wykład z praworządności prowadzi Didier Reynders



c e z a r y k r y s z t o p a

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O chciejstwie

We Włoszech postępowcy przyjęli obalenie syryjskiego dyktatora Asada przez bojowców al-Dżaulaniego niemal jak własne zwycięstwo, a wiele mediów zdążyło już pasować zdobycę Damaszku na „islamskiego demokratę”, co jest przepysznym oksymoronem.

„Corriere della Sera”, relacjonując wydarzenia w Syrii, zdaje się sugerować, że po drodze do Damaszku al-Dżaulani nawrócił się jak św. Paweł: nie zabronił odprawiania nabożeństw w chrześcijańskich kościołach, toleruje kolorowe stroje, palenie na ulicy, pozwala kobietom prowadzić auta, nie morduje masowo dostojników i siepaczy Asada. Co więcej, gdy rebelianci wdarli się do włoskiej ambasady, nie zabili

ambasadora i nie zrobili krzywdy karabinierom, tylko ukradli trzy samochody. Alleluja! Opowieść bawi niezamierzonym komizmem i nieodparcie kojarzy się z „Opowiadaniem o Leninie” Michaiła Zoszczenki.

A przecież al-Dżaulani to islamista pełną gębą z krwią na rękach. Figuruje na listach bardzo groźnych terrorystów. Na terytoriach, które kontrolował, przeprowadzane były egzekucje za kradzież, zdradę małżeńską czy obrazę proroka. Mało tego. Zapowiedział, że następnym celem po Damaszku jest Jerozolima. Tylko gdzieś tam, jak w prawicowym dzienniku „Libero”, pojawiła się moim zdaniem trafna, choć porażająca konstatacja: „Rzeźnika Asada zastąpili podrzynacze gardeł”.

Historia zachodniej ślepoty i złudzeń co do islamu jest długa i obawiam się, że właśnie powstaje jej nowy rozdział. Na własne oczy widziałem, jak młodzież w Berlinie Zachodnim cieszyła się z obalenia perskiego szacha (1979 r.). Dziesięć lat później świętowaliśmy rejteradę ruskich z Afganistanu jako wielką wiktorię szlachetnych, dzielnych mudżahe-dinów. Pamiętacie powszechną radość, gdy w Iraku upadł Saddam, a nieco później w Libii płk Kad-dafi? Na podstawie tych doświadczeń trudno żywić nadzieję, że Syria skończy inaczej. Oczywiście można się cieszyć, że arcymorderca Asad już tam nie rządzi.

Swoją drogą, rzeźnik miał szczęście. Uciekł do ruskich i jest wśród swoich. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

DIWA NA EMIGRACJI

Luna Wielgomas, ps. Luna, reprezentowała Polskę na tegorocznym konkursie Eurowizji, jednak widzowie nie poznali się na jej talencie. Piosenka „Tower” nie dostała się nawet do finału, a o Lunie zrobiło się dość cicho. Wokalistka zapowiedziała jednak ogólnoeuropejską trasę koncertową, która stanowi tylko jeden z ważnych, nowych etapów w jej życiu. Zdecydowała bowiem o wyprawie do Polski – jeszcze w grudniu zamieszka w Londynie. Nasz kraj jest dla niej zbyt ciasny. – W tej chwili więcej jest mnie w Londynie i będzie mnie tam jeszcze więcej, bo właśnie się przenoszę do Londynu, jeszcze w grudniu. Więc oczywiście będę dzielić moje życie pomiędzy Warszawę a Londyn, ale tam będę częściej. Będę się przygotowywać po prostu do nadchodzących koncertów i tam będzie moja baza. Mam tam też cały team wspaniałych ludzi kreatywnych, z którymi tworzę i dalej pracuję

nad muzyką i nad moją przyszłością – zapowiada w rozmowie z Radiem Eska. – Mam tam dużo większy spokój tworzenia i jakoś to miejsce bardzo mnie inspiruje. I czuję, że moja kreatywność jest tam naprawdę nieograniczona – wyjaśniła Luna. – Na ten moment czuję, że ten Londyn mnie wzywa, żeby trochę tam pobyc i stworzyć kolejny materiał i móc tam się chwilowo rozwijać kreatywnie – dodaje wokalistka. Wielgomas wyznała, że do nowego domu na pewno zabierze dwie bardzo istotne dla niej rzeczy – pianino oraz ulubiony ekspres do kawy. Szerokości, pani Luno!

ZENEK OUT

Złe wieści dla fanów „Sylwestra z Dwójką” czy – jak to było za starych, dobrych czasów Jacka Kurskiego – „Sylwestra Marzeń”. W tym roku impreza odbędzie się nie w Zakopanem, ale w Chorzowie. Na scenie pojawią się takie gwiazdy, jak Michał Szpak, Andrzej Piaseczny, Tatiana Okupnik, Natasza Urbańska, zespoły Afromental oraz Feel. Zabraknie jednak postaci, bez której sylwestrowa zabawa po prostu nie może się udać – Zenka Martyniuka. Gwiazdor disco polo tym razem wystąpi na imprezie Polsatu w Toruniu. Okazuje się, że do Zenka nikt z TVP zaproszenia nie wystosował. – Nie było propozycji z TVP, ja gram z Polsatem, więc już nie mogłbym zagrać z TVP, nawet gdyby zadzwonili. Już dawno było ustalone, że gram z Polsatem – powiedział Martyniuk w rozmowie z Plejadą. Jednocześnie zapewnił, że nie poniesie żadnych strat finansowych w związku z decyzją Telewizji Polskiej. Jak ustaliły media, discopolowiec za występ 31 grudnia życzy sobie 100 tys. zł. – Raczej o stawkach się nie rozmawia, ale to są porównywalne rzeczy – dodał, odnosząc się do płac TVP i Polsatu. Ech, nie ma Kurskiego, nie ma Zenka. Jednak neo-TVP nigdy nie doścignie ideału.

MOŻE BYĆ MIŁO

O ile Zenkowi w życiu zawodowym powodzi się całkiem nieźle, o tyle z prywatnym jest słabiej. Od tygodni

media rozgrzewa afera wokół jego syna i synowej, którzy dogryzają rodzicom w mediach. Przeciw synowi otwarcie wystąpiła Danuta Martyniukowa, która ma już chyba dość niewdzięcznego jedynaka. Nestor rodu milczy, ale otrzymuje wyrazy wsparcia z discopolowego świata – od kolegów, z którymi zasiada w jury talent show „Disco Star”. Ciepłe myśli ku koleźce z branży śle Magdalena Narożna, wokalistka zespołu Piękni i Młodzi.

– Myślę, że to są tak prywatne sprawy... Ja nigdy się nie wypowiadałam na takie tematy. Życzę Zenkowi spokoju, bo wiem, co to znaczy, gdy ktoś uderza w rodzinę. Niezależnie, co by się działo, to to zawsze są dzieci. Ja o swoją córkę zawsze walczyłam do końca, niezależnie, jaką drogą by poszła. Zawsze będę jej matką i tak samo Zenek jest ojcem. Myślę, że po prostu nie powinno się rozdmuchiwać jeszcze bardziej tego tematu – powiedziała, solidaryzując się z Martyniukiem. – Jest takie postrzeżenie, że o nas, jako o osobach publicznych, można wszystko pisać, można obrzucać nas błotem itd., a my też jesteśmy tylko ludźmi. Mamy też jakieś zacisze domowe. Ja nie chciałabym, żeby moja córka czytała jakieś tam komentarze, tym bardziej na swój temat. Staralabym się do tego nie dopuścić. Nie będę więc komentowała. To jest ich prywatna, rodzinna sprawa. Ja życzę Zenkowi i Danusi dużo spokoju – skwitowała. Martyniuk ma po swojej stronie także Marcina Millera z Boys. – Z szacunku do Zenka nie będę o tym opowiadał, ponieważ nigdy nie będę mówił o swojej rodzinie, a tym bardziej o czyjejs. Powiedzmy, że to jego sprawa. Dziwię się tylko, że ludzie to podchwytują i chętnie to oglądają. No, ale takie mamy czasy – stwierdził w rozmowie z Jastrzęb Post. Zapewnił, że Martyniuk jest profesjonalistą, a w pracy zupełnie nie widać, że ma problemy w domu. – Zenek jest tak opanowaną i grzeczną osobą, że potrafi to rozgraniczyć. Być może w domu przeżywa, ale tu ma do wykonania pracę. Może mu pomagamy taką naszą energią, żarciki sobie opowiadamy. Ale on siedzi wyluzowany – ujawnił „boys”. Złośliwego komentarza na koniec nie będzie. ©



FOT. PAVEŁ WODZIŃSKI/FAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, widać, iż od nieco ponad roku w tym kraju żyje się lepiej, iż przeciętny Polak wyda na święta jakoś ok. 1,5 koła, czyli nawet ponad 5 proc. więcej niż w zeszłym roku. Za pomocą skomplikowanych działań arytmetycznych moglibyśmy sprawdzić, jaka to kwota była przed rokiem, ale raz, iż chwilowo nie chce nam się liczyć, a dwa, że w sumie jakie to ma znaczenie, skoro wyraźnie widać, iż jest lepiej.

Marzy nam się przy okazji, iżby okres winter churchingu stał się jeszcze bardziej inkluzywny. Dochodzą do nas niestety głosy z całego kraju, iż w wielu firmach podczas spotkań wigilijnych wciąż kultywowana jest tradycja dzielenia się opłatkiem, a niektórzy nawet śpiewają kolędy.

Tymczasem powinniśmy zadbać o uczucia osób religiosceptycznych, zaprosić ich do wspólnego świecowania zimowych wakacji, wspólnie zaśpiewać jakieś piosenki neutralne światopoglądowo (można też nie śpiewać i to jak najbardziej jest OK) zamiast dzielenia się opłatkiem, można zaproponować jakieś korpoimprezy integracyjne typu „pieczemy gluten free pierniczki” albo zorganizować antykonkurs na najkrótszy łańcuch na choinkę, iżby wreszcie przestać faworyzować tych, którzy mają czegoś więcej.

Pomimo tego, iż stopa życia Polaków ewidentnie wzrosła i jesteśmy w stanie



wydać więcej pieniędzy, to jednak mamy sporo do nadrobienia i przy takich okazjach wyraźnie widać, jak wielkie szkody pis wyrządził naszej zbiorowej mentalności, skoro pomimo roku w Europie nadal nie potrafimy się tak do końca otrząsnąć z pozostałości katofaszystu zawłaszczającego tak ważne aspekty życia jak korpo i Winter Holidays.

Dowiedzieliśmy się niedawno, iż 1 stycznia Polska obejmie Prezydencję w Unii Europejskiej. To wspaniała wiadomość, ale mamy wrażenie, iż niedostatecznie promowana. Wszyscy mamy w pamięci naszą wspaniałą Prezydencję w 2011 r., która była ogromnym sukcesem rządu pana premiera Tuska.

A teraz proszę, mija niemal 14 lat, znów mamy Prezydencję i kto jest i tym razem premierem? No właśnie. Może więc to zamknij raz na zawsze dyskusję o tym, czy Tusk jest naprawdę wpływową postacią w Unii i czy zachodni

przywódcy liczą się z jego zdaniem. Gdyby było inaczej, to czy naprawdę cieszylibyśmy się teraz z nadchodzącej Prezydencji?

Of kors cieszylibyśmy się bardziej, gdyby w całym kraju była atmosfera radosnego oczekiwania, a tymczasem wszyscy wyglądają, jakby bardziej wypatrywali Winter Holidays. Wydaje nam się również, iż PiS swoją agresywną antyunijną retoryką obrzydził nam poprzednią Prezydencję

na tyle, iż teraz trudno nam odczuwać taką dziecięcą radość niż wcześniej. A pokolenie jeszcze młodsze od nas może traktować Prezydencję jako coś normalnego, co nam się należy – i w sumie ma rację.

Wogóle to się przeraził, jak szliśmy rano do korpo, a obok nas szły osobodzieci z pochodniami, tzn. lampionami i szalikami nasuniętymi na twarze. Już myślałem, iż to jakaś neofashystowska bojówka albo młodzieżówka kiboli, ale Nowy z Tarnowa nam wyjaśnił, że to są tylko dzieci, które chodzą na raty – to jakiś churching, tyle że bardzo wcześniej rano.

My tam nie wiemy, na wszelki wypadek bądźcie, kochani, ostrożni, a jakbyście mieli wątpliwości, to informujcie ośrodki monitorowania fashysmu i nienawici czy jak tam się one nazywają. ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Debaty w chlewni

Rafał, jak chcesz wygrać, to musisz być bardziej autentyczny.
Staram się, Donald.

A w tej remizie, do tych strażaków, to o czym mówiłeś?

O widzisz, to jest świetny przykład: o tym, co mi w duszy gra, autentycznie.

Czyli?

No... Wspominałem moje spotkanie z Morinem, tym od „Penser l'Europe”. Trochę im tam opowiadałem o wizji Karola Wiel-

kiego, na koniec wrzuciłem kilka cytatów z manifestu z Ventotene, w oryginale oczywiście...

Brawo, to jesteś cały ty. Tylko z miejscem nie wcelowałeś.

Jutro jadę do chlewni. Planowałem opowiedzieć o debatach z Geremkiem. Myślisz, że to słaby pomysł? ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pluralizm mediów jest fundamentem demokracji”.

MARK BRZEZINSKI, ambasador USA w Polsce, na platformie X o zapowiedzi premiera Donalda Tuska, że telewizja TVN zostanie uznana przez rząd za podmiot strategiczny, żeby w wyniku jej sprzedaży nie stała się medium opozycyjnym

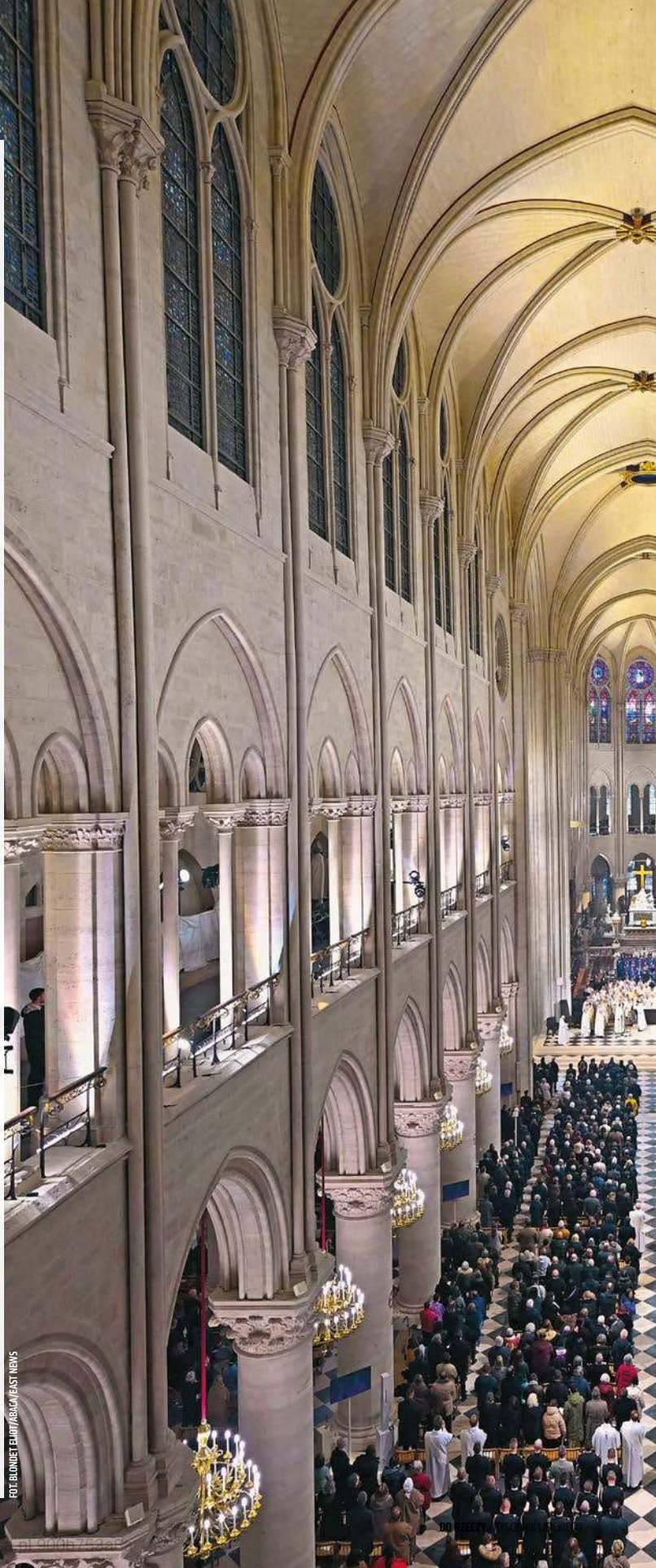
KATEDRA NOTRE DAME ZNÓW OTWARTA

Po nieco ponad 5,5 roku ponownie otwarto wrota odrestaurowanej po pożarze majestatycznej katedry Notre Dame.

„Notre Dame, wzorze wiary, otwórz swoje podwoje, aby zjednoczyć w radości rozproszone dzieci Boże” – rozkazał abp Laurent Ulrich, uderzając w drzwi katedry drewnianą łaską wykonaną z belki stropowej, która przetrwała pożar z 2019 r. Po trzecim wezwaniu arcybiskupa drzwi otworzyły się, a chór zaśpiewał „Totus Tuus” Henryka Mikołaja Góreckiego.

7 grudnia w oficjalnej ceremonii – jednocześnie świeckiej i religijnej – wzięli udział przywódcy państw i rządów, wybitni przedstawiciele świata kultury, niemal 170 biskupów z różnych zakątków globu oraz paryscy strażacy, którzy przed laty uratowali katedrę przed kompletnym zniszczeniem. Nieobecny podczas otwarcia papież Franciszek w liście do zebranych wyraził nadzieję, że „odrodzenie tego wspaniałego kościoła będzie znakiem zapowiadającym odbudowę Kościoła we Francji”. Jeszcze tego samego dnia wieczorem odbyła się zaś pierwsza msza dostępna dla wszystkich, którzy odpowiednio wcześniej zarejestrowali się w Internecie. Szacuje się, że w ciągu roku świątynię odwiedzi 15 mln turystów oraz wiernych z całego świata.

Licząca blisko dziewięć wieków katedra Notre Dame stanęła w ogniu 15 kwietnia 2019 r. W wyniku pożaru zawaliła się wówczas ikoniczna iglica, a drewniana konstrukcja dachu została doszczętnie zniszczona. W kosztującej ponad 760 mln euro odbudowie słynnego kościoła wzięło udział 2 tys. rzeźbiarzy, cieśli, szklarzy, konserwatorów czy specjalistów od renowacji malowideł ściennych. Starannie odbudowano dach, elementy drewnianej konstrukcji, a także przepiękną iglicę. Wnętrze dokładnie oczyszczono, przez co świątynia wydaje się jaśniejsza niż przed pożarem. Do katedry powróciła już również jedna z najcenniejszych relikwii: korona cierniowa Chrystusa. **(jap) ©**



FOT. BLONDET ELIOT/ARCA/EAST NEWS





W świątecznym wydaniu naszej popularnej rubryki tradycyjnie wręczamy prezenty, ale tylko tym, którzy sobie naprawdę zasłużyli. A to nie takie proste, ho, ho, ho! Zaczynamy od najważniejszej osoby w państwie, czyli osoby głowy państwa.

DLA ANDRZEJA SEBASTIANA mamy ważne stanowisko międzynarodowe. A nawet więcej: Ważne Stanowisko Międzynarodowe.

DLA PREZESA NACZELNIKA I SZEREGOWEGO POŚŁA JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO mamy wspaniały prezent: aparat. Jest to aparat partyjny, gdyż wiemy, jak ważna jest dla Naczelnika partia. Ktoś może zapytać, po co mu od nas aparat, skoro już jeden ma. No cóż, różnica w tym, że ten nasz jest sprawny.

DLA SZYMARSZAŁKA HOŁOWNI oczywiście dyplom. Duży, z zawijasami, podpisany przez Michała Koboskę. Treść: „Niniejszym zaświadcza się o ukończeniu przez pana Szymona Hołownię zajęć na uniwersytecie polityki realnej ze stopniem dostatecznym minus”. Jest i list od grona pedagogicznego: „W trosce o zdrowie absolwenta i polityki zalecamy wstrzymanie się od jakichkolwiek działań na niwie tej ostatniej”.

DLA ZŁĘGO DONALDA Z SOPOTU, KSYWA PREMIER, mamy hiszpańską dziewczę. To znaczy, tfu, żelazną dziewczę. Takie narzędzie tortur. Ponieważ nieustannie dyszy żądzą pomsty, to niechże wreszcie otrzyma stosowne instrumenty, więc dorzucimy do tego szczypte i inne takie tam. Żelazna dziewczica ustawiona w piwnicy domu w Sopocie będzie mogła służyć do

rozliczeń księży, PiS-owców, kierowców karetek kupionych z Funduszu Sprawiedliwości – no kogo tam tylko Donald zechce.

DLA WŁADYSŁAWA KOSINIAKA-KAMASZA – stetoskop. Będzie on potrzebny, żeby dokładnie osłuchać pacjenta. Którego pacjenta?

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ano Trzecią Drogę. A czemu osłuchać dokładnie? No trzeba oficjalnie stwierdzić ustanie funkcji życiowych, zanim się wypełni akt zgonu.

DLA PRZEMYSŁAWA CZARNIKA – prezydentura. Na początek jakiegoś dużego miasta, gdzie mógłby pogonić wokeistów. A potem Duży Pałac. Ale to dopiero po dwóch kadencjach Karola Tadeusza.

DLA KAROLA TADEUSZA NAWROCKIEGO mamy różgę. A nawet kilka, wszystkie brzo-zowe. Sportowcy powinni dbać o krążenie, a taką wiązką można się przed treningiem okładać po plecach. Miał dostać rozpoznawalność, bo wszyscy mówią, że mu jej brakuje. Ale to już przeszłość, bo załatwiły mu ją „GazWyby” i Tefaueny. My ze swojej strony powiemy, że lepiej mieć rozpoznawalność zbyt małą niż za dużą. Natomiast gdyby Karol Tadeusz nie chciał różgi, w zapasie mamy poparcie wyborców niezdecydowanych.

DLA RAFCIA TRZASKOWSKIEGO – gumofilce. Chłop odkrył w sobie duszę zwykłego Polaka, niech więc i wygląda stosownie. Następnym razem, jak pójdzie w ramach kampanii na bazarek, to od razu wzbudzi zaufanie. A jak dołoży do tego berecik z antenką, to już w ogóle. Poza tym pomyślcie sami: facet w gumofilcach pijący polskie wino – toż to esencja polskości!

DLA RADKA SKNERUSA SIKORSKIEGO – kukłę Trzaskowskiego, żeby mógł się żywić. Bo kukłę Bronisława Komorowskiego pewnie już dawno temu podarł z wściekłością na kawałki. Mamy dla Radka zresztą cały zapas takich kukieł przedstawiających



różnych polityków PO. Na wypadek gdyby z nimi też przegrał walkę o bycie kandydatem na prezydenta. Właściwie to mamy kukły wszystkich polityków PO, bo Radek taką walkę przegrałby z każdym.

DLA ZBYSZKA ZIZOU ZIOBRY – zdrowie. Po prostu.

DLA BYŁEGO PREMIERA MATEUSZA MORAWIECKIEGO – gazetę „Puls Biznesu”. Jako nowy właściciel mógłby całe numery wypełniać artykułami na temat tego, jak dobry był dla przedsiębiorców Polski Ład. Wielu przedsiębiorców też niecierpliwie czeka, żeby się na ten temat wypowiedzieć.

DLA DANIELA OBAJTKA – radio. Telewizję sam sobie załatwi. I będzie się w niej czuł jak u siebie.

DLA WŁODZIMIERZA CZARZASTEGO – fotel marszałka Sejmu. Bo jak nie dostanie od nas, to nikt inny mu nie da, a już na pewno nie Hołownia z Tuskiem, którzy obiecywali, że będzie to stanowisko rotacyjne.

DLA SŁAWOMIRA MENTZENA – mamy w prezencie Jana Krzysztofa Ardanowskiego. Nie ma to jak wymarzona noga ludowa Konfederacji na Gwiazdkę.

DLA „MINISTRY” EDUKACJI BARBARII NOWACKIEJ – nieznany dwuwiersz Adama Mickiewicza, do pilnej nauki we wszystkich szkołach. Gdyż jest nie tylko piękny, lecz także słuszny. Od razu zamieszczamy go poniżej:

*Tu polactwo z ciemnej wioski
A tu – piękny pan Trzaskowski.*

DLA MARKA JAKUBIAKA – browar. Tęsknimy do czasów, kiedy miał się czym zająć. A teraz tylko polityka i polityka. Nudy. No i – o czym mało kto wie – pędził też Jakubiak w swoim browarze niezłą łyskę. A my lubimy dobre destylaty.

DLA ROMANA GIERTYCHA – farmę trolli. Nowych. Żeby kiedy te nowe pracują, stare trolle miały choć chwilę wolnego w święta.

DLA MINISTRA SPRAWIEDLIWOŚCI ADAMA BODNARA – nic nie mamy w prezencie. Nie trzeba. Przy rozumieniu prawa tak, jak je rozumiemy wraz z Donaldem z Sopotu, to i tak

może sobie zabrać, co tylko zechce. Więc czemu niby mielibyśmy się wysilać?

DLA RYSZARDA PETRU – w prezencie mamy trzech króli. Jak ich dołoży do tych trzech, którzy przychodzą 6 stycznia, to będzie miał już sześciu i wszystko się będzie zgadzało.

DLA MIESZKAŃCÓW MIASTECZKA WILANÓW – lotnisko. Bo mają podobno bardzo daleko do prywatnych odrzutowców. Lotnisko będzie małe, na wypadek gdyby miało obsługiwać tylko helikoptery.

DLA MIESZKAŃCÓW JAGODNA – nowe punkty do głosowania. Żeby nie musieli wszyscy znowu stać w monstrualnych kolejkach jak ostatnio. Na wszelki wypadek obok tych punktów chcemy też otworzyć punkty udzielające chwilówek. To w ramach edukacji obywatelskiej, żeby pokazywać głosującym, jak łatwiej dostrzec przyczynę i skutek.

DLA MARIUSZA BŁASZCZAKA – koreańskie okręty podwodne. Koreańskich czołgów i samolotów nie doczekał z powodu utraty władzy i resortu, ale przecież nic nie trwa wiecznie, więc kiedyś do resortu obrony wróci. W tym czasie może zajmować się w ukryciu okrętami podwodnymi. Które naprawdę łatwo ukryć – np. pod wodą.

DLA TELEWIZJI REPUBLIKA – pomysł na specjalną serię pluszaków. Zainspirował nas zarówno Repuś, czyli aktualna maskotka stacji, jak i wprowadzane z sukcesem przez różne sieci dyskontów rozmaite pluszowe gangi. Oto nasz pomysł: seria zabawek Gang Prawaków. Do wykorzystania pod jednym warunkiem – że obok Sakiewiaka, Rachoniaka i Ziemkiewiaka w serii znajdą się też Gmyziak i Gociak. Zbierz je wszystkie!

DLA MARCINA KIERWIŃSKIEGO, pełnomocnika rządu do spraw powodzi – ferie w Kotlinie Kłodzkiej. Ludzie tam serdeczni, gościnni, uczynni. Przyjmą go z radością pod swój dach. To znaczy ci, którzy mają dach.

DLA POŚŁA WITOLDA ZEMBACZYŃSKIEGO – praworządne masło. Jest to takie masło, na którego cenę wpłynie praworządny prezydent. Obecnie wszyscy jemy, niestety,

masło niepraworządne. W dodatku bardzo drogie. Masło praworządne będzie tanie. Fakt, w ostatnim roku praworządność w Polsce bardzo potaniała.

DLA KATARZYNY KOTULI, „ministra” do spraw równości – walec. Tylko tak da się bowiem zaprowadzić prawdziwą równość.

DLA ŁĄPÓWKARZY I OSZUSTÓW też mieliśmy przygotowany wspaniały prezent – projekt ustawy o likwidacji CBA. Ale nie zdążyliśmy go zapakować, bo uprzedzili nas premier Zły Donald z Sopotu i jego współpracownicy z rządu.

DLA GRZEGORZA SCHETYNY – jakąś przyszłość. Jakąkolwiek. Bo dziś o jego istnieniu nie pamiętają już nawet ci, którzy z rzadka dzwonią do niego po wywiady.

DLA DONALDA TRUMPA, zwanego Dobrym Donaldem z Waszyngtonu, prezentem jest otwarta rezerwacja prezydenckiego apartamentu w warszawskim hotelu Marriott. Z prośbą, by przyleciał z wizytą wykorzystać prezent tylko wtedy, gdy będzie naprawdę warto.

DLA ADAMA SZŁAPKI, ministra od Unii Europejskiej – kamienie milowe. Jak sobie je wszystkie ułoży w ogródku, to będzie miał piękne oczko wodne. W oczku wodnym pływały będą ryby, które w tym są podobne do polskiego rządu w Unii Europejskiej, że głosu nie mają.

DLA „MINISTRY” KLIMATU I ŚRODOWISKA PAULINY HENNIG-KŁOSKI – box z serialem „Rodzina Soprano”. Uważamy bowiem, że w kwestii gospodarki śmieciami Polska powinna uczyć się od najlepszych.

DLA MINISTRA FINANSÓW ANDRZEJA DOMAŃSKIEGO – finanse. Jakiegokolwiek. Gdyż aktualnie ich nie ma i, zdaje się, więcej nie będzie.

DLA WSZYSTKICH POLAKÓW – piniondze. Bo, niestety, dopóki obecna władza rządzi, dopóty nie ma szans, żeby ich wam przybywało.

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY” – życzenia pokoju, miłości, szczęścia i wielu Bożych błogostawieństw. I podziękowania za to, że chcieliście być z nami przez kolejny rok. ©©



KRYSTIAN KRATIUK: Księżę profesorsze, o niewielu bohaterach Nowego Testamentu wiemy tak dużo jak o królu Herodzie. Mimo że nie pochodził z rodu Dawida, znany jest jako ten, który rozbudował Drugą Świątynię w Jerozolimie. Jak traktują dziś tę postać wyznawcy judaizmu i mieszkańcy Izraela? Czy jest szczególnie wspominany, pamiętany?

KS. PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI:

W długiej żydowskiej historii Herod jest postrzegany jako jedna z najbardziej prominentnych postaci, właśnie przede wszystkim z powodu szeroko zakrojonej działalności budowlanej. Jej świadectwa, które w dobrym stanie zachowały się do naszych czasów, to dwie potężne twierdze: Masada na zachodnim brzegu



Z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim, biblistą, laureatem watykańskiej Nagrody Ratzingera i nagrody Strażnik Pamięci rozmawia Krystian Kratiuk

Herod kiedyś, Izrael dziś...



FOT. TOMASZ GONIAŁ/GOŚĆ NIEDZIELNY/FORUM

kierował prof. Yigael Yadin, a na Herodionie prof. Ehud Netzer. Ustalenia obu archeologów są traktowane jako bezcenny wkład w umacnianie państwowości współczesnego państwa żydowskiego.

To nie koniec podobieństw...

Nie bez znaczenia jest i to, że Herod powiększył terytorium Judei i wzmocnił ją od strony ekonomicznej. Taką samą politykę prowadzi rząd Izraela.

Czy poprzez te niezwykle ambitne projekty architektoniczne i polityczne Herod, niebędący z pochodzenia Żydem, próbował stworzyć jakąś własną „narodową legendę”?

Podjmując z wielkim rozmachem niezwykle kosztowne inicjatywy budowlane, król chciał legitymizować swoje pochodzenie, był bowiem synem Idumejczyka Antypatra i Nabatejki Kyprios, a także swoje dojście do władzy, które odbyło się przy wydatnej pomocy Rzymian. Idumejczycy, wcześniej znani jako Edomici, byli południowo-wschodnimi sąsiadami Żydów, z którymi dzieliły ich obustronna wrogość i konflikty. Z kolei Rzymianie, podbijając Judeę w 63 r. przed Chrystusem, konsekwentnie zaprowadzali w niej swoje porządki. Zapewne Herod chciał wpisać się w żydowską „narodową legendę”, sięgającą czasów Dawida i Salomona (X w. przed Chrystusem), jednak jego pierwszorzędnym celem było zabezpieczenie się przed zewnętrznymi i wewnętrznymi wrogami, których nie brakowało, oraz pozyskanie pewnej przychylności niechętnych i nieufnych wobec niego żydowskich poddanych.

Zawsze zastanawiało mnie jedno – otóż król Herod był władcą Judei i znał oczekiwania mesjańskie swojego ludu. Dlaczego więc potraktował przepowiednię o narodzinach króla jako zagrożenie? Przecież prawdopodobnie miał już ponad 70 lat, nowo narodzone dziecko nie mogło go tak szybko zastąpić. A następstwo tronu i tak zależało od decyzji Rzymu. Czy można tutaj dostrzec obawę przed utratą pozycji czy w grę wchodził raczej strach przed rozbudzeniem nadziei religijnych w Judei? Czy sam Herod nie podzielał wiary w nadejście Mesjasza?

Herod urodził się w 73 r. przed Chrystusem. W 47 r. przed Chrystusem Rzymianie mianowali go namiestnikiem Galilei, a 10 lat później królem Żydów

ze stolicą w Jerozolimie. Zostawiając na boku popełniony znacznie później błąd w obliczeniach dotyczących zmiany kalendarza i wyznaczenia początku ery chrześcijańskiej, gdy Jezus narodził się w Betlejem, Herod miał rzeczywiście ok. 70 lat. O lęku, który wzbudziły w nim narodziny Jezusa, wiemy z Ewangelii według św. Mateusza. Ta wzmianka zgadza się z tym, co wiadomo o jego postępowaniu podczas całego panowania naznaczonego podejrliwością, podstępami i okrucieństwem. Możliwe, że podejmując niektóre decyzje, kierował się przesłankami religijnymi, ale zawsze chodziło mu o utrzymanie władzy i pełną kontrolę nad wszystkim, co działo się na zarządzanym przez niego terytorium.

Ale czy król Żydów mógł bać się Mesjasza?

Pod koniec ery przedchrześcijańskiej oczekiwania mesjańskie były wielowątkowe. Ważne miejsce zajmował w nich wątek Mesjasza jako króla, lecz miało to być król pod każdym względem idealny, co absolutnie nie pasuje do osoby i poczynąń Heroda. Jest prawdopodobne, że zawdzięczając panowanie cesarzowi i wzmacniając swoje państwo, przejawiał roszczenia pseudomesjańskie do pełnienia funkcji swoistego „zbawiciela” podległej mu ludności. Tak czy inaczej, nie zamierzał dzielić się z nikim władzą, którą sprawował. Opanowany jej żądzą, dopuszczał się mnóstwa podłych czynów, z których część została zapamiętana i udokumentowana.

Zanim doszło do tego najsłynniejszego z podłych czynów, opisanych w Ewangeliach, mieliśmy do czynienia ze spotkaniem Heroda z mędrcami. Często przedstawia się to wydarzenie jako moment, w którym władza i wiara spotkały się w ostrym konflikcie. Jakie znaczenie symboliczne czy teologiczne mogą mieć dla historii zbawienia to spotkanie oraz decyzja mędrców, by w drodze powrotnej ominąć pałac Heroda?

Według świadectwa Mateuszowej Ewangelii decyzja mędrców została podjęta po uprzednim pouczeniu ich przez Boga. Zatem rozwiązanie konfliktu władzy i wiary nie odbywa się tu wyłącznie w wymiarze horyzontalnym, światowym. Gdyby tak było, wiara pozostawałaby wpisana jedynie w kategorie i wymiary tego świata oraz byłaby sprowadzona do perspektywy politycznej czy

Morza Martwego i Herodion na południe od Jerozolimy. Jego dziełami były również monumentalna rozbudowa Drugiej Świątyni i gruntowna przebudowa Groty Patriarchów w Hebronie. Dwa pierwsze przedsięwzięcia, jak kilka innych, które podjął, miały charakter militarny, dwa pozostałe – religijny, lecz wszystkie wyrosły na podłożu politycznym. Żydzi i historiografia żydowska widzą w Herodzie jeden z filarów umacniania żydowskiej tożsamości narodowo-religijnej. To podejście wzmogło się w ostatnim półwieczu, po pracach archeologicznych prowadzonych na Masadzie i po odkryciu na Herodionie sarkofagu uznawanego za grób Heroda. Pracami na Masadzie



ideologicznej. Opowiadanie o postawie mędrców sugeruje, że istnieją granice ludzkiej mądrości i w obliczu najważniejszych wydarzeń trzeba szukać mądrości pochodzącej od Boga. Gdy źli władcy próbują ustawić po swojemu losy ludzi, którymi rządzą, wtedy ostatnie słowo należy do Boga.

Rzeź niewińątek stanowi mocny i niezwykle istotny fragment opowieści o Bożym Narodzeniu powtarzanej każdego roku w naszych kościołach. Jej opis występuje jednak tylko w Ewangelii według św. Mateusza, co sprawia, że wielu komentatorów uznaje, iż jest wydarzeniem na pół mitycznym, gdyż nikt inny o nim nie wspomina. Ani pozostali Ewangelici, ani wczesne apokryfy, ani historycy, jak Józef Flawiusz. Czy więc rzeź niewińątek rzeczywiście miała miejsce?

Ewangelijne opowiadanie zostało usankcjonowane w liturgii Kościoła katolickiego, w której 28 grudnia, w oktawie Bożego Narodzenia, wyznaczono Święto św. Młodzianków Męczenników. Nakaz pozabijania w Betlejem i okolicy wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch przypomina nakaz faraona, który, według opowiadania zawartego w Księdze Wyjścia, nakazał zabijanie wszystkich nowo narodzonych chłopców hebrajskich. Herod został więc stylizowany na podobieństwo faraona. W obydwu przypadkach śmiertelny nakaz nie unicestwił planów Bożych. Okrucieństwo Heroda spowodowało ucieczkę Świętej Rodziny do Egiptu. Kiedy zagrożenie ustało, nastąpił jej powrót, w czym ewangelista Mateusz, cytując Księgę Ozeasza („Z Egiptu wezwałem Syna mego”), widzi wypełnienie starotestamentowej zapowiedzi. Jedno jest pewne: Ewangelia według św. Mateusza, napisana dla chrześcijan pochodzenia żydowskiego i tych Żydów, którzy nie uwierzyli w Jezusa jako Mesjasza, ukazuje Jezusa jako nowego Mojżesza – i właśnie ten wątek w niej dominuje.

Osobne pytanie dotyczy historyczności rzezi niewińątek. Należy ono do tej samej kategorii, jak stawiane odnośnie do nakazu zabijania wszystkich hebrajskich noworodków płci męskiej w Egipcie. Powszechna w naszych czasach „hermeneutyka podejrzliwości”, nieoparta na wiedzy historycznej, lecz na z góry przyjętym zakwestionowaniu prawdziwości Biblii i jej orędzia, arbitralnie wyklucza historyczność tych wydarzeń

i ucina wszelkie dyskusje na ich temat. Jeżeli, wbrew tym naciskom, dopuszczamy wiarygodność świadectwa biblijnego, to powinniśmy wiedzieć, że Betlejem i najbliższe okolice tego miasteczka liczyły wówczas ok. 1 tys. mieszkańców, a więc żyło tam nie więcej niż 20–30 chłopców w wieku do dwóch lat.

To nie znaczy przecież, że taki rozkaz, nawet jeśli dotyczył niewielkiej grupy dzieci, nie byłby nadzwyczaj okrutny!

Oczywiście, ale oznacza to, że owa mordercza polityka Heroda, zwłaszcza w porównaniu z jego innymi zbrodniami, nie była zakrojona na wielką skalę i być może dlatego nie przyciągnęła uwagi ówczesnych historyków. Józef Flawiusz pisał swoje dzieła ok. 40 lat, czyli całe pokolenie później, niż powstała Ewangelia według św. Mateusza. Gdy po śmierci Heroda rządy w Judei objął Archelaus, najokrutniejszy z jego synów, rodzina Jezusa udała się do Galilei, gdzie była bezpieczna. Na pytanie o historyczność tych wydarzeń nie ma lepszej odpowiedzi niż ta, która zamyka ostatni tom znakomitej trylogii Józefa Ratzingera/Benedykta XVI, poświęcony dzieciństwu Jezusa z Nazaretu: „Mateusz opowiada nam rzeczywistą historię, przemyslaną i zinterpretowaną teologicznie, i w ten sposób pomaga nam głębiej zrozumieć tajemnicę Jezusa”.

No dobrze, ale czy z biografii Heroda wynika, że był rzeczywiście tak okrutnym człowiekiem i władcą? Taka wiedza uprawdopodobniałaby opowieść o rzezi niewińątek w oczach niedowiarków.

Owszem, całe panowanie Heroda, które zawdzięczał łasce Rzymian, cechowała chorobliwa podejrzliwość, która nie omijała nikogo. W początkach sprawowania swej władzy krwawo uśmierzył antyrzymskie bunty w Galilei i nałożył na jej mieszkańców bardzo wysokie podatki. Jego brutalność wywołała reakcję Sanhedrynu, który go potępił. Później nie brakowało innych przejawów bezwzględnej obchodzenia się z każdym, kogo uznał za wroga, ostatnia dekada jego życia zaś została naznaczona wyjątkowym okrucieństwem. Podejrzewając o spiskowanie przeciw sobie w obrębie własnej rodziny, nakazał zamordowanie swojej żony oraz trzech najstarszych synów i teściowej. Sześciokrotnie zmieniał testament, dążąc w ten sposób do skłócenia własnej rodziny

w przekonaniu, że będzie to sprzyjało jego utrzymaniu się na tronie. Wiedza o tych brutalnych poczynaniach była powszechnie znana. Nic dziwnego, że namiestnik Syrii kaśliwie stwierdził, że wolałby być świnią Heroda niż jego synem.

Mocne słowa. Ale takie niekorzystne porównania z Herodem nie skończyły się na wspomnianym namiestniku Syrii. Wszak dzisiejszych polityków, jeśli prowadzą działalność antychrześcijańską, nierzadko nazywa się właśnie „współczesnymi Herodami”. Szczególnie tych, którzy wprowadzają prawa pozwalające zabijać niewinne dzieci. Słusznie?

Takie skojarzenia przychodzą na myśl i niemało w nich jest prawdy. Gdy posłowie do Parlamentu Europejskiego domagali się zapisania tzw. prawa do aborcji w Karcie praw podstawowych Unii Europejskiej, obrońcy życia stwierdzili, że ci, którzy głosowali „za”, weszli w buty Heroda. Uznano, że mają odpowiedniego „patrona”, skoro od pewnego czasu Fundacja Pro – Prawo do Życia ustanowiła niechlubny tytuł Heroda Roku.

Żydzi, jak wiadomo, odrzucili Chrystusa i nie uznali go za Mesjasza. Wciąż czekają na jakiegos innego, co niesie za sobą konsekwencje – np. konieczność odbudowania Świątyni Jerozolimskiej. Na jakim etapie są dziś plany postawienia na powrót budynku rozbudowanego niegdyś przez Heroda?

Od ponad roku Jerozolima i państwo Izrael są w gruncie rzeczy zamknięte i informacje, co się tam naprawdę dzieje, podawane według reguł ściśle reglamentowanej propagandy, są silnie zideologizowane i mocno ograniczone. Wiadomo jednak, że od dawna istnieją prężne żydowskie instytucje i gremia, których głównymi celami są odbudowa Świątyni Jerozolimskiej i wskrzeszenie kultu w jego dawnym kształcie.

Ruch nazwany The Temple Mount Faithful zadbał o przygotowanie kamieni węgielnych pod odbudowę świątyni. Sześciotonowe głazy zostały poświęcone wodą z sadzawki Siloam i pociecie diamentami na mniejsze kawałki. Od kilkunastu lat Gershon Solomon, przywódca tego ruchu, podejmuje próby – do tej pory udaremniane przez policję i wyznawców islamu – wniesienia tych kamieni na Wzgórze Świątynne. W obrębie judaizmu ortodoksyjnego, w którym dopatrzono się potomków biblijnego plemienia Lewiego,



„Rzeź niewiniątek” Petera Paula Rubensa, 1611 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

odbywa się kształcenie chórów potrzebnych do sprawowania liturgii i obsługi sprzętu świątynnego. Jeden z jego przedstawicieli, Menachem Rosenthal, powiedział: „Kiedy odbudujemy świątynię, poprosimy lewitów, żeby śpiewali, ale oni nie będą umieli. Muszą się więc nauczyć”. Od 1987 r. działa The Temple Institute, który zgodnie z instrukcjami rabinów przygotowuje przedmioty, szaty liturgiczne i instrumenty muzyczne niezbędne do sprawowania kultu. Jego siedziba znajduje się w okazałym trzypiętrowym budynku w samym sercu żydowskiej dzielnicy jerozolimskiego Starego Miasta. Na obrzeżach Wzgórza Świątynnego wciąż trwają intensywne prace archeologiczne, których celem jest nie tylko poznawanie przeszłości, lecz także kształtowanie przyszłości.

Jakiś czas temu świat obieżyły informacje, że niezbędne ku odbudowie czerwone jałówki są już w Ziemi Świętej. Jak sytuacja wygląda w tej chwili?

Członkowie Boneh Israel, Budowniczości Izraela, chcąc przyspieszyć nadejście Mesjasza, sprowadzili ze Stanów Zjednoczonych pięć czerwonych jałówek potrzebnych do celebracji rytuału „para adumah”, „czerwonej jałówki”, którego przebieg został ustalony w starotestamentowej Księdze Kapłańskiej. Prochy tych krów, uzyskane wskutek spalania, mają być mieszane z wodą i używane w rytuale oczyszczania z grzechów lub nieczystości kultowej. Rabini skrupulatnie sprawdzają, czy żadne ze starannie wyselekcjonowanych i sprowadzonych zwierząt nie ma jakiegokolwiek włoska innej barwy niż czer-

wona, bo to czyniłoby je nieczystymi do wykorzystania w kulcie. Obecność jałówek, hodowanych w kibucu na północy Izraela, jest traktowana jako „powrót mesjańskiego znaku”. Na Górze Oliwnej, na wschód od Jerozolimy, wykupiono kawałek gruntu, dokąd te krowy mają być przeniesione albo już zostały przeniesione, żeby mogły być spalone nie gdzie indziej, lecz naprzeciw Wzgórza Świątynnego. Ideologia „miłośników Trzeciej Świątyni” nie ogranicza się jedynie do grupy religijnych radykałów, lecz ma stale rosnącą liczbę zwolenników w parlamencie i rządzie Izraela.

Jest jednak jeszcze jeden problem, i to niemały. Meczet...

Otóż to. Na miejscu Pierwszej Świątyni, zbudowanej przez Salomona i zburzonej w 587 r. przez Babilończyków, oraz Drugiej Świątyni, zbudowanej po powrocie z wygnania babilońskiego i zburzonej w 70 r. po Chrystusie przez Rzymian, od ponad XIII stuleci wznosi się muzułmańska Kopuła Skały, znana jako Meczet Omara. Roszczenia i plany żydowskie są nie do pogodzenia z jej dalszą obecnością w tym miejscu. Itamar Ben-Gewir, lider skrajnie prawicowej partii Żydowska Siła, od objęcia w 2022 r. teki ministra bezpieczeństwa wewnętrznego Izraela co najmniej dwukrotnie wszedł na teren Wzgórza Świątynnego, dając wyraźnie poznać, w którym kierunku zmierza polityka rządu. Chaim Berkovits, członek ruchu Boneh Israel, deklaruje, że zapoczątkowanie kultu żydowskiego w Trzeciej

Świątyni jest „tylko kwestią czasu”. Wiele wskazuje na to, że trzeba mu wierzyć. A co na to „świat”? W kontekście wojny na Ukrainie w szybkim tempie postępuje judaizacja Jerozolimy i jej okolic. Krwawe żniwo zbierają ataki na mieszkańców Strefy Gazy i Libanu. I co? Kiedy więc coś dramatycznego wydarzy się na Wzgórzu Świątynnym, politycy i większa część środków masowego przekazu najpierw zaprotestują, ale wkrótce te protesty uciną i przemówią fakty dokonane, wzmacnione starannie opracowaną propagandą proizraelską i prosyjonistyczną. Jest pewne, że zyska ona silne poparcie Stanów Zjednoczonych i znajdzie sprzymierzeńców wśród chrześcijan, nie tylko amerykańskich. Już teraz dzielą oni punkt widzenia nagłaśniany przez The Temple Institute, że budowa Trzeciej Świątyni, znacznie okazalszej niż Pierwsza i Druga, spełni „wspólne pragnienie wyznawców judaizmu i chrześcijan utworzenia sanktuarium, w którym Bóg byłby godnie uczczony”.

Boże Narodzenie, w kontekście którego toczy się nasza rozmowa, kończy Stary Testament i rozpoczyna Nowy. Sobór Watykański II wyrażał nadzieję, że nadchodzi czas „wiosny biblijnej” – że katolicy będą lepiej znać również Stary Testament. Czy to rzeczywiście nastąpiło?

Na pewno dokonało się wiele dobrego. Jeżeli ograniczymy się do Polski, to w okresie posoborowym ukazały się liczne przekłady Biblii i mnóstwo pomocy biblijnych w postaci atlasów, encyklopedii, komentarzy i słowników, w czym szczególne zasługi ma Oficyna Wydawnicza Vocatio. Zainteresowani Biblią i jej orędziem mogą korzystać z bardzo bogatej literatury, której liczba nieustannie się powiększa. Obserwuje się też dobre owoce „ubiblijnienia” duszpasterstwa ukierunkowanego ku świeckim, widoczne w konferencjach i spotkaniach prowadzonych w wielu parafiach oraz ośrodkach pastoralnych, także przez osoby świeckie – mężczyzn i kobiety. Paradoksalnie nie idzie to jednak w parze z należyty „ubiblijnieniem” katechezy i homilii.

Natomiast zupełnie niezrozumiałe jest postępujące uszczuplanie przedmiotów z zakresu wiedzy na temat Pisma Świętego w seminariach duchownych i na wydziałach teologicznych, gdzie ich miejsce zajmują psychologia, socjologia



■ i teologia pastoralna. Taka sytuacja wyjaśnia coraz bardziej dotkliwe braki zakorzenienia wiary i moralności chrześcijańskiej w obydwu częściach Biblii, czyli Starym i Nowym Testamencie, aczkolwiek ich nie usprawiedliwia.

A czy choćby starotestamentowe zasady moralne, przede wszystkim Dekalog, są dziś obecne w codziennym nauczaniu Kościoła?

Co się tyczy Dekalogu, można odnieść wrażenie, że Kościół zamienił miejscami dwie tablice, na których Dekalog został spisany. Miejsce pierwszej tablicy z trzema przykazaniami nakazującymi okazywanie czci Bogu zajęła druga tablica z siedmioma przykazaniami, które regulują relacje międzyludzkie.

Konsekwentnie zdrowa teologia jest systematycznie wypierana i zastępowana przez rozmaite nuryt szeroko pojętej antropologii. W tych warunkach przychodzi na myśl słowa św. Augustyna: „Gdy Bóg jest na pierwszym miejscu, wtedy wszystko jest na swoim miejscu”. Jeżeli tak się nie dzieje, to zamiast należytego rozeznania pojawiają się i nasilają dezorientacja oraz zamęt.

Jako specjalista od Biblii oraz historii starożytnego Izraela od wielu lat pracuje ksiądz profesor nad własnym przekładem Pisma Świętego. Niedawno ukazała się „Tora, czyli Pięcioksiąg Mojżesza” w księdza tłumaczeniu. Przepraszam za prostotę tego pytania: Dlaczego ksiądz się tym zajął? Przecież mamy już wiele tłumaczeń tekstów, do których brzmienia jesteśmy przyzwyczajeni. Czy z nimi jest coś nie tak? Czyżby wymagały poprawy?

Pierwsze próby tłumaczeń wybranych tekstów biblijnych podejmowałem na przełomie lat 70. i 80., podczas studiów na Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie i Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Później, przez 35 lat, wykładałem egzegezę Starego Testamentu, czyli jego interpretację opartą na tekście oryginalnym – hebrajskim, aramejskim i greckim. Robiłem to na poziomie akademickim, a także podczas ponad 1,5 tys. popularnonaukowych konferencji i wykładów wygłoszonych w Polsce i za granicą. Nawiązując do tekstu oryginalnego, wielokrotnie pokazywałem, że możliwy, a w wielu przypadkach wręcz konieczny, jest inny, dokładniejszy przekład. Nierzadko uważne porównanie niektórych przekładów na język polski z oryginałem hebrajskim prowadziło

do wniosku, że powstały przy wydatnej pomocy pośrednictwa innych języków nowożytnych – zwłaszcza francuskiego czy niemieckiego. Zarówno studenci, jak i słuchacze konferencji postulowali: „To niech ksiądz zrobi własny przekład”. Od dawna nosiłem się z tym zamiarem, lecz jego realizacja stała się możliwa dopiero po wybuchu pandemii.

Specyfika mojego przekładu Tory, wydanego przez kieleckie Wydawnictwo Jedność, polega na tym, że został opatrzony popularnym komentarzem, umieszczonym nie pod tekstem każdej księgi świętej, lecz jako druga część tego samego tomu. Co się tyczy potrzeby nowego przekładu, to kiedy zobaczyłem wydrukowane egzemplarze Tory w moim tłumaczeniu, natychmiast przystąpiłem do opracowania go na nowo. Ma się ono ukazać na początku 2025 r. jako drugie wydanie. Trzeba przypomnieć, że Biblia Tysiąclecia ma do tej pory pięć różnych wydań, a obecnie przygotowywane jest szóste, do którego mają być włączone moja rewizja Księgi Rodzaju i mój przekład Księgi Kapłańskiej. Działalność translatorska w odniesieniu do Biblii nigdy nie zostanie zakończona. Najistotniejsza jest precyzja przekładu, a tu zawsze jest coś do ulepszenia. Wiele prawdy zawiera łacińska maksyma „Scriptura crescit cum legente”, czyli „Pismo Święte wzrasta z tym, kto je czyta”. Czytanie i interpretacja ksiąg świętych mają wiele wspólnego z muzyką: ważne są nie tylko litery utrwalone w zapisie, lecz także puste przestrzenie pomiędzy tymi literami.

Podczas promocji przekładu Tory podkreślał ksiądz, że pracował nad tłumaczeniem i komentarzem Starego Testamentu w taki sposób, by jak najbardziej zanurzony był w interpretacji chrześcijańskiej. Co ksiądz profesor miał na myśli?

Benedykt XVI trafnie ujął sedno i cel chrześcijańskiej lektury Starego Testamentu, podkreślając, że jeżeli nie mówi on o Jezusie Chrystusie, to nie jest dla nas księgą świętą. Najważniejszy obowiązek egzegetów i teologów chrześcijańskich polega zatem na rozpoznawaniu i wydobywaniu z ksiąg świętych biblijnego Izraela dynamizmu chrystologicznego, który jest w nich na rozmaite sposoby obecny. Dotyczy to, rzecz jasna, również pierwszego zbioru Biblii Hebrajskiej, czyli Tory, określanej jako Pięcioksiąg Mojżesza. Zanurzenie w interpretacji chrześcijańskiej,

na które wskazują, uwidacznia się na kilku poziomach. Po pierwsze, na marginesach przekładu zamieszczono setki sigli, czyli odniesień do pism Nowego Testamentu, w których powracają odnośne wątki starotestamentowe. Po drugie, w swoim komentarzu wskazuję na to, jak treści obecne w Torze już od czasów apostołskich żyją w tradycji Kościoła, przez co stanowią jej biblijny fundament. Po trzecie, w co najmniej kilku miejscach pokazałem, jak rabiniczna wykładnia Tory, obecna do dzisiaj w judaizmie w konfrontacji z chrześcijaństwem, dokonywała reinterpretacji, a nawet ingerencji w sam tekst, żeby uniknąć jakichkolwiek skojarzeń z dynamizmem chrystologicznym i orędem Ewangelii czy wręcz je wymazać. Ten aspekt nie był dotąd uwzględniany w żadnym katolickim przekładzie pierwszych pięciu ksiąg Starego Testamentu na język polski.

Czy zamierza ksiądz profesor przetłumaczyć teraz Nowy Testament?

Polskie tłumaczenia Nowego Testamentu, napisanego po grecku, są znacznie lepsze, bo łatwiejsze niż tłumaczenia Starego Testamentu. Chociaż i w jego wypadku zawsze można zaproponować lepsze rozwiązanie, to nie ma pilnej potrzeby pojawiania się nowych tłumaczeń. Po ponownym opracowaniu Tory zabieram się do drugiego zbioru Biblii Hebrajskiej, a mianowicie Neviim, czyli Prorocy. Obejmuje on dwie części. Pierwsza, na którą składają się Księga Jozuego, Księga Sędziów, Pierwsza i Druga Księga Samuela oraz Pierwsza i Druga Księga Królewska, to Prorocy wcześniejsi. Zaskoczenie budzi to, że traktujemy je jako księgi historyczne, trzeba więc będzie wyjaśnić, na czym naprawdę polega zjawisko profetyzmu i prorocत्व w biblijnym znaczeniu tego słowa.

Część druga to Prorocy późniejsi, czyli Księgi: Izajasza, Jeremiasza i Ezechiela oraz Księga Dwunastu. Ta ostatnia, już przeze mnie przetłumaczona i dwukrotnie wydana przez Vocatio, w przyszłości ma zamykać polskie tłumaczenie całego zbioru Proroków. Pozostanie jeszcze trzeci zbiór Biblii Hebrajskiej, określane mianem Ketuvim, czyli Pisma, a także księgi deuterokanoniczne, zapisane albo zachowane w języku greckim. Jest zatem co robić. Tylko czy życia na to wystarczy?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Świąteczny zestaw Republiki
wyjątkowy prezent
dla Twoich najbliższych!**

**Zamów na stronie sklep.tvrepublika.pl
lub telefonicznie 22 280 99 39 wew. 4**



*W skład zestawu wchodzi: świąteczny kubek,
kawa ziarnista 500g, zimowa herbata i czekoladowa choinka.
Wszystko w gustownym pudełku z limitowanej edycji Republiki.*



Alfabet Głupich Mądrości



Koniec roku i początek nowego skłaniają do spojrzenia wstecz, refleksji. Szczególnie że kończący się rok zostanie zapewne w przyszłych podręcznikach historii – z racji odwrócenia sytuacji w Stanach Zjednoczonych – uznany za symboliczny przełom w procesie upadku lewicowo-liberalnej „klasy panującej”, która jeszcze dwie dekady temu wierzyła, że zbudowała system idealny, który na zawsze zapewni



Rafał A. Ziemkiewicz

Warto przypomnieć sobie wiele „mądrości”, którymi rządzące Zachodem elity polityczne i uniwersyteckie żyły przez ostatnie dekady, na podstawie których budowano strategie mocarstw i organizacji międzynarodowych, które propagowano w mediach jako prawdy objawione



FOT. ADBESTOCK

było polemizować – a kto zakaz ten łamał, karany był łatką „oszołoma” lub nawet „faszysty”, rugowany z mediów, blokowany w karierze i odcinany od debaty publicznej czy uniwersyteckiej. Nie tylko w Polsce – nasza rodzima lewicowo-liberalna elitka, ukształtowana pod wpływem Adama Michnika i jego dworu, była jedynie taśmociągiem podłączonym do salonów i kampusów zachodnich i transmitującym z nich do Polski masowo różne „modne bzdury” (określenie Rogera Scrutona, jednego z „kancelowanych” przez dziesięciolecia niepokornych intelektualistów).

ANACHRONIZM PAŃSTW

NARODOWYCH. Chciałbym dostać złościzna za każdy raz, gdy słyszałem w debacie publicznej, że „myślenie w kategoriach państw narodowych to anachronizm, myślenie XIX-wieczne”. „Państwo narodowe to przeżytek” – powtarzali chórem lewicowo-liberalni mędrkowie, z grymasem wyższości i znudzenia luminarzy zmuszonych do tłumaczenia nieuczonym głupcom rzeczy oczywistych. W globalizującym się świecie narody nieuchronnie się mieszają i stapiają w nowe, większe wspólnoty – jak np. wspólnota „europejczyków”, do której ochoczo i gorliwie składały akces nasze pookragłostołowe „elity”. Istotnie, ideologia kryjąca się za cytowanym zdaniem uzasadniała działania lewicowych rządów, sprowadzających celowo masy imigrantów z możliwie obcych kultur i obdarowujących ich różnymi przywilejami, by pomogli europejskim narodom przyśpieszyć oczekiwaną i pożądaną transformację. Państwo narodowe – głoszone i w wielu środowiskach głosi się nadal – to nie tylko przeżytek, lecz także przyczyna wszelkiego zła. To przez to, że istniały państwa narodowe, i przez to, że obywatele się z nimi identyfikowali, wybuchły dwie wojny, doszło do Holocaustu i innych okropności. Istnienie państw narodowych nieuchronnie prowadzi do patriotyzmu, a ten do nacjonalizmu, szowinizmu i faszystów. Trzeba więc zawczasu rozbroić to zło i dokonać, jeśli nie da się na całym świecie, to przynajmniej w Europie, procesu, który klasyk określił

mianem Gleichschaltung. Wszelka różnorodność jest święta, ale różnice między narodami – to akurat nie. Chyba że mówimy o narodach dominujących w Unii. One akurat mogą, a wręcz muszą kierować się swoimi interesami, ale w ich wypadku nie jest to przejawem „ciasnego egoizmu”, tylko świadomości, że ich interes akurat jest interesem całej integrującej się Europy.

DEMOKRATYZACJA PRZESZŁOŚCI EKSPANSJĄ GOSPODARCZĄ

Przenoszenie do krajów niezachodnich produkcji i zarazem otwarcie się na ich towary, głównie surowce, miało niejako z automatu uczynić z nich kraje demokratyczne i szanujące prawa człowieka, na wzór zachodni. Według zgodnej opinii ekspertów z amerykańskich i europejskich, głównie francuskich i niemieckich, uniwersytetów i think tanków, wzrost bogactwa w krajach takich jak Rosja i Chiny wytworzy bowiem tam „klasę średnią”, ta zaś prędzej czy później upomni się o demokratyzację i wymusi ją, czy to pokojowo, czy stając na czele ludowej rewolty. Na razie zaś koncerny, sponsorujące intelektualistów, ich złoty, konferencje i think tanki, pod hasłem demokratyzowania świata zarabiać będą miliardy, korzystając z półdarmowej, niewolniczej siły roboczej tych krajów i korzystając z półdarmowych surowców, które reżimy eksportują za bezcen, okradając własnych poddanych, a dodatkowo – sprzedając potem ich skorumpowanemu aparatu państwa dobra luksusowe oraz nieruchomości na Łazurowym Wybrzeżu i w najlepszych dzielnicach Londynu.

Oczywiście transferowane do Chin, Rosji i pomniejszych satrapii bogactwo nigdy nie miało żadnej szansy wytworzyć tam „klasy średniej”, ponieważ rządzące tam dyktatury i oligarchie nie miały żadnego powodu dzielić się bogactwem z poddanymi. Przeciwnie: dając im ogromne pieniądze, Zachód niemiernie umocnił dyktatorów, pozwolił im opanować nowoczesne technologie i sam stworzył zagrożenie, które dziś nad nim zawisło. Można zrozumieć chciwość i nieodpowiedzialność korporacyjnych zarządów, które dla pomnożenia w krótkim terminie zysków, a w żaden sposób

społeczeństwom dostatek, bezpieczeństwa i pełnię praw, a jej samej – władzę do końca świata i dzień dłużej.

Warto więc przypomnieć sobie wiele „mądrości”, którymi rządzące Zachodem elity polityczne i uniwersyteckie żyły przez ostatnie dekady, na podstawie których budowano strategie mocarstw i organizacji międzynarodowych, które propagowano w mediach jako prawdy objawione i z którymi wręcz nie wolno



■ niezainteresowane dalekosiężnymi konsekwencjami swych działań sponzorowały hojnie ideologów globalizacji. Ale jak można było tak bezmyślnie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, snuć podobne miraży przez tak wiele lat, nie napotykając oporu innych środowisk?

KAPITAŁ NIE MA NARODOWOŚCI.

To – diabli wiedzą, przez kogo właściwie wyprodukowane – zdanko (podejrzewam kręgi „autorytetów” michnikowszczyzny, ale rzecz wymagałaby dziś uważnego śledztwa) było chyba najczęściej powtarzaną frazą w Polsce lat 90., rządzonej przez neofitów „twardego momentaryzmu”, którzy z dnia na dzień z marzeń o „socjalizmie z ludzką twarzą” przeistoczyli się w fanatycznych doktrynerów „balcerowiczowizmu”. Ponieważ żyli oni w rozdarcu między determinizmem „reform” a lękiem przed ciemnym polskim społeczeństwem, które konieczności tych reform nie rozumie i trzeba je uspokajać socjałem, by nie rzuciło się do pogromów, zobaczyli w „prywatyzacji” łatwe źródło dochodów. Nie na inwestycje, ale na podniesienie poziomu konsumpcji i tym samym aprobaty dla rządzących. Wyprowadzano wszystko, każdemu, kto tylko chciał kupić, a tak się składało, że rzekomo niemający narodowości kapitał zamiast, jak zakładała teoria, brać nieopłacalne posocjalistyczne rzęchy i je restrukturyzować, chciał kupować najlepsze kaski, by je zamykać, likwidując potencjalną konkurencję, albo włączając w krwiobieg gospodarek swoich krajów.

KONIEC HISTORII. W tej teorii Francisa Fukuyamy, która dziś stanowi powszechne pośmiewisko, najbardziej urągało zdrowemu rozsądkowi nawet nie uznanie „wolnorynkowej demokracji liberalnej” za doskonałą i niemożliwą do poprawienia sposób zorganizowania ludzkości, ale zupełne pominięcie oczywistego faktu, że żaden z procesów gospodarczych i społecznych, które ją ukształtowały, nie uległ przecież zatrzymaniu. Że Zachód nie zastygł, bo przecież nie mógłby, w doskonałym bezruchu, jak w kryształach – ale ewoluuje nadal i kolejne dziesięciolecia będą

musiały przynieść znaczące zmiany systemu uznanego przez amerykańsko-japońskiego mędrca za nieprzekraczalny ideał, nawet gdyby rzeczywiście system ten na taką ocenę zasługiwał.

KONWERGENCJA. Teoria ta, której jednym z wybitnych głosicieli był prof. Zbigniew Brzeziński, uczyła, że Związek Sowiecki będzie się stopniowo demokratyzować, a kraje demokratyczne – stopniowo budować socjalizm. Aż, koniec końców, spotkają się w połowie drogi i „świat wreszcie będzie jeden”, jak zapowiadał to hymn „pożytecznych idiotów” wszelkiej maści, czyli piosenka Johna Lennona „Imagine”. Wychodząc z tego założenia, europejskie socjaldemokracje, które stopniowo przejęły projekt Unii Europejskiej, skierowały go ku strukturze „związków socjalistycznych republik”, „pasujących do instytucji sowieckiej jak rękawiczka do dłoni”, jak ujął to, opisując ten proces, rosyjski dysydent Władimir Bukowski, z myślą o nieuchronnym połączeniu z socjalistyczno-demokratycznymi post-Sowietami. A wspomniany prof. Brzeziński rozwinął w wydanej w roku 1987 książce „Plan gry” całą strategię, jak postępować powinny z demokratyzującym się ZSSR Stany Zjednoczone przez najbliższych kilka dziesięcioleci.

OPCJA MENEDŻERSKA. Pomysł nowojorskich ekonomistów, Michaela Jensena i Williama Mecklinga, by menedżerów wielkich korporacji wynagradzać opcją od zwiększonej przez nich wartości zarządzanej firmy, wydawał się rozwiązaniem głównego problemu gospodarki tzw. kapitalistycznej, wskazanego w głośnej „Rewolucji menedżerskiej” Jamesa Burnhama. To znaczy: rozbieżności interesów między akcjonariuszami a zarządem wynajmowanym przez nich do mnożenia zysków z ulokowanego kapitału. Toteż wprowadzono go powszechnie, po raz kolejny kompletnie nie używając zdrowego rozsądku. A wystarczyło wyobrazić sobie, że fundujemy sobie co roku nowy mózg, stawiając tylko jeden wymóg: Który zdoła bardziej zwiększyć stan naszego konta do końca swego

urzędowania? Prędzej czy później któryś z wymiennych mózgów wytnie nam nerki, skalkulowawszy, że za każdą z nich dają na rynku przeszczepów miliony, a dializy można robić w ramach NFZ. Tak właśnie zarządzane były w ostatnich dziesięcioleciach wielkie korporacje – tym bardziej że akcjonariat stopniowo zdominowały fundusze inwestycyjne, które z natury również zainteresowane są maksymalizacją zysku w krótkim terminie, bez względu na długofalowe konsekwencje.

PRZEMYSŁ TO PRZEŻYTEK.

A nowoczesna gospodarka opiera się głównie (w wersji hard: wyłącznie) na sektorze usług. Ta narracja była bodaj bardziej jeszcze powszechna od komplementarnej z nią „kapitał nie ma narodowości”, gorliwie upowszechniali ją politycy z obu stron Okrągłego Stołu, komentatorzy mediów, wpatrzonych w każde drgnienie trzymanej przez redaktora Michnika batuty, „autorytety” z profesorskimi tytułami i nagrodami oraz innymi finansowymi obrywami od hojnie wspierających nasze „reformy” zagranicznych fundacji. Kto śmiał wątpić, czy aby na pewno, czy może jednak choćby odrobina przemysłu, w strategicznych przynajmniej dla państwa dziedzinach, mogłaby się przydać, był zagłuszany, ośmieszany i jako „ciemnogród” odsyłany do kruchty. Aż do momentu, gdy okazało się, że najusilniej namawiający nas na przejście całkowicie do gospodarki opartej na usługach Niemcy sami swoją dominującą pozycję w Europie osiągnęli właśnie dzięki temu, że państwo ich robiło (i robi) wszystko, by rodzimemu, niemieckiemu przemysłowi przychylić zawsze nieba, taniego kredytu, surowców i siły roboczej oraz chłonnych rynków zbytu. Między innymi w Polsce.

REDYSTRYBUCJA. Połączenie demokracji z redystrybucją miało stanowić, według praktycznie wszystkich myślicieli umiarkowanej (to znaczy nieodrzucającej demokracji) lewicy perpetuum mobile produkujące sprawiedliwość społeczną. Jeśli obdarzy się prawem odbierania jednym i obdarowywania tym innych władzę, którą wybiera większość, to



ta władza będzie zawsze odbierać nadmiar bogactwa bogatej mniejszości, żeby obdarowywać ubogą większość. Tyle że w praktyce w demokracji większość, niezbędną do zdobycia władzy, kłeci się z mniejszości, które najłatwiej pozyskiwać, przekupując je – a najusilniej przekupywać muszą politycy tych, którzy mogą najwięcej, czyli najbogatszych. W efekcie maszynka redystrybucji działa więc w stronę odwrotną od zakładanej: demokratyczny rząd skubie ubogą większość różnymi podatkami, składkami, opłatami, certyfikatami ekologicznymi etc. i wyciśniętymi z ubogich pieniędzmi pasie, jako swoją polityczną klientelę, mniejszość bogatych. Biedni stają się w efekcie coraz biedniejsi, bogaci coraz bogatsi – nierówności majątkowe sięgnęły już w zachodnim świecie bezprecedensowych wartości, ale wyznająca lewicowe złudzenia klasa panująca nie potrafi znaleźć na to innego pomysłu niż „więcej redystrybucji”.

STRATEGIE EUROPEJSKIE. Potraktujmy je dla skrót u zbiorczo (do osobnego omówienia pozostawiając tylko najnowszą „zielone technologie”), bo wszystkie mają dwie wspólne cechy: ogłaszano je z niezwykłą pompą, jako sposób na to, by Zjednoczona Europa stała się światowym mocarstwem numer jeden i liderem, a po czasie gasły cicho, jak pet dyskretnie rzucały pod siebie przed wyjściem do innego pomieszczenia. Od swego zarania francusko-niemiecka Europa (z czasem dopiero kolejność ta się odwracała), upokorzona faktem, że dwukrotnie rozstrzygnięła o jej losach interwencja zza oceanu, śniła sen o wyższości nad Ameryką. Pierwotnie wyższość tę miały poświadczyć sukcesy „socjalnej”, wrażliwej społecznie gospodarki Starego Kontynentu nad „dzikim kapitalizmem”. Potem pojawiła się teoria, że wyższość Europy wyraża się w jej zdolności udzielenia większej niż gdzie indziej „pomocy publicznej” wybranym, innowacyjnym dziedzinom, które „pociągną w górę” gospodarkę – zarówno europejską, jak i światową. Tak rodziły się rozmaite „strategie lizbońskie”, aż do omówionego osobno planu podboju świata europejskimi „zielonymi technologiami”.

Szczególnym przypadkiem wśród tych pomysłów na europejską wielkość była wspólna europejska waluta. Wprowadzono ją dokładnie w tym samym roku, kiedy Nobla z ekonomii dostał Robert Mundell za „teorię optymalnego obszaru walutowego”, z której niezbitie wynikało, że skutkiem wprowadzenia waluty euro będzie „wyssanie” gospodarek europejskich, zwłaszcza południa, przez Niemcy, a potem stopniowa degradacja całej UE. Ale gdy pytałem o to euroentuzjastycznych ekonomistów, wzruszali ramionami, że ta teoria to już przeżytek, w ogóle się jej już nie uczy ani nie poważa.

Warto przypomnieć, że w chwili rozszerzenia UE o Polskę i inne państwa naszego regionu łączny PKB krajów UE wynosił 90 proc. amerykańskiego. Dziś jest to 50 proc., choć USA wcale nie rozwijały się wzorcowo.

„WYROKÓW SĄDÓW SIĘ NIE

KOMENTUJE”. Młodszy czytelnicy zapewne nie byłoby w stanie uwierzyć, z jak wielką skutecznością udało się w latach 90. upowszechnić tę oczywistą bzdurę michnikowszczyźnie do tego stopnia, że zasada „niekomentowania” wyroków powtarzana była wszędzie jako jedna z oczywistych reguł demokratycznego ładu i przyzwoitości – choć w żadnej ze starych, zachodnich demokracji jako żywo nie sposób znaleźć śladu takiego podejścia do orzeczeń ludzi w togach. Łatwiej zrozumieć pojawienie się tej bredni objawionej, gdy wie się, że pierwszym przygotowaniem do operacji „podzielenia się władzą” z Solidarnością były masowe, acz do dziś trzymane w poufności transfery z wojewódzkich komitetów PZPR i sztabów WUSW do dwóch profesji: bankowości i właśnie sądów. To sądy, które odpowiednio „ułożono” przed obdarowaniem ich „fundamentalnymi gwarancjami niezależności”, stanowiły ostateczną gwarancję, że nie dojdzie do rozliczeń zbrodni komunistycznych, nawet gdyby gwarantci tej umowy ze „społecznej” strony Okrągłego Stołu stracili władzę. „Procesy” morderców z „Wujka” czy sprawców masakry na Wybrzeżu 1970, a także losy PiS-owskich reform wymiaru sprawiedliwości dowiodły, że umowa, której propagandową osłonę

stanowił niepisany zakaz komentowania wyroków, działała i działa skutecznie.

ZIELONE TECHNOLOGIE. Jeszcze trzy lata temu kanclerz Scholz obiecywał w wywiadach swym rodakom „powrót lat 60.” – to znaczy wzrostu gospodarczego Niemiec w granicach 10 proc. rocznie. Ten gospodarczy boom miała zapewnić Niemcom i całej Unii Europejskiej, której czują się one najlepszą i najważniejszą częścią, walka o klimat, a konkretnie – „zielone technologie”. Głównie wiatraki i samochody elektryczne. Przyciśnięcie krajów UE (notabene wytwarzających razem zaledwie 8 proc. światowej emisji CO₂) surowymi „kryteriami klimatycznymi”, obowiązkiem szybkiego osiągnięcia „zeroemisyjności” i rozmaitymi normami Zielonego Ładu stanowiło ozdrowieńczy w skutkach impuls dla europejskich gospodarek, zmuszając je do szybkiego przestawienia się na nowoczesność. Dzięki temu Europa miała wyprzedzić w wyścigu do „zeroemisyjności” gospodarki obniżające swą emisyjność opieszale, czyli USA, Indie i przede wszystkim Chiny, tak że gdy wreszcie i one zabiorą się do ratowania „płonącej planety”, będą zmuszone zamawiać nowoczesne „zielone” technologie w UE i w ten sposób wróci ona na należne jej miejsce światowego mocarstwa, jeśli nawet nie numer jeden, to w każdym razie równorzędnego z USA i Chinami. Rzeczywistość obchodzi się z tymi rojeniami bardzo brutalnie – Chiny, które dzięki taniej, niewolniczej w istocie sile roboczej ściągnęły do siebie większość niemieckich i francuskich fabryk, ukradły technologie i zalały własny rynek oraz świat, w tym także samą Europę, takimi samymi „elektrykami”, tylko lepszymi i tańszymi, USA natomiast odgradziły się od europejskiej produkcji łań, a wartościową jej część (np. nowy rodzaj baterii sodowo-jonowych) przyciągnęły do siebie subwencjami dla producentów. Zresztą, jak się wydaje, kto miał na „ratowaniu klimatu” zarobić, już zarobił, skoro nawet Goldman-Sachs ogłasza odwrót od inwestowania w „zielone technologie” i otwiera linie kredytowe dla rewitalizowania kopalń węgla.

Mimo to słuszna – a nawet jedynie słuszna – strategia jest i będzie kontynuowana.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Józefem Orłem, filozofem i ekonomistą,
założycielem Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

Jarosław Kaczyński postawił na młodych

FOT. TOMASZ GOŁĄB / GOSK NIEZIELNY / FORUM

KAROL GAC: Przed wyborami samorządowymi stwierdził pan, że PiS jest odklejony od rzeczywistości. Przykleił się już do niej czy cały czas orbituje?

JÓZEF ORŁEM: Życie się zmieniło. Po pierwsze, umocniła się koalicja rządząca, która idzie w represje wobec PiS. Po drugie, w USA został wybrany Donald Trump. Po trzecie, mamy bardzo widoczny kryzys w Niemczech. Wydawałoby się, że to jest sytuacja, w której trzeba zmienić wnioski z analizy rzeczywistości. Nie widzę, by PiS to uczynił. Tyle tylko, że mamy następny etap, a więc prekampanię prezydencką. Być może PiS będzie

się ratował tym, co nowego wniesie Karol Nawrocki. Bardzo możliwe, że jego sztab da sobie radę, nawet bez pieniędzy z PKW, bo są w nim młodzi i pracowici ludzie, na czele z Pawłem Szefernakerem, który jest bardzo sprawnym organizatorem i doskonale zna się na Internecie.

Jeżeli patrzymy na pierwsze ruchy, to oprócz pełnych sal mocno zaakcentowano sport, czego dawno nie było. Tutaj jest nadzieja, że Nawrocki, szukając nowego elektoratu, mimochodem może pociągnąć PiS za sobą. Przypomnę jednak to, czego PiS nie zrobił. Do tej pory nie odniósł się do procesu własnej demoralizacji,

która skutkowała wieloma aferami. Nie mieliśmy kampanii oczyszczającej. Nie osądził własnych błędów, takich jak „piątka dla zwierząt”, odejście od kompromisu aborcyjnego, ponad 400-procentowa podwyżka składki zdrowotnej, promocja edukacji włączającej i inne, darmowe, ustępstwa wobec UE. PiS nie naprawił swojego wizerunku i tożsamości wobec tych, których odrzucił bądź odsunął.

Najbliższe pół roku upłynie nam pod znakiem wyborów prezydenckich. PiS postanowił poprzeć prezesa IPN Karola Nawrockiego jako kandydata obywatelskiego. Co pan na to?



Ja byłem za prof. Czarneckim, który akurat nie chciał kandydować, ponieważ wiedział, że to zmobilizuje drugą stronę. Może się okazać, że Karol Nawrocki to nie jest zła kandydatura, jeśli z jego CV nie wypadnie jakiś nowy „trup” i będzie gryzł trawę. Już w tym momencie zbiera dużą publiczność. Pomysł ze sportem był świetny i oby to kontynuował, bo może to przyciągnąć do niego część ludzi młodych. Jednocześnie może to pokazać kandydata PiS i samą partię z nietypowej strony. Jeżeli starzy doradcy wizerunkowi za bardzo nie będą się wtrącać, bo to oni zawalił kampanię parlamentarną z ubiegłego roku, to będzie dobrze. I trzeba zwrócić uwagę na to, że Jarosław Kaczyński postawił na młodych, budując zarząd operacyjny PiS i sztab wyborczy Nawrockiego.

Tylko wielu odebrało te wewnętrzne zmiany w PiS jako takie, które niczego nie zmieniają.

Jeśli chodzi o przywództwo Kaczyńskiego, to prawda, ale na bok zostało przesunięte prezydium komitetu politycznego, przez co straciło na znaczeniu. Faktycznie, wielu mówi w podobnym duchu co pan, ale okazało się nagle, że ci młodzi mogą zostać wciągnięci do sztabu prezydenckiego z perspektywą wyborów parlamentarnych w 2027 r., a oni mówią już innym językiem i o innych rzeczach. Ta zmiana zaczęła się w PiS jakoś objawiać. Pytanie, jak dużą wolność dostaną, bo to może zmienić samą partię.

W połowie października PiS połączył się z Suwerenną Polską. Jak pan ocenia ten ruch i relacje wewnętrzne obozu?

Politycy Suwerennej Polski są sprawni, lojalni wobec siebie i mają dużą energię. Nie jest tajemnicą, że ziobrzyści są lepsi od aparatu PiS-owskiego w wielu miejscach. To, że weszli do PiS, uwe wnętrznili tylko ich pozycję. Wcześniej wyglądało to na konkurencję z PiS, a obecnie wspólnie organizują struktury partii. To będzie oznaczać też zderzenia z tłustymi kotami PiS. Krótko mówiąc, walka frakcji będzie się rozwijać coraz bardziej. To zaś oznacza, że Jarosław Kaczyński w ciągu najbliższych lat nie zbuduje następstwa, które zagwarantuje brak wstrząsów. Tymczasem na horyzoncie mamy wybory parlamentarne. Jeśli PiS je przegra, to będzie koniec

jedności tej partii. To o tyle ważny czas, że osłabione Niemcy i KE uciekają do przodu w swoich pomysłach centralizacji i klimatyzacji Unii i resetu z Rosją.

Wróćmy do Karola Nawrockiego. PiS liczy na to, że nie ma elektoratu negatywnego i będzie w stanie przyciągnąć nowych wyborców w II turze, jak również że ciężko go będzie atakować. Tyle że nie był to oczywisty wybór, a wręcz pewnego rodzaju eksperyment.

Tyle samo znaków zapytania albo i więcej byłoby przy Przemysławie Czarńku, Mateuszu Morawieckim czy innych politykach PiS. Ta decyzja była rzeczywiście dość niespodziewana, bo wydawało się wcześniej, że kandy-

staci Nawrockiego coś, co jest obok PiS. Jeśli sztab utrzyma mobilizację, to cały aparat PiS powie sobie, że trudno, trzeba pracować na 100 proc., bo trzeba nadażyć za swoimi ludźmi. Najważniejszy jest pierwszy okres, który właśnie obserwujemy. To da odpowiedź na pytanie o dalsze „trupy w szafie” i o aktywność aparatu PiS. Co więcej, ten ruch może wpłynąć na zmiany w samym PiS.

Jeżeli jednak Karol Nawrocki wygra wybory, to może się pojawić myślenie, że wszystko było dobrze i nie potrzeba zmian.

To prawda, ale wtedy PiS przegra wybory parlamentarne. Inna rzecz, że samą zmianą będzie to, iż Karol Nawroc-

Kiedy Jarosław Kaczyński może pójść na emeryturę? Wyłącznie, gdy tak ustabilizuje sytuację w partii, że jasno wskaże następcę, a ten będzie się cieszył takim poparciem PiS, że nie rozwali to partii

datem zostanie prof. Czarnek. Sądzę, że kandydatura Nawrockiego została wybrana ze względu na sposób zarządzania partią. Gdyby Morawiecki albo Czarnek byli kandydatami, to niezależnie od wyniku wzmocniłoby to ich pozycję w partii i szanse na spadek po Jarosławie Kaczyńskim. Przeważyło też pewnie to, że Nawrocki nie przyjdzie do PiS i nie powie, że chce być następcą Jarosława Kaczyńskiego. On może oczywiście wstąpić później do PiS i zrobić karierę. Jednak nie na tyle, by przejąć partię, ale na tyle, by stworzyć czwartą frakcję. Najwyraźniej prezes PiS na cele priorytetów postawił to, by utrzymać spójność i władzę w partii. Może się okazać, że przypadkiem zbiegną się dwa priorytety, a więc Kaczyński utrzyma partię, a Nawrocki będzie dobrze prowadził kampanię.

Tylko trudno się ją robi bez pieniędzy, a PKW zabrała subwencję PiS. Nie będzie to więc równa walka.

Mam wrażenie, że jeśli ten rozpęd kampanii prezydenckiej Nawrockiego będzie się utrzymywał, to niespodziewanie możemy zobaczyć powstający oddolny ruch na rzecz kandydata. Być może szerokiemu elektoratowi PiS też się znudziła ta partia, ale otrzymał w po-

ki zostaje prezydentem, a on nie wygląda na bardziej miękki niż Andrzej Duda. Wręcz przeciwnie. Może się okazać, jeśli będą mu doradzać mądry ludzie, że to on będzie ośrodkiem zewnętrznej zmiany w PiS. Sama jego obecność może spowodować, że ta zmiana zacznie się organizować.

A jeśli przegra? Wróci wówczas na stanowisko prezesa IPN czy też zostanie w polityce?

To bardzo ciekawe pytanie, ale adres jest niewłaściwy, ponieważ wbrew pozorom wiele będzie zależało od Donalda Tuska. To on będzie musiał rozstrzygnąć, czy woli Nawrockiego jako prezesa IPN czy też popularnego polityka PiS. Zapewne naturalną reakcją Nawrockiego będzie powrót do IPN, lecz pytanie, czy mu na to pozwolą.

Wspomniał pan, że Jarosław Kaczyński nie wybiera się na emeryturę. Jednak co z prezesem PiS w obliczu tych wszystkich potencjalnych zmian, o których pan mówi?

Kiedy Jarosław Kaczyński może pójść na emeryturę? Wyłącznie wtedy, gdy tak ustabilizuje sytuację w partii, że jasno wskaże następcę, a ten będzie się cieszył takim poparciem PiS, że nie rozwali to partii.



Da się to zrobić? Mateusz Morawiecki był bardzo mocno wspierany przez Jarosława Kaczyńskiego przez kilka lat i wciąż ma silnych przeciwników, którzy za nic go nie zaakceptują.

Na razie się nie da i dlatego Kaczyński pozostaje szefem partii. To prawda, co pan mówi, lecz proszę zauważyć, że równolegle Jarosław Kaczyński budował też ziobrystów oraz inne frakcje. Jak wspominałem, priorytetem były spójność partii i przywództwo Kaczyńskiego. On zapewne myśli, że będzie jeszcze długo rządził partią. Nie ma więc planu B, na wypadek gdyby coś się stało z jego zdrowiem.

Jarosław Kaczyński jest politykiem inteligentnym, doświadczonym, a także wiekowym. Wydaje się naturalne, że musi się zastanawiać nad niespodziewanymi okolicznościami, czego rzecz jasna nikt mu nie życzy.

Najwyraźniej tego nie robi. Logika utrzymania władzy nad partią powodowała, że nie można było zorganizować bezpiecznego następstwa. To jest rzecz jasna trudne. Donald Trump wziął na wiceprezydenta J.D. Vance'a po to, by w przyszłości przejął republikanów. W PiS tak nie jest i to jest jeden z problemów Jarosława Kaczyńskiego i Polski. Zastanawiam się jednocześnie, czy kandydatura Nawrockiego nie pomoże w tej wewnętrznej zmianie PiS, bo pojawił się popularny człowiek, który może mieć dobry wpływ na partię. Ważne jest, by dać mu więcej swobody. Może się też okazać, że Nawrocki będzie miał silne argumenty tam, gdzie wydaje się, że to Trzaskowski jest silny.

Przejdźmy zatem na drugą stronę barykady. Mieliśmy prawyborcy w Koalicji Obywatelskiej, które z ogromną przewagą wygrał Rafał Trzaskowski.

Trzaskowski to uroczy, słaby kandydat. Może urok wystarczy i to jego lewactwo. Niestety, ale jest tak, że ta wojna dwóch bloków jest idiotyczna i osłabia Polskę. Łupem takiej polaryzacji, jak na całym Zachodzie, jest klasa średnia, a to ona jest filarem demokracji. Ani PO, ani PiS nie popierają w praktyce małej i średniej przedsiębiorczości, dlatego m.in. urosła Konfederacja. Sądzę, że Donald Tusk obawia się, by Trzaskowski nie urosł za bardzo. Jeśli zostanie prezydentem, to co się może stać? Najwyżej będzie „szorstka przyjaźń”, którą da się prze-

Może się okazać, że Nawrocki będzie miał silne argumenty tam, gdzie wydaje się, że to Trzaskowski jest silny

cież przetrwać. Pytanie, czy Tuska nie poniesie, choć to doświadczony polityk, by jakoś osłabiać teraz Trzaskowskiego. Jedyny problem, jaki oni mają, to to, czy czegoś propisowskiego nie powie czy nie zrobi Donald Trump, a także czy ich uległość wobec Berlina i Brukseli nie zaszkodzi na tyle obywatelom, że się odwrócą od PO. Ponadto czy podwyżki nie obróci ludzi przeciwko koalicji. Polacy obawiają się również wojny. Bezpieczeństwo i podwyżki to może być bardzo krytyczny wskaźnik szans wyborczych. Zwłaszcza, jeśli do maja, co raczej jest niemożliwe, ustabilizuje się sytuacja na Ukrainie na niekorzyść Kijowa. Wtedy pytanie, komu Polacy uwierzą, że mogłoby być lepszym obrońcą polskiej suwerenności i bezpieczeństwa.

13 grudnia mieliśmy rocznicę powołania rządu Donalda Tuska. Jakież refleksje?

Nie robią niczego dobrego, a wręcz przeciwnie, wiele złego. Uwalili w niemieckim interesie cały PiS-owski program dużych inwestycji. To efekt w głównej mierze zobowiązań Tuska, a także przekonanie, że z Polską jest tak źle, że trzeba szukać ratunku w Berlinie i Brukseli. Stąd ten fanatyczny ruch w kierunku centralizującej się Unii Europejskiej. To tłumaczy działania rządu, a także zapewnia poparcie jego elektoratu.

Tylko to nie czas rządów PO-PSL z lat 2007–2015. Wiele się zmieniło, społeczeństwo ma większe aspiracje, a i szczelność systemu medialnego jest mniejsza. Jak długo więc będą trwać igrzyska?

Aktualnie mamy i igrzyska, i chleb. PiS przez osiem lat bardzo podniósł poziom życia niższym grupom społecznym. Polakom nigdy tak dobrze się nie powodziło jak teraz. Problem polega na tym, że się nam powodzi, ale rząd nie ma pomysłu na dalszy rozwój dobrobytu, a w dodatku mamy na horyzoncie bardzo poważne zagrożenia. Wady rządu staną się

kluczowe, kiedy dwa problemy wyjdą na powierzchnię – bezpieczeństwo i portfel.

Nie wyszło to już na lokalną skalę w Polsce Południowo-Zachodniej przy okazji powodzi? Rząd Zjednoczonej Prawicy by przecież rozniesiono za to, co zrobił i dalej robi rząd Donalda Tuska.

Okazuje się, że Polacy nie są wspólnotą narodową. Polaków ze Szczecina niespecjalnie obchodzi wielka woda w Kłodzku. Powódź pokazała, że rząd nie jest w stanie ludziom pomóc, ale dobrze udaje. Egoistyczną postawę Polaków mogłaby zmienić chyba tylko jakaś ogólnokrajowa gigantyczna katastrofa albo – i to jest bardziej prawdopodobne – nagła utrata szans na dalsze bogacenie się. Dlatego w sprawie portfela Tusk będzie dbał o to, by się nam pogarszało wolno i po cichu. Pytanie, czy ta koalicja jest to w stanie zrobić.

Na koniec pytanie o Donalda Trumpa, który wygrał wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. To w jakikolwiek sposób przełoży się na Polskę i naszą scenę polityczną?

Moim zdaniem wyraźne propisowskie działania nowego prezydenta USA to bajka. Ciekawe jest jednak to, że ambasador Mark Brzezinski się już spakował. Pytanie: Co go do tego skłoniło? Departament Stanu czy sprawy prywatne? Podobno jego rodzeństwo rozmawiało z Trumpem na temat obsady ambasady w Warszawie.

Sądzę, że Ameryka nie docenia kwestii Europy, Rosji i nie widzi tego, że opuszczenie Europy oraz pozwolenie na to, by Niemcy wróciły do resetu z Rosją, będą niekorzystne dla Stanów Zjednoczonych. Chodzi przede wszystkim o to, że Rosja w układzie z Niemcami wzmocni się, ale nie zrezygnuje z sojuszu z Chinami, a taki sojusz rosyjsko-chiński byłby silniejszy niż Ameryka. Już w tej chwili nie wiadomo, kto wygra rywalizację pokojową.

Myślę też, że to Niemcy z Brukselą mogły myśleć o zmianie rządu w Polsce i działać na jej rzecz, ale Stany Zjednoczone nie mają takich narzędzi. Spodziewam się wpływu na rząd Tuska, by uwzględnił interesy USA, co paradoksalnie może oznaczać większą przestrzeń dla polityki rządu Tuska i w ogóle dla polityki polskiej, że polityka Trumpa może być korzystna i dla Platformy, i dla PiS.

© All rights reserved

CHANUKA CZY BOŻE NARODZENIE?



EUROPO! WYBÓR NALEŻY DO CIEBIE!

GRZEGORZ BRAUN – POLSKI NIEZRZESZONY POSEŁ DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO.

WYŁĄCZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA DZIAŁALNOŚĆ POLITYCZNĄ I INFORMACYJNĄ SPOCZYWA NA POSŁE LUB POSLANCE, KTÓRZY JĄ FINANSUJĄ. PARLAMENT EUROPEJSKI NIE PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA EWENTUALNE WYKORZYSTANIE ZAWARTYCH W NIEJ INFORMACJI.

www.gbraun.pl





Self-made „Stano”



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Gdyby szanse na powodzenie w wyborach prezydenckich mierzyć liczbą ataków mediów lewicowo-liberalnych, Krzysztof Stanowski mógłby liczyć na co najmniej drugą turę



Rafał Trzaskowski ma trzy powody do zmartwień. Jednym z nich jest Krzysztof Stanowski – ogłosiła niedawno „Gazeta Wyborcza”. Obok długiej kampanii (choć oficjalnie jeszcze jej nie ma, wszyscy wiemy, że de facto trwa), która wymaga utrzymania uwagi i mobilizacji wokół kandydata KO oraz obawy przed wzrostem rozpoznawalności – a co za tym idzie popularności – Karola Nawrockiego, sztabowcy Trzaskowskiego drżą przed tzw. kandydatem zewnętrznym. – Wszystkie badania pokazują, że na scenie politycznej przed wyborami prezydenckimi jest sporo miejsca dla kandydata niezależnego spoza bieżącego układu partyjnego – mówią informatorzy „GW”. Okazuje się, że w tym kontekście najczęściej pada nazwisko właśnie Krzysztofa Stanowskiego. – Jeśli wypłynie ktoś nowy, tak jak Paweł Kukiz, który w 2015 r. zajął trzecie miejsce, lub

Szymon Hołownia w 2020 r., to odbierze wszystkim kandydatom nieco poparcia w pierwszej turze i znowu może być tuż za pierwszą dwójką – twierdzi „Gazeta...”. A sympatycy, czyli potencjalni wyborcy Stanowskiego, są postrzegani bardziej jako konserwatywni światopoglądowo zdroworozsądkowi wolnościowcy niż liberałowie czy lewicowcy. Stąd w drugiej turze raczej zagłosowaliby na Nawrockiego niż Trzaskowskiego.

Czy Krzysztof Stanowski naprawdę wystartuje w wyborach? Na razie tylko raz po raz puszcza oko do opinii publicznej spragnionej jednoznacznej deklaracji. „Jako kandydat na prezydenta w wyborach 2025 informuję, że jeśli ktoś przyjdzie na moją konferencję i znieścacka zapyta o traktat ottawski, nie dając mi czasu, żebym wygooglował, co to jest, to dostanie kopa w dupę. Dziękuję” – napisał w serwisie X, nawiązując do pytania, które

Dziennikarz wyśmiewa potencjalnych rywali, pokazując swój dystans do polityki

podczas konferencji dostał dość nieoczekiwane Karol Nawrocki.

Dziennikarz wyśmiewa potencjalnych rywali, pokazując swój dystans do polityki. „Podczas gdy kandydaci na prezydenta od świtu jeżdżą na targowisko albo noszą worki, ja się wysypiam. Prezydent musi być wypoczęty, by mieć świeże spojrzenie i godnie reprezentować urząd. Ale jednego konkurenta mogę zatrudnić w dziale zaopatrzeniowym, a drugiego w remontowym” – to komentarz Stanowskiego do prekampanijnych działań Trzaskowskiego



FOT. PIOTR GRZEBIŃSKI/SE/EST NEWS

badanych wskazało, że jeśli wystartuje, to ma ich głos. Zdecydowanie więcej sympatyków dziennikarz ma wśród mężczyzn (12,8 proc.) niż wśród kobiet (7 proc.), co nie powinno dziwić, skoro jego korzenie to dziennikarstwo sportowe. – Grupą wiekową najczęściej deklarującą możliwość zagłosowania na Krzysztofa Stanowskiego są osoby w wieku od 25 do 34 lat. Z uwagi na wysokość zarobków oddanie głosu na Krzysztofa Stanowskiego biorą pod uwagę najczęściej respondenci z dochodami przekraczającymi 5 tys. zł netto miesięcznie. Biorąc pod uwagę klasę miejscowości, odsetek ten jest najwyższy wśród osób z miast liczących od 200 tys. do 499 tys. mieszkańców (11 proc.) – wyjaśniała Małgorzata Bodzon, senior project manager w SW Research, pracowni odpowiedzialnej za sondaż dla „Rzeczpospolitej”. Co ciekawe, poparcie na poziomie 9,7 proc. w poprzednich wyborach prezydenckich dałoby Stanowskiemu czwarte miejsce – za Andrzejem Dudą, Rafałem Trzaskowskim i Szymonem Hołownią. Byłby jednak przed Krzysztofem Bosakiem. W badaniu tej samej pracowni z początku października sprawdzono, kto byłby najlepszym kandydatem PiS, gdyby formacja ta chciała poprzeć kogoś spoza struktury. Choć aż 66,5 proc. respondentów powiedziało, że nie ma zdania, to najczęściej wskazało właśnie na Stanowskiego. Uzyskał 8,5 proc., czyli więcej niż m.in. gen. Roman Polko, prof. Andrzej Zybertowicz i szef BBN Jacek Siewiera.

Wielu spodziewa się, że swoją kampanię Krzysztof Stanowski zainauguruje w lutym. W połowie miesiąca w łódzkiej Atlas Arenie odbędzie się dwudniowy kongres jego mediów. Informacje podane przy okazji ogłaszania wydarzenia nie sugerowały jego politycznego charakteru. „Kiedy zobowiązałem się, że pomogę uzbierać 8 milionów złotych dla Ady, wiedziałem, że klasyczna zbiórka może nie wystarczyć. Dlatego organizujemy... dwudniowy kongres!” – zapowiedział szef Kanału Zero. W planach „topowi prelegenci, roast z udziałem czołówek sceny stand-up, strefy tematyczne, impreza z okazji 1. urodzin Kanału Zero oraz integracja”. Cały zysk ma zostać przeznaczony na cel charytatywny. Stanowski nie jest jednak przecież etatowym politykiem, a człowiekiem mediów (i coraz bardziej biznesu), a więc połączenie

Krzysztof Stanowski już w wieku 14 lat rozpoczął staż w redakcji „Przeglądu Sportowego”

rozpoczęcia kampanii prezydenckiej z kongresem medialnym nie byłoby w tym przypadku zaskakujące.

Czterdziestodwuletni Krzysztof Stanowski przygodę z dziennikarstwem sportowym zaczął bardzo wcześnie. Już w wieku 14 lat rozpoczął staż w redakcji „Przeglądu Sportowego”. Był też związany z klubowym magazynem stołecznej Legii. Mając 20 lat, został wysłany przez „PS” jako korespondent na mundial do Korei Południowej i Japonii. Szybko został szefem działu piłkarskiego. W CV Stanowski ma też współpracę m.in. z „Super Expressem” i „Dziennikiem”. Dziennikarz poszedł „na swoje”, otwierając grupę medialną Weszło. To działający z powodzeniem od 2008 r. portal weszlo.com, telewizja internetowa WeszłoTV (kanał w serwisie YouTube) oraz biuro podróży Weszło Travel, które oferuje wycieczki na mecze piłkarskie w całej Europie.

Ważnym momentem w karierze Stanowskiego było otwarcie wraz z Michałem Polem, Tomaszem Smokowskim i Mateuszem Borkiem działającego na platformie YouTube Kanału Sportowego. Choć każdy z założycieli KS to gwiazda mediów sportowych, to trudno było nie zauważyć, że to Stanowski, na tle kolegów wybija się najmocniej. Największym zainteresowaniem widzów KS cieszyło się „Dziennikarskie Zero”, czyli jego autorskie commentary. To w ramach tego formatu Stanowski zajął się sprawą rzekomej wielkiej kariery Natalii Janoszek w Bollywood (film pt. „Bollywoodzkie Zero. Natalia Janoszek the end” – 11 mln wyświetleń) czy coachingowym festiwalem nabijania naiwnych w butelkę („Life Balance Congress” – 2,7 mln wyświetleń). Dziennikarz nie uciekał od tematów politycznych – krytykował blokadę Donalda Trumpa na dawnym Twitterze, mówił o projekcie dotyczącym opłaty reprodukcyjnej, a także zajmował się kwestią kryzysu migracyjnego na granicy z Białorusią i związaną z nim histerią polskich

oraz prezesa IPN. W lutym, gdy z hukiem, bo wywiadem z prezydentem Andrzejem Dudą, inaugurował działalność Kanału Zero, jego założyciel powiedział, że chciałby „zobaczyć, jak wygląda kampania prezydencka od środka”. – Mam zamiar nagrywać na ten temat różnego rodzaju vlogi, chciałbym, żeby kamera za mną podążała. Chciałbym zobaczyć, jak to jest być kandydatem na prezydenta, a nie da się tego zrobić inaczej, niż startując w wyborach na prezydenta. W związku z czym zamierzam to zrobić – oświadczył. W mediach społecznościowych napisał: „Chciałem doprecyzować: to, że chcę startować w wyborach na prezydenta Polski, nie oznacza, że chcę być prezydentem Polski. Oznacza jedynie, że chcę startować i z bliska obserwować ten cyrk i wziąć udział w debatach :)”. W pierwszym sondażu po tamtej deklaracji Stanowski uzyskał naprawdę dobry wynik – 9,7 proc.



■ celebrytów. Było widać, że „Stano” ma zadatki do komentowania „bieżączki” i po prostu to lubi. Nie wszyscy zgadzali się – i wciąż nie zgadzają – z jego ocenami. Głównym zarzutem jest „chłopskorozumizm” – czyli dawanie bardzo prostych recept na bardzo skomplikowane problemy. Wątpliwości budzi też fakt współpracy dziennikarza z serwisem bukmacherskim, który jednocześnie jest sponsorem Kanału Zero. Kolejnym argumentem krytyków Stanowskiego jest jego bliska znajomość z Czesławem Michniewiczem, która ich zdaniem sprawia, że dziennikarz nie draży tematu powiązań trenera z „Fryzjerem” i afery ustawiania meczów z początku lat 2000. Szef Kanału Zero podpadł też fanom Leszka Sykulskiego, gdy pod presją komentatorów serwisu X odwołał debatę Sykulski-Bartosiaak o Rosji i geopolityce. „Gdyby nawet [...] Sykulski został przez Bartosiaka rozwalcowany, to nawet jakieś małe słowne zwycięstwa strony rosyjskiej, pojedyncze zdobyte punkty mogłyby rezonować w sposób długofalowo niebezpieczny dla Polski” – wyjaśniał.

KANAŁ ZERO

Jesienią ubiegłego roku Stanowski ogłosił odejście z Kanału Sportowego. – Decyzja o odejściu dojrzała we mnie od wielu miesięcy. Mam podejście do pracy, że musi się zgadzać albo atmosfera, albo biznes. Ale jeśli nie zgadza się ani jedno, ani drugie, a do tego dochodzą znaczące różnice w zakresie standardów zachowań akceptowalnych przeze mnie, to trzeba szukać wyjścia awaryjnego – wyjaśniał. Poszło o – jego zdaniem – nierównomierny wkład partnerów w rozwój medium. – Czasami mówiłem, że nie podoba mi się model rozliczeń, który jest całkowicie oderwany od pracy i jej efektów. Ja osobiście lubię tworzyć, a znalazłem się w sytuacji, gdy sam siebie hamowałem, bo nie czułem się traktowany fair – stwierdził. Pokróćce: materiały „Stano” generowały znacznie większe wyświetlenia niż pozostałych dziennikarzy KS, co nie przekładało się na jego zyski. Odchodząc z KS, Stanowski zapowiedział stworzenie własnego projektu. Projektem tym był Kanał Zero. Dzięki niemu nie tylko stał się popularnym dziennikarzem dużego kanału, lecz także zaczął wprost kreować dyskurs me-

dialny. Kiedy w mediach zaczęła narastać dyskusja wokół prób skasowania projektu CPK przez rząd Donalda Tuska, na Kanałe Zero zorganizowano prawie trzygodzinną, szeroko komentowaną debatę na ten temat. Były też dodatkowe filmy i cała seria poświęcona transportowi lotniczemu przygotowana przez Macieja Wilka. Na pełen etat zajął się komentowaniem polityki. Zaczął rozliczać swoich wrogów. Poszedł na wojnę z „Gazetą Wyborczą”, która opublikowała serię atakujących go tekstów. Piotr Głuchowski, opierając się na nieanonimowych i anonimowych źródłach, kreślił obraz mizoginistycznego, homofobicznego Stanowskiego, którego działalność przypomina „imperium Rydzyka”. Głuchowski powołał się m.in. na „komentatora sportu z pokolenia 50 plus”.

Jest pewne, że Stanowski stał się nie tylko szefem ważnego kanału informacyjno-publicystycznego, lecz także „politycznym” influencerem

– Gdy Stanowski prowadził jeszcze Kanał Sportowy, część ludzi brzydziła się tam chodzić. On miał tego świadomość, więc Kanał Zero wystartował od wywiadu z prezydentem. Bo jeśli Andrzej Duda zgodził się wystąpić, to chyba osoby mniej ważne nie mają powodu, by kręcić nosami – przekonywał rozmówca „GW”. „Mizoginizm, homofobia i hazard. Takie zarzuty miały zniechęcić sponsorów nowo powstałego Kanału Zero Krzysztofa Stanowskiego. Że tak się nie stało, sprawiły dwie osoby: Stanowski, który wybronił się filmem ujawniającym dziesiątki błędów w artykule »Wyborczej«, oraz sam autor tekstu – Piotr Głuchowski. Znany ze zmyśleń, plagiatów, kreowania anonimowych informatorów i podkręcania tekstów” – wskazał w analizie tekstu Głuchowskiego branżowy portal wirtualnemedial.pl. „Kłamstwa, manipulacje i obrzydliwości »Gazety Wyborczej«” – ten odcinek „Dziennikar-

skiego Zera” na Kanałe Zero ma obecnie 1,6 mln wyświetleń.

LEKCEWAŻĄCY MAINSTREAM

Być może to właśnie na sporze z „Wyborczą” Stanowski mógłby oprzeć swoją kampanię. Oprócz ironii i internetowego memiarstwa, które uprawia z radością i powodzeniem, ma za sobą autentyczną historię – self-made mana, którego nie-nawidzi i zwalcza (również kłamstwem) mainstream. Na razie jednak mainstream jest na etapie lekceważenia „Stana”. – Nie da się go wepchnąć w spór Tuska i Kaczyńskiego – to jest jego atut. Że na scenie politycznej trudno go usadowić nawet i pośrodku. A duża część społeczeństwa funkcjonuje poza podziałem na PiS i anty-PiS. Prezydentury jednak nie zdobędzie. Chociaż z łatwością zdobywa fanów, bo przecież w liczbie widzów Zero dogoniło TV Republika, zostanie jedynie elementem galaktyki mediów niemainstreamowych – ocenił Jacek Żakowski. Naczelny OKO.press Michał Danielewski mówi, że nie wyobraża sobie startu Stanowskiego w wyborach prezydenckich. – Profil Stanowskiego, jako osoby publicznej, jest nieco krotkochwilny. Jego rozpoznawalność jest duża, ale w obrębie bańki medialnej – ludzi, którzy korzystają z mediów internetowych i społecznościowych. W kontekście politycznym, a zwłaszcza wyborów prezydenckich, już taka duża nie jest – stwierdza. Jego zdaniem wyborcy „nie oczekują od prezydenta, że będzie wujciem wariatuńcem albo performerem z YouTube”. – Oczekują powagi. Można być bardzo elokwentnym, dobrze wypadać w mediach i to na pewno Stanowski potrafi. Jednak dziennikarstwo, performance czy publicystyka to co innego niż start w wyborach prezydenckich – wskazuje Danielewski.

Czy popularność w sieci przełoży się na tę rzeczywistą? Na razie trudno wyrokować. Pewne jednak, że oprócz bycia szefem ważnego kanału informacyjno-publicystycznego Stanowski sam stał się „politycznym” influencerem. W serwisie X obserwuje go 1,2 mln osób, na Instagramie 380 tys., a Kanał Zero ma 1,4 mln subskrybentów. Co nie bez znaczenia w kontekście wyborów prezydenckich, dziennikarz ma rodzinę jak z obrazka – ładną żonę i dwóch uroczych synów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Strajk w Stoczni Gdańskiej. Przemawia Andrzej Kołodziej (sygnatariusz ostatniego listu protestującego przeciwko konwencji Szymona Hołowni w sali BHP), obok Henryka Krzywonos i Anna Walentynowicz, sierpień 1980 r. FOT. IPN



Jedyna taka sala

Ambicje Szymona Hołowni, by rozpocząć swoją kampanię prezydencką w historycznej Sali BHP Stoczni Gdańskiej, przypomniały, jak wciąż ważne, symboliczne znaczenie ma to miejsce. Sala, w której podpisano porozumienia sierpniowe 1980 r. i gdzie powstała Solidarność, jest miejscem, które w wielu Polakach wywołuje żywe emocje. Ostrość i zdecydowanie protestu przeciwko zamiarom marszałka Sejmu zaskoczyły Hołownię. Jak się okazało, Sala BHP to nie jest miejsce, które może być dostępne tylko dlatego, że ktoś ma wystarczająco dużo pieniędzy, by było stać go na jej wynajęcie.

MILITARNE POCZĄTKI

Dla wielu czytelników może być pewnym zaskoczeniem, że to wyjątkowe pomieszczenie miało dość militarne okoliczności powstania. Na przełomie wieków XIX i XX stocznia cesarska –



Piotr Semka

Bez poznania i zrozumienia historii Sali BHP Stoczni Gdańskiej nie można zrozumieć, dlaczego pomysł Szymona Hołowni na rozpoczęcie swej kampanii prezydenckiej właśnie w sali BHP wywołał tak szeroki protest

poprzednik późniejszej Stoczni Gdańskiej – była miejscem budowy okrętów wojennych dla floty kajzera Wilhelma II. Obecna Sala BHP została wybudowana jako magazyn torped dla cesarskiej floty. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej ze stoczni usunięto produkcję wojenną i wojskowe baraki pełniły różne funkcje. W 1947 r. powstała Stocznia Gdańska i obiekt ten zaczął służyć do spotkań i mniejszych konferencji. Większe zgromadzenia zwoływano w hali widowiskowej stoczni, która mieściła

ok. 3 tys. osób. Służyła do „masówek” załogi, ale odbywały się tam też walki bokserskie. Hala spłonęła w czasie rockowego koncertu 24 listopada 1994 r. W pożarze zginęło siedem osób, a ponad 300 zostało poparzonych.

Wróćmy jednak do Sali BHP. Od 1961 r. zaczęła ona służyć do kursów bezpieczeństwa oraz higieny pracy i od skrótu tej nazwy wzięła się tradycyjna nazwa sali. Ale odbywały się też na niej narady partyjne dość licznej Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR w stoczni.



■ W kwietniu 1967 r. stocznia otrzymała z okazji 50. rocznicy rewolucji październikowej imię Włodzimierza Iljicza Lenina – przywódcy rosyjskiej rewolucji. W związku z tym w rogu sali ustawiono naturalnej wielkości rzeźbę wodza, która – jak głosiła stoczniowa legenda – była darem od „towarzyszy radzieckich”.

Gdy w sierpniu 1980 r. w stoczni wybuchł strajk – protest szybko zaczął rozprzestrzeniać się na coraz większą liczbę zakładów Trójmiasta i okolic. Powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który zaczął się błyskawicznie rozrastać. Po pewnym czasie liczył paręset delegatów z poszczególnych zakładów. W tej sytuacji na miejsce zebrania MKS wybrano stosunkowo dużą Salę BHP. Pasowała do tej roli również dlatego, że miała dużą scenę z długim prezydyalnym stołem, przy którym akurat mieściło się ok. 18 członków szefów i prezydium MKS.

Tłem sceny było duże godło, do którego bardzo prędko dodano z boku sporej wielkości krucyfiks. Ten element wystroju sali stał się zresztą elementem jednej z bardzo charakterystycznych scen sierpniowego protestu. Zwyczajem stała się praktyka, że kolejni przedstawiciele strajkujących zakładów przybywający na Salę BHP przedstawiali się publicznie i ogłaszali, który zakład pracy reprezentują. Gdy w ten sposób przedstawił się delegat jednego z protestujących zakładów w Pruszczu Gdańskim, któryś z innych delegatów obecnych na sali rozpoznał w nim szefa zakładowej komórki PZPR i głośno zakwestionował jego dobrą wolę. W odpowiedzi na zarzut kontrowersyjny delegat wziął krzesło, wszedł na scenę, stanął i trzymając palec na krzyżu, uroczystie złożył przysięgę wierności sprawie strajku.

Umieszczony w centrum sali krzyż był zresztą ulubionym motywem zagranicznych fotoreporterów, którzy tak kadrowali zdjęcia prezydium MKS, by z jednej strony na fotografii zmieścić się symbol krzyża, a z drugiej strony stojący w rogu pomnik Lenina. Notabene gipsowy Lenin był pod ścisłą ochroną straży strajkowej, która drżała, by ktoś nie rozbił figury, co mogłoby być wykorzystane przez władze do oskarżenia strajkujących o chęć sprowokowania Związku Sowieckiego.

Podpisanie porozumień sierpniowych zapewniło Sali BHP trwałe miejsce w hi-



Szymon Hołownia, zirytowany cofnięciem zgody na wynajęcie mu Sali BHP Stoczni Gdańskiej, próbował zemścić się na związku, zjadliwie komentując decyzję Piotra Dudy FOT. ANNA STRZYŻAK/KANCELARIA SEJMU

storii. Ale wtedy jeszcze nikt nie myślał o zamienieniu jej w muzeum. Nadal była potrzebna do wielu spotkań. W czasie 18 miesięcy wolnościowego karnawału lat 1980–1981 raz obradowała w niej komisja zakładowa Solidarność, a innym razem zbierała się w niej organizacja partyjna PZPR Stoczni Gdańskiej.

HISTORIA NIE ZWALNIA TEMP

Najbardziej dramatyczne wspomnienia z Salą BHP w roli głównej starzy działacze Solidarności wiąże z 12 grudnia 1981 r. Właśnie tu wyznaczono ostatnie – jak się okazało – posiedzenie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Do delegatów docierały już niepokojące sygnały z wielu regionów o wychwytywanych plotkach z rodzin milicyjnych i wojskowych o przygotowywaniu jakiejś wielkiej akcji wprowadzenia stanu wyjątkowego. Dalekopis „krajówki” wyrzucał z siebie informacje o ruchach dużych kolumn pojazdów milicyjnych i wojskowych w okolicach największych polskich metropolii. Wielu działaczy związku odreagowywało te niepokojące wieści buńczuczными deklaracjami, że związek jest w stanie podjąć strajkową konfrontację z ekipą gen. Wojciecha Jaruzelskiego, coraz bardziej idącą na zderzenie. Jak wspominają liczni świadkowie, przewodniczący obradom Lech Wałęsa miał zniknąć gdzieś na dwie godziny w czasie przerwy obiadowej. Po powrocie miał już tylko milczeć, pozwalając sobie jedynie na ironiczną uwagę, że wobec ostrości wystąpień związkowych radykałów trzeba sprawdzić pożywienie w stołówce stoczniowej, czy ktoś czegoś nie dosypał delegatom. Uparta plotka

głosiła potem, że Wałęsa miał spotkać się na plebanii parafii św. Brygidy z przedstawicielami ekipy Jaruzelskiego, którzy mieli go powiadomić o planowanym ataku. Reprezentanci władzy mieli przekonać Wałęsę, by zrezygnował z mobilizowania związku do obrony przed przeważającymi siłami aparatu władzy.

Taka wersja tłumaczyłaby zapamiętane przez wielu delegatów apatyczne zachowanie lidera Solidarności w popołudniowej części spotkania.

Dramatyczne obrady „krajówki” zakończyły się tuż po północy. Ci z delegatów, którzy udali się na nocleg do wynajętych przez związek na potrzeby spotkania pokoi w hotelu Monopol, zostali wyłapani przez SB. Ci, którzy wyruszyli samochodami w nocną podróż do domów lub ostrzeżeni niepokojącymi sygnałami na wszelki wypadek prze-nocowali poza domem, byli jedynymi działaczami władz Solidarności, którzy uniknęli wówczas internowania i mogli zejść do podziemia.

W niedzielę wieczorem 13 grudnia 1981 r. rozpoczął się dramatycznie gorzki strajk w stoczni. Nieliczna, ok. 200-osobowa grupa stoczniowców oraz osób spoza zakładu gotowych wspomagać strajk zebrała się w stołówce nieodległej od głównej bramy stoczni. Sala BHP do żadnych zebrzań się nie nadawała, gdyż była położona zbyt daleko (kilkaset metrów) od bramy głównej i trudno było z niej obserwować ruchy milicji wokół strajkującego bastionu Solidarności.

Po pacyfikacji zakładu w nocy z 15 na 16 grudnia 1981 r. stocznia wróciła do pracy. Z Sali BHP usunięto krzyż i znów



służyła ona do szkoleń dotyczących bezpieczeństwa pracy.

Na chwilę Sala BHP zapłonęła politycznymi emocjami 25 sierpnia 1983 r. Lubujący się w efektownych propagandowych szarżach komunistyczny wicepremier Mieczysław Rakowski zaproponował otwarte spotkanie i dyskusję z załogą stoczni. Rakowski ogłosił w trakcie wiecu, że „stan wojenny został wprowadzony po to, aby Polska była Polską. Solidarność została zniszczona przez ekstremistów, przez ludzi, którzy z różnych powodów stali się wrogami socjalizmu”. Oczywiście takie wypowiedzi musiały wywoływać oburzenie i gwizdy, ale Rakowskiemu – jak wtedy mówiono, za podszeptem Jerzego Urbana – zależało na demonstrowaniu pewności siebie władzy i faktycznej bezsilności stoczniowców.

Pięć lat później stocznia przeżywa na nowo rewolucyjny zryw. W maju i sierpniu 1988 r. młoda generacja Solidarności staje się siłą podobnych strajków okupacyjnych. Ale podobnie jak w grudniu 1981 r. Sala BHP nie staje się w trakcie protestu centrum wydarzeń. Za to chwilę sławy przeżywa stołówka stoczniowa, na której odbywają się najważniejsze spotkania strajkujących z Lechem Wałęsą, który przyłącza się do protestu. Strajk kończy się przyjęciem przez Wałęsę zaproszenia władz PRL do rozmów Okrągłego Stołu.

Sala BHP przeżywa raz jeszcze wielką chwilę 29 kwietnia 1989 r. To właśnie tu odbywa się spotkanie kandydatów Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” na posłów i senatorów. Ktoś wpada na genialny pomysł, by korzystając z okazji, zrobić wszystkim kandydatom zdjęcia z Lechem Wałęsą. Trafiają one potem na plakaty wyborcze i staną się przepustką do pełnego zaufania mało znanych niekiedy kandydatów w swoich okręgach wyborczych. Grupa trzech, czterech fotografów cierpliwie obfotografowuje wszystkich chętnych, a wymęczony Lech Wałęsa paręset razy musi uśmiechać się wraz z każdym kolejnym kandydatem do obiektywu.

SALA NIEZGODY

Na początku lat 90. mimo wojny na górze i wyłonienia się z ruchu Solidarności wielu partii nic jeszcze nie wskazywa-

ło, by podziały miały być tak dramatycznie głębokie. Zarówno władze Gdańska, na których czele od 1998 r. staje Paweł Adamowicz, jak i władze NSZZ „Solidarność” z Marianem Krzaklewskim zgodnie spotykają się w siedzibie arcybiskupa gdańskiego Tadeusza Goćłowskiego, deklarując wolę powołania Europejskiego Centrum Solidarności. Placówki muzealnej, która zbierałaby pamiątki po związkowej epopei. Ale lata płyną i prace nad muzeum lekko buksują. Rząd dusz nad gdańskimi elitami zdobywają liberałowie od Donalda Tuska, którzy postrzegają stocznę jako relikw po epoce PRL i nie kryją sceptycyzmu w kwestii zasadności utrzymania zakładu. Z kolei dla NSZZ „Solidarność” uratowanie „kolebki ruchu” staje się priorytetem. Związkowcy z czasem nabierają podejrzeń, że ekipa Tuska nie ma nic przeciwko „zaoraniu” stoczni.

Umieszczony w centrum sali krzyż był ulubionym motywem zagranicznych fotoreporterów, którzy tak kadrowali zdjęcia prezydium MKS, by z jednej strony na fotografii zmieścić się symbol krzyża, a z drugiej strony stojący w rogu pomnik Lenina

W 2007 r. powstaje wreszcie Europejskie Centrum Solidarności, ale woli do partnerstwa ze związkiem nie widać. Liberałowie i byli weterani opozycji związani z Lechem Wałęsą starają się odsunąć związek od współdecydowania o losach tej placówki. Jej przedstawiciele są lekceważeni i atakowani w trakcie posiedzeń rady ECS. Za to ekipa Tuska, która właśnie doszła do władzy, udziela wszelkiego wsparcia w budowie gigantycznego nowego budynku wystawy stałej Centrum, w której umieszczono również bibliotekę, salę wielofunkcyjną, a także biuro byłego prezydenta Lecha Wałęsy i siedzibę dla licznych organizacji pozarządowych. Faktycznie wypchnięta z ECS Solidarność w porę zadbała, aby zapewnić sobie

prawne gwarancje własności w stosunku do Sali BHP. Od 24 sierpnia 2010 r. sala zyskuje status muzealny.

I to ona na zasadzie kontrastu wobec „wypasionego” ECS staje się miejscem tożsamości związku pod wodzą Piotra Dudy i gdańskiej prawicy. To tutaj Beata Szydło, a potem Mateusz Morawiecki urządzają spotkania z okazji rocznic 31 sierpnia 1980 r. i daty wprowadzenia stanu wojennego. Dysponowanie salą przez NSZZ „Solidarność” niekiedy budziło też wątpliwości. Tak było, gdy w kwietniu 2018 r. Piotr Duda zgodził się, by salę wynajął Obóz Narodowo-Radykalny, który urządził tu swój zamknięty zjazd. Tego typu dyskusyjne decyzje w stosunku do sali były jednak zdecydowanym wyjątkiem.

Dopiero rozumiejąc tę polaryzację, można zrozumieć, dlaczego pomysł Szymona Hołowni na rozpoczęcie swej kampanii prezydenckiej właśnie w Sali BHP wywołał tak szeroki protest. Hołownia, wyraźnie zirytowany cofnięciem zgody na wynajęcie mu sali, spróbował zemścić się na związku, zjadliwie komentując decyzję Piotra Dudy. „Kustosze historycznej Sali BHP zgadzali się na partyjne pogadanki Jarosława Kaczyńskiego, ale boją się, że padną tam słowa o niezależnej prezydenturze”. Równie zjadliwi są działacze partii Hołowni Polska 2050, którzy mówią: „Nie obrażamy się na Solidarność. Trochę jednak smutno, że obecne władze związku zawłaszczają symbole, które powinny być nas wszystkich” – tak komentowali sprawę w rozmowie z portalem Onet.

Weterani gdańskiej Solidarności, tacy jak Krzysztof Wyszkowski, uważnie rejestrują tego typu wypowiedzi. Jak wskazuje Wyszkowski: „Ekipa Tuska zawłaszczyła już idee Europejskiego Centrum Solidarności i z udziałem bardzo dużej ilości złej woli wypchnęła z niej ludzi, którzy nie akceptują ulukrowanej wizji historii à la Tusk i Wałęsa. Wydawało się, że zaspokoją się swoją dominacją nad ECS, a Salę BHP zostawią w spokoju. Teraz symboliczna próba Hołowni zawłaszczenia legendy sali, na której rodziła się Solidarność, pokazuje, że apeły koalicji 13 grudnia mogą się wzmocnić. Trzeba uważnie obserwować, co jeszcze mogą wymyślić. Jedno jest pewne. Sala BHP poza ich władaniem wyraźnie kole ich w oczy”.



Sprawy bez odpowiedzi



W październiku tego roku zaczął się trzeci proces w sprawie zabójstwa Ewy Tylman. Na zdjęciu: Adam Z., który ostatni widział ją żywą FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP



Łukasz Zboralski

Choć co jakiś czas policjanci i prokuratorzy z archiwum X rozwiązują sprawę sprzed lat, to jest w Polsce kilka takich, o których prawdy chyba już nie poznamy. Kto zabił gen. Papałę, dziennikarza Ziętarę, syna biznesmena Olewnika i gdzie zniknęła Iwona Wieczorek?

W połowie listopada po raz trzeci przed sądem stanął Adam Z. Był ostatnim człowiekiem, który widział żywą Ewę Tylman. W 2015 r. w nocy 23 listopada 26-latka bawiła się ze znajomymi w poznańskich lokalach. Ostatni opuściła po godz. 2. Wyszła z kolegą Adamem. Szli w kierunku jej domu. Kamery monitoringu nagrały ją po godz. 3 na przystanku „Most św. Rocha”.

Już w grudniu Adam trafił do aresztu. Prokuratura od początku podejrzewała, że dopuścił się morderstwa. Osiem miesięcy po zaginięciu zwłoki Ewy znaleziono w Warcie. Były w takim stanie, że biegłym nie udało się ocenić, jak właściwie zmarła.

Adam Z. w śledztwie zeznał, że widział, jak Ewa potyka się i wpada do wody. Widział, jak odpływa z nurtem. Mimo że był trzy kroki od niej, nie próbo-

wał pomóc, wyciągnąć ręki, nie zadzwonił po pomoc, choć miał telefon. Przed sądem Adam wycofał się z tych słów. Nigdy nie przyznał się do winy.

Jego pierwszy proces rozpoczął się w 2017 r. przed Sądem Okręgowym w Poznaniu. Prokuratura uważała, że zepchnął koleżankę do wody i godził się na to, że straci życie. W kwietniu 2019 r. sąd go jednak uniewinnił. Uznał, że brak dowodów nie tylko na zabójstwo, lecz także na to, że Adam w jakikolwiek sposób przyczynił się do śmierci koleżanki. Sąd apelacyjny uchylił wyrok i nakazał rozpatrzyć sprawę raz jeszcze. Uznał, że mężczyzna powinien odpowiedzieć co najmniej za nieudzielenie pomocy. W 2020 r. sąd jednak znów go uniewinnił. Kolejny raz uznał, że brakuje dowodów nawet na nieudzielenie pomocy.

W grudniu rok temu sąd drugiej instancji ponownie uchylił wyrok i w paź-



dzienniku tego roku zaczął się trzeci proces w sprawie Adama Z. Prokuratura po dziewięciu latach zarzucania zabójstwa z zamiarem ewentualnym chce już tylko kary za nieudzielenie pomocy. Po wysłuchaniu mów końcowych sąd zaplanował, że wyda wyrok 15 listopada. Jednak niespodziewanie znów otworzył przewód sądowy i odroczył rozprawę do 29 stycznia 2025 r.

Wszystko wskazuje na to, że po blisko dekadzie poszlakowego procesu nie dowiemy się, co naprawdę stało się z Ewą Tylman. To zachowa dla siebie ostatni świadek jej życia.

IWONA WCIĄŻ POSZUKIWANA

O ile w sprawie Ewy Tylman niejasne jest to, jak straciła życie, o tyle w innym równie głośnym przypadku zaginięcia do dziś nie wiadomo zupełnie nic. Iwona Wieczorek zaginęła w Gdańsku 14 lat temu. Ta wówczas 19-latką również bawiła się nocą na imprezie ze znajomymi. Byli w jednym z sopockich klubów. Tam mieli się pokłócić i Iwona wyruszyła do domu sama. Miała do przejścia 6 km nadmorską promenadą. Ostatni raz kamery monitoringu nagrała ją przy wejściu nr 63 na plażę w Jelitkowie. Do domu miała już tylko 2 km. Nigdy tam nie dotarła.

W tym śledztwie badano już wiele tropów. Media latami rozgrzewała sprawa nagrania, bo widać na nim było, że w pewnej odległości za Iwoną szedł też wówczas mężczyzna z ręcznikiem. Spekulowano, że mógł to być zabójca. Ostatecznie po 12 latach policja ujawniła inne nagranie, na którym widać było twarz mężczyzny i on sam zgłosił się na policję. Niczego sprzed 14 lat już nie pamiętał. I według ekspertów wersja, że to on mógł być sprawcą, nie jest już nawet brana pod uwagę (kamery nagrały go, jak dwie godziny po kadrze z Wieczorek wracał tą samą trasą).

Dwa lata temu sprawę przejęło „archiwum X” małopolskiej prokuratury. Wówczas miał nastąpić przełom. Tak to nazwał ówczesny wiceminister sprawiedliwości Michał Woś. „W dniu 14.12.2022 roku w Gdańsku na polecenie prokuratora Małopolskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Krakowie zatrzymano dwie osoby, w tym Pawła P. Zatrzymani zostali

przewiezieni do Krakowa, gdzie prokurator przedstawił im zarzuty dotyczące popełnienia przestępstw narkotycznych” – informowała Prokuratura Krajowa. Paweł P. był kolegą Iwony, jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą. Śledczy postawili mu zarzuty utrudniania postępowania poprzez „usuwanie śladów i dowodów, zacieranie śladów przestępstwa, a także podawanie nieprawdziwych informacji”. Paweł odpowiada z wolnej stopy. Zastosowywano wobec niego poręczenie majątkowe. Dziennikarze podawali nieoficjalne informacje, że po zaginięciu Wieczorek miał wejść do jej mieszkania, przeglądać pliki na komputerze, a nawet niektóre usuwać. Do niczego takiego się nie przyznał.

Podczas śledztwa aresztowano 12 osób.

I znów zaczęły się dziać dziwne rzeczy

W tym samym czasie, gdy zatrzymano Pawła P., prokuratorzy zaczęli prowadzić działania przy Zatoce Sztuki w Sopocie. Sprawdzano studzienki kanalizacyjne, przekopywano plażę. Śledczy szukali rzekomo zakopanego tam ciała Iwony. Niczego nie znaleźli.

Po 14 latach nadal nie wiadomo, co stało się z Iwoną, a sprawę w „archiwum X” przejął niedawno nowy śledczy. Teraz – jak ustalił „Fakt” – zajmuje się nią prokurator Tomasz Buduch. To oskarżyciel w kilku głośnych procesach, m.in. w sprawie zabójstwa małżeństwa Jaroszewiczów w 1992 r. czy w sprawie milicjanta, który miał zamordować swojego podwładnego, a potem także dziennikarza z Sanoka.

PORWANIE, ZABÓJSTWO I SERYJNE SAMOBÓJSTWA

Niektórych spraw nie wyjaśniono nawet po powołaniu specjalnych sejmowych komisji śledczych. Taka nie pomogła w rozwiązaniu sprawy uprowadzenia i zamordowania Krzysztofa Olewnika, syna biznesmena z branży mięsnej.

W nocy z 26 na 27 października 2001 r. Krzysztof Olewnik miał 25 lat

i był w swoim domu na przedmieściach Drobina. Stamtąd go porwano po imprezie, w której uczestniczyli policjanci z Płocka. Porywacze zaczęli domagać się od zamożnej rodziny okupu. Bliscy uprowadzonego po dwóch latach przekazali 300 tys. zł. Szantażystów nie udało się jednak wówczas namierzyć, a policjanci – jak się potem okazało – nie spisali nawet numerów seryjnych banknotów, które przekazano w okupie. Mimo zapewnienia policjanci nie pojechali za rodziną w dniu, gdy miała przekazać okup. Po uzyskaniu pieniędzy porywacze – Sławomir Kościuk i Robert Pazik – 5 września 2003 r. zamordowali Krzysztofa i zakopali jego ciało w lesie pod Ostrołęką (odnaleziono je trzy lata później).

W tej sprawie w śledztwie zakładano najpierw, że Krzysztof sam mógł upozorować swoje porwanie. Popołniono też wiele spektakularnych błędów. No właśnie, czy tylko błędów? Śledztwo powierzono policjantom z komendy, której mundurowi bawili się na imprezie w domu Olewnika. Policja nie sprawdzała numerów, z których dzwonili szantażyści. Nie instruowała rodziny, jak rozmawiać z porywaczami i jak nagrywać rozmowy. Nie sprawdzano odcisków palców z bazą danych. Nastąpiła też seria dziwnych zbiegów okoliczności. W 2004 r. skradziono policyjny samochód, w którym akurat było 16 tomów akt tej sprawy. Cztery lata w szufladzie przeleżała kasetka VHS, która mogła doprowadzić do szefa grupy przestępczej. Dziewięć miesięcy przed zabójstwem ojciec Krzysztofa dostał anonim, w którym ostrzegano, że porywacze chcą zabić Olewnika i były w nim nazwiska osoby więżącej porwanego oraz późniejszego zabójcy. Policja nie zweryfikowała tego listu.

Podczas śledztwa aresztowano 12 osób. Tych, którzy brali udział w porwaniu, tych, którzy przetrzymywali porwanego, oraz zabójców. I znów zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Jeszcze przed rozpoczęciem procesu, w 2007 r., w celi olsztyńskiego aresztu znaleziony został Wojciech Franiewski, zatrzymany jako szef grupy porywaczy. Biegły napisał potem, że powiesił się w sposób niespotykany – pętla miała dwa supły, w ten sposób zaplanował uniknięcie reakcji obronnych organizmu. Musiałby mieć głęboką wiedzę na temat anatomii. Dwa lata później samobójstwo popełnił



■ strażnik więzienny, który miał dyżur w czasie, gdy zabił się Franiewski.

W marcu 2008 r. Roberta Pazika i Sławomira Kościuka skazano za zabicie Krzysztofa Olewnika. Miesiąc później Kościuk został znaleziony martwy w celi aresztu śledczego w Płocku. Powiesił się na prześcieradle w kąciu sanitarnym, którego jako jedyny nie obejmował monitoring celi. W organizmie miał toksyczną zawartość leków psychotropowych, złamane żebra i dziwne otarcia na skórze przedramion.

Po tym samobójstwie Roberta Pazika objęto specjalnym nadzorem. Trafił do monitorowanej celi w Sztumie, był odizolowany od innych więźniów nawet na spacerniaku, a jedzenie wydawał mu bezpośrednio strażnik. W styczniu 2009 r. miał brać udział w procesie dotyczącym rozbojów i wymuszeń. Z tego powodu przewieziono go do zakładu karnego w Płocku. Według jego otoczenia miał mówić, że ten transport będzie dla niego

Ziętarą. Jego grób w Bydgoszczy jest symboliczny, bo ciała nie odnaleziono. Jako dziennikarz „Gazety Poznańskiej” 1 września 1992 r. Ziętara wyszedł do pracy. Według późniejszych ustaleń w tym czasie miał prowadzić ponad-roczone śledztwo dotyczące nielegalnych interesów w Poznaniu. Interesować miał się firmą Elektromis. Prywatny detektyw, któremu w latach 90. koledzy Ziętary zlecili poszukiwania, dwa lata temu przed sądem twierdził, iż zrezygnował w pewnym momencie z dociekań, bo ustalił, że w sprawie brali udział esbecy oraz „inne służby”. Zaczął się obawiać, że sam będzie miał przez to kłopoty. „Z ustnych relacji moich pracowników, którzy wcześniej pracowali w różnych instytucjach, wynikało, że Elektromis miał pośredni związek ze zniknięciem Ziętary. Sprawa miała sięgać szefa tej firmy Mariusza Ś., który handlował alkoholem. Ziętara prawdopodobnie natrafił na wążek przemytu spirytusu. Moi pracownicy

Miał mówić, że ten transport będzie dla niego wyrokiem śmierci. 19 stycznia 2009 r. został odnaleziony w celi płockiego więzienia martwy. Popełnił samobójstwo

wyrokiem śmierci. 19 stycznia 2009 r. został odnaleziony w celi płockiego więzienia martwy. Popełnił samobójstwo.

Po ponad 20 latach wciąż nie poznaliśmy wszystkich kulis tej sprawy. W 2018 r. nowych tropów zaczęły szukać Małopolski Wydział do spraw Przepępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Krakowie oraz krakowskie „archiwum X”. W 2022 r. sprawa wróciła do sądu. Akt oskarżenia przekazany płockiemu sądowi obejmuje pięć osób, m.in. Jacka K., współnika Krzysztofa Olewnika. Akta liczą 400 tomów, a rozprawy rozpisano aż do końca tego roku.

KTO STRZELAŁ DO GENERAŁA

Najmniejsze szanse na rozwiązanie mają, wydaje się, sprawy najstarsze. Wśród nich wciąż są dwa głośne zabójstwa z lat 90.

Do dziś nie wiemy, co się stało z dziennikarzem śledczym Jarosławem

doszli do takich wniosków na podstawie zeznań pracowników szefa Elektromisu. Ale to były tylko przesłanki, dowodów nie widziałem” – zeznawał. Dodawał też, że jego informator ze służb twierdził, iż Elektromis ma powiązania z rządem i tropy prowadzą do Warszawy.

Po latach śledczy oskarżyli byłego senatora Aleksandra G. o to, że podczas narady w firmie Elektromis miał podżegać do zabójstwa Ziętary. Dwaj ochroniarze z tej firmy – byli milicjanci – zostali oskarżeni o porwanie dziennikarza. Obaj w 2022 r. zostali uniewinnieni. Prokuratura złożyła apelację. Sąd Okręgowy w Poznaniu w lutym 2022 r. w trybie przyspieszonym zakończył też proces Aleksandra G. Także go uniewinnił. W styczniu tego roku Sąd Apelacyjny w Poznaniu odrzucił zażalenie prokuratury, zatem wyrok się uprawomocnił. Śledczy walczą jeszcze przed Sądem Najwyższym o kasację.

Rozstrzygnięcia nie ma też w sprawie zamordowanego generała Policji Marka Papały. 25 czerwca 1998 r. nadinspektor bawił na imprezie u emerytowanego generała MSW PRL Józefa Sasina. Papała wyszedł z przyjęcia i pojechał na Dworzec Centralny w Warszawie, gdzie miał odebrać matkę z pociągu. Ponieważ pociąg miał opóźnienie, postanowił wrócić do domu. Zajeżdżał przed blok na ul. Rzymowskiego, tam został zastrzelony.

Do dziś nie udało się wyjaśnić ani tego, kto zabił Papałę, ani dlaczego to zrobił. Głównym świadkiem w sprawie był płatny zabójca Artur Zirajewski ps. Iwan. To on po latach zeznał, że w 1998 r. uczestniczył w Gdańsku w spotkaniu, na którym poszukiwano chętnego do zamordowania szefa policji. Według jego wersji spotkania mieli zorganizować Andrzej Zieliński ps. Słowik, biznesmen Edward Mazur oraz Nikodem Skotarczak ps. Nikoś. Zirajewski zmarł w 2010 r. na oddziale szpitalnym aresztu śledczego w Gdańsku.

Głównym podejrzanym w tej sprawie stał się wówczas biznesmen Mazur. Wiadomo, że od lat 70. był tajnym współpracownikiem polskiego kontrwywiadu. Został zatrzymany przez policję w 2002 r. Po przesłuchaniu zwolniono go do domu. Wówczas wyjechał do USA. W 2006 r. próbowano go stamtąd ściągnąć, ale Stany Zjednoczone nie zgodziły się na ekstradycję.

W 2012 r. śledczy z Łodzi stwierdzili, że gen. Papała zginął przypadkowo. Miał go zabić złodziej samochodów Igor Ł. ps. Patyk, który chciał ukraść daewoo espero należące do szefa policji. Ta wersja ma jednak lukę – wśród złodziei samochodów w tamtych latach pistolet TT z tłumikiem nie był powszechnie dostępny. No i skoro chodziło o kradzież auta, to dlaczego go nie skradziono?

W lipcu 2013 r. sąd uniewinnił Ryszarda Boguckiego (podejrzewanego o współudział w zabójstwie) i Andrzeja Zielińskiego od zarzutu nakłaniania do zabójstwa Papały. Siedem lat później Sąd Okręgowy w Warszawie uniewinnił także „Patyka” – uznał, że nie zabił policjanta.

W 2014 r. łódzka prokuratura umorzyła postępowanie wobec Edwarda Mazura w sprawie podżegania do zabójstwa Marka Papały. Uznała, że brak w tej sprawie wystarczających dowodów.

© All rights reserved



Pałac albo nic



Pałac w Chichach jest remontowany
wysiłkiem rodziny Dobrowolskich od ponad
dwóch dekad FOT. ARCHIWUM RODZINY DOBROWOLSKICH



Radosław Wojtas

Zabytkowy pałac w Chichach pod Żaganiem pewnie do dziś byłby ruiną, gdyby nie wielka determinacja byłej śpiewaczki warszawskiej operetki, która kupiła go i – także własnymi rękoma – remontowała przez dwie dekady. Dziś pałacem opiekują się (i dalej go remontują) jej syn i synowa, którzy postawili wszystko na jedną kartę, zostawili kariery w Warszawie, sprzedali, co mieli, i zamieszkali w pałacu, który dziś daje im nie tylko dach nad głową, lecz także utrzymanie

Można się tu zatrzymać na noc lub dłużej, ale pałac w Chichach trudno nazwać hotelem. Już od progu można się tu poczuć jak w odwiedzinach u dawno niewidzianych znajomych. – Nigdy nie chcieliśmy, by to miejsce przekształciło się w bezduszny hotel, do którego przyjeżdżasz, dostajesz kluczyk i tyle się widziałeś z właścicielem. To, że ten pałac jeszcze stoi, to jest wyłącznie testament moich rodziców, zwłaszcza mojej mamy, która wbrew wszystkiemu, nawet wbrew logice, postanowiła go uratować. To nie jest efekt wielkich pieniędzy, ale wielu lat ciężkiej pracy – mówi Marcin

Dobrowolski, który wraz z żoną Dominiką zarządza dziś pałacem Chichy. – To przede wszystkim nasz dom – dopowiada Dominika. – I goście to czują. Często pytają nas po wejściu, czy mają zdjąć buty. Chodzą po pałacu w swoich domowych kapciach!

Jeszcze 20 lat temu trudno było w ogóle chodzić po pałacowych wnętrzach. To była ruina. Bez okien, bez podłóg, bez schodów. Na zewnątrz dwumetrowe pokrzywy i stary, kompletnie zaniedbany park. A jednak Leokadia Brudzińska-Dobrowolska, mama Marcina Dobrowolskiego, pani inżynier po politechnice, emerytowana śpiewaczka warszawskiej operetki, zakochała się w sie-

dlisku w Chichach od razu. Postanowiła uratować to miejsce.

LATA W PRZYCZEPIE

Pałac kupiła w 2002 r. i była to najbardziej szalona decyzja w jej życiu. Kiedy kupiła pałac i zaczęła biegać wokół niego z kosą, porządkować obejście, kiedy sama rzuciła się do ogarnięcia czegoś, co było zadaniem raczej dla kilku ekip remontowo-budowlanych, to ludzie snuli najróżniejsze domysły. – Zaczęły krążyć różne teorie: że to jakaś wariatka albo ekscentryczna milionerka. No bo jak to możliwe, żeby jakaś gwiazda z Warszawy przeprowadziła się na prowincję i chodziła do wiejskiego sklepu cała biała od gipsu – mówi Marcin. Z czasem zaczęto ją tu nazywać Leną i nikt już się nie dziwił, że gdy tylko kończyła się zima i robiło się względnie ciepło, pojawiała się w pałacu i do jesieni mieszkała w niewielkiej przyczepie zaparkowanej przed głównym wejściem.

Za to w domu jej zniknięcia rodziły coraz więcej pytań. Trzeba było się wreszcie przyznać. Pani Lena długo ukrywała fakt zakupu pałacu. Pieniądze odkładała sama (na emeryturze prowadziła kawiarenkę w Łomiankach), podparła się też



■ kredytem. – Większość naszej rodziny to realiści. Chyba spodziewała się, jaka może być reakcja, dlatego długo zwlekała ze zdradzeniem swojego sekretu. Pewnego dnia mój tata wsiadł z nią w samochód i przyjechał do pałacu. Mama opowiadała mi później, że kiedy po raz pierwszy zobaczył, co kupiła, to nie odzywał się do niej przez dwie godziny. Ona w pewnym momencie poprosiła go, żeby powiedział cokolwiek, choćby słowa krytyki. Mój tata spojrział na pałac i powiedział tylko: „Jakie to jest k...a ogromne!” – mówi Marcin.

Rzeczywiście ogromne. Rzeczony pałac to dwupiętrowy budynek na wysokim podpiwniczeniu z 1718 r. Zbudowany na planie prostokąta o wymiarach 25 x 23 m o kubaturze 6,7 tys. m sześc., z prostokątną przybudówką, którą wzniesiono w trakcie remontu w 1841 r., nadając pałacowi znamiona neoklasycystyczne. To 5 ha powierzchni, 650 m sześc. powierzchni dachu, 61 sztuk okien. Wtedy gdy Lena Brudzińska-Dobrowolska pierwszy raz go zobaczyła, większość otworów okiennych była zamurowana. Wnętrze pałacu rozkradzione i zniszczone. Zniszczona i pozbawiona dużej części elementów dekoracyjnych była zewnętrzna elewacja.

Przez kilka wieków historia była dla tego miejsca łaskawa. Omijały je zniszczenia czy pożary, ale Armia Czerwona podczas drugiej wojny światowej, później komunizm, a następnie transformacja i początki III RP szybko nadrobiły w dziele zniszczenia te kilkadziesiąt spokojnych lat. „Remonty” z lat 50. i 70. zniszczyły sporą część elewacji, dostosowując ją do estetyki etapu, likwidując elementy dekoracyjne. Późniejsze przeznaczenie budynku – funkcjonowały w nim m.in. PGR i... klubokawiarnia – także nie przysłużyło się obiektowi. Kiedy PRL szczęśliwie dokonała żywota, życie zatrzymało się i w pałacu, co wykorzystywali szabrownicy (którzy za przydatne uznawali wszystko, także drewniane elementy konstrukcyjne), którym wyobraźnia podpowiadała, że mogą tu być przecież zamurowane skarby, dlatego też np. rozkwalifikowali kominy.

I właśnie w ten obraz nędzy i rozpaczy wkroczyła Lena Brudzińska-Dobrowolska, a wraz z nią jej cała rodzina. – Dziś się z tego śmieję, ale wtedy nie było nam do śmiechu. Sam przekonywałem mamę, by to sprzedawała. Pytałem ojca, dlaczego nie wybił jej z głowy pałacu, i odpowiedział



Kiedy pałac wszedł w posiadanie rodziny Dobrowolskich, był w opłakanym stanie

FOT. ARCHIWUM RODZINY DOBROWOLSKICH



Dominika i Marcin Dobrowolski

FOT. ARCHIWUM RODZINY DOBROWOLSKICH

tylko, że ją zna i wie, że takie perswazje nie miałyby najmniejszego sensu. Kiedy ludzie mówią, że to była odważna decyzja, to dopowiadam zawsze, że owszem, ale przede wszystkim nierozważna. Ale artyści tak mają – mówi Marcin Dobrowolski.

Lena Brudzińska to nie tylko artystka, sceniczna hrabina Marica czy Adela z „Zemsty nietoperza”, pani inżynier, lecz także dziecko pokolenia wojny. Urodzona w 1941 r., wychowywana bez mamy, która zmarła podczas przyjscia na świat Leny, porzucona razem z siostrą przez ojca w bombardowanej Warszawie 1944 r. – Twarda, dążąca do celu, silna. Nietolerująca marnowania czegokolwiek, zwłaszcza jedzenia. Potrafiąca zorganizować wszystko. Pierwsze elementy wyposażenia – meble, dywany – były używane. Moja mama dostawała je lub kupowała za bezcen. Jak ktoś chciał coś wyrzucić, to ona pytała, czy

może zabrać do pałacu. Podłogę zrobiliśmy z blatów kuchennych. Jakaś firma, która się likwidowała, dała mojej mamie kilkaset blatów! – mówi Marcin.

Przez 20 lat pałac pochłaniał każdą odłożoną złotówkę i niemal każdą wolną godzinę emerytowanej śpiewaczki. – Mama miała zasadę, że każdego dnia musi coś zrobić. Choćby to było przyklejenie jednej płytki, posprzątanie jakiego kąta. To, że pałac jeszcze stoi, to zasługa głównie mojej mamy, jej ciężkiej pracy na kolanach – mówi Marcin Dobrowolski.

A kiedy już za coś brały się ekipy remontowe, to bywało różnie. Tak było z firmą, która miała naprawić ukruszony gzyms. Nim pani Lena się zorientowała w sytuacji, „fachowcy” skuli połowę tego, co jeszcze zostało. – Mama się rozplakała, zapytała, co oni wyprawiają, a „fachowcy” na to: „No przecież dzisiaj robi się takie rzeczy ze styropianu”. Pogoniła ich stąd – mówi Marcin Dobrowolski.

Małymi krokami do upragnionego celu – czyli zamieszkania w pałacu – pani Lena zbliżyła się przez wiele lat. Zamieszkała w nim w 2019 r. Pan Marcin, jego żona Dominika i ich wówczas kilkunastoletnia córka Klara sprowadzili się tu na stałe w 2020 r. Uśmiecham się, gdy słucham ich opowieści o tym momencie, bo przypominam sobie słowa pana Marcina o „nierozważnej decyzji” jego mamy i myślę, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. W pierwszym roku pandemii, gdy branża hotelar-



ska walczyła o przetrwanie, Dobrowolscy postanowili zrealizować plan, który przez półtora roku tworzyła pani Dominika i uczynić z pałacu swój dom i źródło utrzymania. – Po śmierci mojego taty i długich rozmowach stwierdziliśmy, że sprzedajemy wszystko, co mamy, i przenosimy się do pałacu. Nie było już odwrotu. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę. Pałac albo nic – mówi Marcin.

Oni zamieszkali na piętrze, a na parterze – pani Lena. – Na górze gotowy był tylko jeden pokój. Podłóg nadal nie było, ich funkcję wciąż spełniały kuchenne blaty. Jak były wichury, to w okna wkładaliśmy papierki, żeby szyby nie drżały. Dogrzewaliśmy się farelkami, ale wciąż było zimno. Zaczęliśmy remontować kolejne pomieszczenia. Dominika dobierała kolory, ja robiłem podłogę, sami docinaliśmy kafle – wspomina Marcin.

Pierwsze pieniądze pałac zarobił za sprawą pracowni ceramiki. To pasja Dominiki, która pozwoliła im przetrwać chude lata. – Były takie momenty, że kupiliśmy opał, zapłaciliśmy pensję pracownikowi i zostawało nam na koncie kilkaset złotych – mówi Marcin. – Doskonale pamiętam naszą rozmowę o przyszłości – wspomina Dominika. – Zastanawialiśmy się, czy stać nas będzie na ogrzewanie. Bardzo poważnie braliśmy pod uwagę powrót do Warszawy. Tylko nie mieliśmy dokąd wracać. Na szczęście z pomocą przyszli rodzina i znajomi. Jakoś z tego wybrnęliśmy. Tegoroczna zima jest pierwszą, w której nie musimy martwić się o finanse – dodaje.

POLACY Z WYBORU

Po kilku godzinach rozmowa o pałacu zbacza na historyczne tory. Marcin opowiada o korzeniach swojej rodziny. – Dziś mówienie o herbowych przodkach jest już passé, bo i nie ma żadnego znaczenia, że ktoś pochodzi z takiej czy innej rodziny, ale dla mnie tradycja i historia są ważne i tak to postrzegam. Od strony ojca jestem potomkiem rodziny de Poths – opowiada.

Najstarsze wspomnienie o niemieckim rodzie de Pothsów sięgają 1601 r. Z Polską związali się w XVIII w., kiedy to urodzony w 1750 r. Stuttgartarce Jerzy Fryderyk przybył do Warszawy jako kupiec hurtownik. Pod koniec lat 80. XVIII w. zajął się także działalnością bankierską. Ożenił się z córką znanego chirurga Jana Dawida Rheinschmidta, wysoko



Właściciele starają się dobierać meble i wyposażenie tak, by pałac nie stracił swojego klimatu. FOT. ARCHIWUM RODZINY DOBROWOLSKICH

postawionego w warszawskim środowisku wolnomularskim. Sam również był masonem, zdobył najwyższy w Rzeczypospolitej stopień wtajemniczenia.

Jako finansista zaskarbił sobie zaufanie wpływowej i zamożnej szlachty, co zaowocowało nadaniem mu w październiku 1790 r. przez Sejm Czteroletni szlachectwa. Otrzymał herb Trójstrzał w kolorze Zielonym. Warunkiem wejścia w szlachecki stan było posiadanie odpowiednio dużej majątności ziemskiej. Jerzy Fryderyk najpierw zakupił od Alojzego Brühla dobra ziemskie Łomianki, a później, z rąk Michała Starzeńskiego, sąsiednie Młociny z przyległościami.

Jerzy Fryderyk Poths żył zaledwie 56 lat, ale dorobił się dużego majątku. Cieszył się dużym zaufaniem władz powstańczych insurekcji kościuszkowskiej. Był jedną z pięciu osób, które 22 kwietnia 1794 r. Rada Zastępcza Tymczasowa wezwała imiennie do opracowania projektu pożyczki na cele powstania. Z namaszczenia Rady Najwyższej Narodowej został jednym z siedmiu dyrektorów nowo powołanej Dyrekcji Biletów Skarbowych.

Kariera szła w górę, ale życie rodzinne zupełnie się Jerzemu Fryderykowi posypało. Stracił troje dzieci, przedwczesnie zmarła też jego żona. Nie zostawił po sobie potomka, ale wcześniej dołączyła do niego na Mazowsze jego rodzina. Po bezpotomnej śmierci majątek odziedziczyło jego rodzeństwo – Karolina i Henryk. I to oni byli założycielami polskiej gałęzi rodu Pothsów (i Phullów, po pierwszym mężu Karoliny). Po śmierci Karoliny jej dziećmi oraz całym majątkiem zaopiekował się Henryk, który 11 maja 1824 r. decyzją cara Aleksandra I otrzymał szlachectwo Królestwa Polskiego.

Dobra młocińsko-łomiankowskie związane były z nimi przez prawie 150 lat. „Ród Pothsów i Phullów wywodził się z Niemiec, ale rodziny te osiadły na stałe w Polsce i służyły swej ojczyźnie. Ci Polacy z wyboru odznaczali się patriotyzmem, który przejawiał się nie tylko udziałem w naszych narodowych zrywach. Rozumieli, że w dobie zaborów tylko silne majątki o dużych podstawach ekonomicznych, a także światli, wykształceni obywatele tworzą potencjał ekonomiczny i intelektualny, który będzie mógł oprzeć się rusyfikacji narodu” – pisze Ewa Pustoła-Kozłowska w książce „Dawne Łomianki”.

– Z czasem rodzina zubożała. Z tego, co wiem, to kilka lat temu żył jeszcze jeden męski potomek Pothsów. Wszystkimi innymi rozdziły się córki – mówi Marcin Dobrowolski.

KTOŚ NAD NAMI CZUWA

Rozmowę, którą zaczęliśmy wczesnym wieczorem, kończymy grubo po północy. Pytam o plany na przyszłość. – W przyszłym roku nastąpi duża zmiana. Przez wszystkie te lata nie dostaliśmy nawet złotówki unijnego czy rządowego wsparcia. Dwa lata temu udało nam się pozyskać dużą dotację na remont dachu i wymianę okien. To jedyny taki program, przy którym wkład własny wynosi tylko 2 proc. Gdybym miał wyłożyć 20 proc., to byłoby mi bardzo trudno zrobić tak kompleksowy remont, którego koszt szacujemy na 1,5 mln zł – mówi gospodarz pałacu. I dodaje: – Nie jest łatwo, ale wszystko układa się tak, żeby udało nam się uratować to miejsce. Mam wrażenie, że ktoś na górze bardzo tego chce. I nad nami czuwa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Z kopyta zaprzęg rwie



Wiesław Chełminiak

Chełmoński jest jak Matejko. Jeszcze żył, gdy jego sztuka została zredukowana do banału

Artystę oryginalnego, rzucającego wyzwanie autorytetom zastąpił „piewca ojczyznego pejzażu” zapamiętane uwieczniający mazowieckie pola, litewską puszcę tudzież ukraińskie stepy. Upozowany na klasyka twórca „Bocianów” stał się dla następnych pokoleń wdzięcznym obiektem lekceważenia. Młody Józef Czapski, po zachłystnięciu się paryskimi izmami, pisał w 1937 r.: „Wszystkie wzruszające konie, mgły i gwiazdy Chełmońskiego, cały

dorobek tego artysty pozbawiony jest jakiegokolwiek głębszej wagi malarskiej”.

BRUDNA SZMATA REALISTY

Kiedy zaczynał, polskie malarstwo ceniono nisko. W szlacheckiej Rzeczypospolitej i pierwszych porozbiorowych dekadach było domeną cudzoziemców. Niektórzy z nich naturalizowali się, wprowadzali miejscowych w tajniki zawodu, jednak ci uczniowie rzadko robili kariery. Warto dodać, że zapotrzebowanie na obrazy było mizerne. Znany z ostrego pióra Julian Klaczko wywodził, że Polacy są stworzeni do poezji i muzyki, natomiast od sztuk plastycznych powinni trzymać się z daleka. Gdy ukazał się ten głośny artykuł, Ziuniek Chełmoński, syn dzierżawcy folwarku w Boczkach pod Łowiczem, miał siedem lat.

Akademicki gorset, obowiązkowy na ówczesnych uczelniach, okaleczał mło-

dzieńców wybitnie utalentowanych. Nasz bohater szczęśliwie trafił pod skrzydła Wojciecha Gersona, który był lepszym pedagogiem niż malarzem i pozostawiał podopiecznym znaczną swobodę. Najwyżej w hierarchii stały tematy historyczno-patriotyczne. Chełmoński podejmował je rzadko, jakby wiedział, że poziomu Maksymiliana Gierymskiego i Juliusza Kossaka i tak nie osiągnie. Obrazy takie jak „Pochód Kozaków” mają jednak walor dokumentalny. Jako mieszkaniec Priwisłanskiego Kraju ich autor dobrze wiedział, jak wyglądają i jak się zachowują okupanci.

Najbardziej interesowała Chełmońskiego powłasczeniowa wieś. W odróżnieniu od poprzedników nie estetyzował biedy i brzydoty. Można nawet powiedzieć, że się nimi napawał. Bystry obserwator uwieczniał oblicza plebejuszy ogorzałe od słońca i spuch-



„Targ na konie w Balcie”, 1879 r. FOT. WIESŁAW CHEŁMIŃIAK

Teraz wszystko się zmieniło. Okrzyknięto go „malarzem ludu naszego i przyrody naszej”, w topniejącym śniegu zmieszonym z błotem dostrzeżono poezję. Pod koniec XIX w. dawny skandalista stał się żywą legendą. Otoczony powszechnym szacunkiem doczekał się wielu naśladowców i epigonów.

W PRL twórcę „Orki” fetowano jako patrona socrealizmu, który pierwszy widział wieś w oderwaniu od dworu. Hucznie obchodzono 100-lecie urodzin „postępowego artysty”.

RZYMSKIE RYDWANY, UKRAIŃSKIE ZAPRZĘGI

Muzeum Narodowe w Warszawie, posiadające najwięcej obrazów i rysunków Chełmońskiego (tudzież siłę przebić), nie zawiodło. Na wystawę oprócz klasyków dotarły dzieła zapomniane lub mało znane, znajdujące się za granicą lub w kolekcjach prywatnych. Wybrany zafundowano gruntowną konserwację, która odsłoniła bynajmniej nie mdłe kolory. Brakuje „Powrotu z kościoła”, los tego obrazu pozostaje tajemnicą. Układ ekspozycji jest tematyczny, co akurat w przypadku artysty z uporem ekspluatającego ulubione motywy zdaje się idealnym rozwiązaniem.

Amatorzy wbijania kija w mrowisko będą zawiedzeni. Wystawa nie oferuje nowego, rewolucyjnego spojrzenia na kanon polskiej sztuki. Wieńczy jedynie proces przewartościowania, trwający mniej więcej od 30 lat. Rehabilitacja „monachijczyków”, których kosztem budowano pomnik Chełmońskiego, pozwoliła podjąć kwestię jego zależności od Stimmungsbilder – popularnego w połowie XIX w. gatunku niemieckich pejzaży. Lansowana przez Stanisława Witkiewicza legenda samorodnego, niezależnego od szkół i kierunków twórcy chyba musi odejść do lamusa.

Chełmoński nie żył na pustyni. Skorzystał na monachijskiej edukacji więcej, niż chciał przyznać. W tekście dołączonym do katalogu wystawy Agnieszka Bażyńska zwraca uwagę na podobieństwo „Babiego lata” do obrazu „Pastuszek” Franza von Lenbacha z 1860 r., który wywołał wielkie poruszenie w Niemczech z powodu swego naturalizmu. Z kolei „Wyścigi rydwanów w cyrku rzymskim” Alexandra von Wagnera z 1873 r. eks-

ploatują ukochany przez Chełmońskiego motyw koni galopujących wprost na widza.

Nie ulega wątpliwości, że sztukę Polaka trzeba widzieć w kontekście realistycznego zwrotu, który w połowie XIX w. dokonał się w malarstwie francuskim. Jeana-François Milleta i Jules’a Bretona, twórców zafascynowanych wsią oraz nietkniętym przez rewolucję przemysłową krajobrazem, można zaś uznać za ojców chrzestnych stylu „folklorystycznego”. Do największego zachłśnięcia się rodzimym pejzażem i ludową estetyką doszło w krajach północnej, środkowej i wschodniej Europy. Rosyjscy pieriedwiżnicy, malarze ze Skandynawii oraz Chełmoński, nie zdając sobie z tego sprawy, nadawali na tych samych falach.

NADMIAR UCZUĆ, NIEDOBÓR ŚRODKÓW

Wbrew sugestiom kuratorów spróbujmy zwiedzić ekspozycję, używając chronologicznego klucza. Na pierwszy ogień idzie więc „Dziewczyna u przełazu” z 1869 r. jako pierwsze dzieło noszące znamiona oryginalności. Następne w kolejce są „Żurawie” (własność prywatna). Wystawienie tego płótna w warszawskiej Zachęcie było aktem brawury początkującego malarza. Z okresu monachijskiego najbardziej godny uwagi jest „Powrót z balu”. Ilustruje on typową, zdaniem kolegów, cechą młodzieńczej twórczości Chełmońskiego: „nadmiar uczuć”. Na pierwszym planie pędzą czarne rumaki, na drugim z sań wychyla się rozemocjonowana pasażerka. Wizja do szpiku kości romantyczna, tymczasem jej autorowi przypięto łatkę realisty.

Zwolenników tezy, że najlepszy obraz to ten, który jest najdroższy, powinien zainteresować „Wieczór letni – wspomnienie Ukrainy”. W ubiegłym roku sprzedano go na aukcji za ponad 4 mln zł. Dzieło, długo uchodzące za zaginione, powstało w ciekawych okolicznościach. We wrześniu 1874 r., po powrocie z Monachium do Warszawy, Chełmoński razem z przyjacielem, Antonim Piotrowskim, wynajął pracownię na poddaszu Hotelu Europejskiego. Wkrótce dołączyli do nich Stanisław Witkiewicz i Adam Chmielowski. Artystyczna komuna przetrwała nieco ponad rok, ale zdaniem historyków sztuki była zwiastunem

nięte od alkoholu. Wszechobecny brud, grube obyczaje. Pozy i gesty na granicy karykatury. Nic dziwnego, że krytyka podejrzewała młodego artystę o celowe dążenie do wywoływania skandalu. Porównywano go do turpisty Gustave’a Courbета, który sportretowawszy kobiecie podbrzusze, nadał dziełu prowokacyjny tytuł: „Początek świata”.

Pojawiły się też zarzuty o malowanie „plamami”, preferowanie światła naturalnego (zbyt silnego w dzień, za słabego w nocy) tudzież „mdlą” kolorystykę. Bolesław Prus w typowym dla siebie, kpiącym stylu sugerował, że Chełmoński równie często jak pędzla używa brudnej ścierki. Inni pisali o „sztuce w chlewie”. Poeta Lucjan Siemieński, komentując „Babie lato”, zaśląnął nieśmiertelną frazę: „Nóżka winna być umyta”. Od śmierci Caravaggia minęły już ponad dwa wieki, ale – jak widać – pewne rzeczy się nie zmieniły.

Krytyka ucichła jak rażona piorunem w roku 1889, gdy obraz „Powrót z kościoła” został uhonorowany grand prix na Wystawie Światowej w Paryżu. Zaledwie rok wcześniej jurorzy warszawskiej Zachęty odrzucili pięć obrazów, zgłoszonych przez Chełmońskiego.



■ złotej epoki polskiego malarstwa. Chełmoński, mimo spartańskich warunków, stworzył w tym czasie 17 wielkoformatowych obrazów, w tym „Babie lato” i „Wieczór letni”.

Szczęśliwy nabywca dzieła, Muzeum Narodowe w Poznaniu, poddał je badaniom. Prześwietlenie rentgenowskie wykazało, że pod kompozycją Chełmońskiego znajduje się inna, sygnowana nazwiskiem Piotrowskiego. Efekt rywalizacji? Raczej świadectwo ubóstwa, niepozwalającego na zakup odpowiedniej ilości płótna. Wracając do aukcji – w rocznym podsumowaniu „Wieczór letni” zajął piąte miejsce. Na pierwszym figuruje „M 39” Wojciecha Fangora, dzieło hołdujące zgola innej estetyce. Nowy właściciel posiadał je za 7,5 mln zł.

KONDUKTOR W CZERWONYCH RAJTUŻACH

Chełmoński, wyszydzony w ojczyźnie, zrozumiał, że droga do podboju Warszawy wiedzie przez Paryż. Przewodząca była możliwa dzięki finansowemu wsparciu rzeźbiarza Cypriana Godebskiego, lecz nasz bohater szybko stanął na własnych nogach. Jego obrazy wywoływały sensację, stając się obiektem pożądania kolekcjonerów i marszandów. Stolica Francji była wówczas gigantycznym rynkiem sztuki, na którym próbowało zaistnieć ok. 4 tys. malarzy. Wśród klientów prym wiodli jankesi. Ponad połowa dzieł Chełmońskiego powstałych w Paryżu trafiła do Ameryki. Większość zasiłała prywatne kolekcje, niektóre skończyły jako ozdoba hotelowych barów.

Nasz bohater z pamięci (którą miał fotograficzną) odtwarzał krajobrazy Podola, Wołynia i oczywiście Mazowsza. Rozpędzone zaprzęgi, tłum przed wiejską karczmą lub na jarmarku, polowania, napady wilków na podróżnych – dla paryżan były to tematy egzotyczne. Kojarzyły się z rosyjskim imperium, czyli dzikim, biednym i brzydkim krajem. Chełmoński (nie da się ukryć, poddany cara) posturą oraz stylem bycia pasował do wyobrażeń, które Francuzi mieli o ludziach Wschodu.

Już w Monachium szokował burzującym,



„Żurawie”, 1871 r. FOT. WIESŁAW CHEŁMIŃSKI

paradującym w czerwonych rajtuzach kawalerzysty, granatowej kurtce ułańskiej i czapce konduktora kolei warszawsko-wiedeńskiej. W Warszawie pozował na kmiotka. Chodził z fujarką i wygrywał na niej smętne ludowe melodie. Na Ukrainie przebierał się za dziada prośzalnego. Wizytujący jego paryską pracownię wspominali, że malując, mówił do siebie i podśpiewywał. Miejscową wodę uważał za zatrutą, więc mył się w deszczówce. W Luwrze nic mu się nie podobało, ignorował również impresjonistów (choć o niektórych malarzach z tego kręgu miał później wyrażać się pozytywnie). Ekstrawagancja popłacała. W najlepszym okresie Polak zarabiał nawet 40 tys. franków rocznie. Dla porównania: pensja urzędnika opiewała na 1,5 tys.

Emil Zola, guru naturalistów, chwalił go za szczerość. Krytycy jednak po kilku latach stracili serce do Chełmońskiego. Zarzucili mu nonszalancję, zły dobór kolorów, nadmierną ekspresję, a przede wszystkim że się powtarza. To ostatnie było prawdą. „Powrót z jarmarku” za który marszand zapłacił Polakowi rekordowe 10 tys. franków, nie znalazł chętnego i został w końcu sprzedany za 3 tys. Amerykanie w reakcji na podwyżkę opłat celnych ograniczyli zakupy. W 1881 r. Chełmoński wystawił w paryskim Salonie monumentalną „Czwórkę” i podobnie jak Matejko, który sezon wcześniej próbował olśnić paryżan „Bitwą pod Grunwaldem”, zasnął goryczy porażki.

Gdy 18 lat później obraz nabyło Muzeum Narodowe w Krakowie, francuska przygoda Chełmońskiego należała już do przeszłości. Nie doczekawszy się poprawy koniunktury, wrócił do kraju. W Kuklówce, gdzie kupił drewniany dom

i spędził resztę życia, popadł w abnegację. Zaprzyjaźniony właściciel pobliskich Radziejowiczów zwracał mu uwagę, że wygląda jak chochoł. Bezskutecznie. Ludzie coraz rzadziej pojawiali się na jego obrazach, a jeśli już, to na odległym planie. Wolał towarzystwo zwierząt. O koniach „polski Zola” mówił jak o kobietach. Dokarmiał bociany, a jego najbliższym przyjacielem został pies Kwiatek.

BRZOZA Z OJRZANOWA

Chełmoński żywił pogardę dla miejskiej cywilizacji, mierzyły go skutki rewolucji przemysłowej. Temperament zawsze oddalał go od realizmu, więc bez żalu zrezygnował z prostego naśladowania natury. Próbując oddać jej istotę, zbliżył się do symbolistów. Nie akceptował wszakże sztuki zniekształcającej rzeczywistość. Z Gauguinem czy van Gogiem nie było mu po drodze. Krytykował też twórczość Wyspiańskiego. Krótko mówiąc – zdziwaczał. Na starość popadł w mistycyzm. Malował kopie cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Nie zgłębiał jednak pism doktorów Kościoła, cenił ludową pobożność. Chciał być pochowany pod brzozą na wiejskim cmentarzu. I tak się stało.

Na koniec kilka słów o kobietach Chełmońskiego. Za młodu, tak jak Sienkiewicz, podkochiwał się w aktorce Helenie Modrzejewskiej. Przed wyjazdem do Monachium zawrócił w głowie siostrze kolegi. Z wycieczki do Włoch wrócił do Paryża w towarzystwie panny o imieniu Santa. Mając lat 28, poprosił o rękę 17-letnią Marię Szymanowską. W Kuklówce rodzina rozpadła się w dramatycznych okolicznościach: Józef wyrzucił żonę z domu, choć była ciężarna. Podejrzewając Marię o niewierność, wydziedziczył najmłodszą córkę. Jak na ironię tylko ona miała talent plastyczny i została malarzką.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie zostanie zamknięta 26 stycznia 2025 r., ale potem będzie ją można oglądać w Muzeum Narodowym w Poznaniu (2.03–29.06) i w Muzeum Narodowym w Krakowie (8.08–30.11).



Nicholas Hoult (po lewej) w roli Justina Kempa i reżyser Clint Eastwood FOT. MATERIAŁY PRASOWE



W ogrodzie dobra i zła



Piotr Gociek

„Przysięgli nr 2” to najlepszy film Clint Eastwooda od czasu „Gran Torino”

Świat jest piękny, świat jest doskonały. Oto uroczy dom na przedmieściach, oto para doskonała: Justin i Allison. Ona oczekuje dziecka (trzeci trymestr), on właśnie skończył

malować i meblować pokój dziecięcy. Sąsiedzi im zazdroszczą głębokiej miłości, której nie boją się publicznie demonstrować. A Allison widzi w Justinie mężczyznę idealnego. Ma powody:

uczynny, uśmiechnięty, pracowity, w domu naczynia pozmywa, na parkingu pospieszy z pomocą nieznajomej, która zgubiła telefon itd.

Wszystko to dzieje się w stanie Georgia, w pięknym mieście Savannah, tuż przed wyborami. Gospodarze radiowych programów przypominają o możliwości wysłania głosów pocztą, a miejscowa pani prokurator liczy na przyspieszenie kariery, kiedy tylko doprowadzi do skazania recydywisty oskarżonego o morderstwo. Sprawa wydaje się prosta. Wśród wezwanych



do pełnienia obowiązków członków ławy przysięgłych jest i Justin. Jeszcze nie wiemy, że nadchodzą kłopoty.

Clint Eastwood w filmie „Przysięgły nr 2” („Juror no. 2”, 2024 – od niedawna w streamingu) powraca do miasta, które było areną wydarzeń z jego innego filmu – „Północ w ogrodzie dobra i zła” (1997). Tamten dramat obyczajowo-sądowy (oparty na książce non-fiction Johna Berendta) był przedsięwzięciem tylko w połowie udanym, widz miał prawo czuć się zagubiony w gąszczu wątków i bohaterów, którzy czasem wydawali się postaciami wprost z wyobraźni Davida Lyncha, a kiedy indziej z powieści Toma Wolfe’a. Trudno ekranizuje się książki, które w istocie są freskami jakiejś społeczności. Po latach łatwo przypomnieć sobie duszny, chory klimat owego filmu Eastwooda, ale bardzo trudno – o co w nim właściwie chodziło.

PRAWDA, KTÓRA NIESIE KŁOPOTY

Tym razem sprawa jest od początku jasna. Eastwood rozstawia figury w pierwszym kwadransie i od razu wiemy, o co chodzi – brawa dla precyzyjnego scenariusza Jonathana Abramsa. Otóż Justin Kemp, główny bohater filmu, ma wraz z innymi przysięgłymi zdecydować o winie Jamesa Sythe’a, oskarżonego o pobicie i zrzućnię z mostu swej dziewczyny. Poszlaki wskazują na niego – świadkowie widzieli, jak wspólnie piją w podmiejskiej knajpie, jak się kłócą, jak ona odchodzi w noc, a on podąża za nią. Rano miłośnik trekkingu odnajduje zwłoki dziewczyny. Tyle że bardzo szybko dowiadujemy się, iż Justin był owej nocy we wspomnianej knajpie, a wracając do domu, uderzył w coś lub kogoś deszczową nocą. Żadnej dziewczyny ani zwłok nie widział, doszedł więc do wniosku, że potrafił jakieś leśne zwierzę, najpewniej jelenia.

Krótko mówiąc: Justin wie, że Sythe jest niewinny. Ale jeśli wyjawi, skąd ta wiedza, to zaszkodzi sam sobie. Ważna wiadomość: Justin Kemp jest alkoholiczkiem, który rozpoczął nowe życie stosunkowo niedawno. Kiedy zwierzy się ze swego kłopotu przyjacielowi i sponsorowi z grupy Anonimowych Alkoholików, ten uświadomi mu, że prawda przyniesie mu poważne kłopoty. Znany jest z pijaństwa,



Zoey Deutch jako Allison Kemp i Nicholas Hoult jako Justin Kemp. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

z jeżdżenia samochodem po pijaku, a to, że wcześniej nie zgłosił wypadku, jeszcze pogarsza jego sytuację. Uniewinnienie Sythe’a poprzez przyznanie się Justina oznacza 30 lat dożywocia dla tego ostatniego. Zatem: Czyje życie wybierasz?

Wydawać się może, że tak postawione pytanie stoi w centrum dramatu sądowego Clinta Eastwooda, ale jest to przeświadczenie błędne. Jeszcze się dobrze nie rozpędzimy w oglądaniu, a już jedna rzecz jest oczywista: Justin

leczenia choroby poprzez zwalczanie objawów, a nie przyczyny. Przyczyną tragedii oskarżonego Sythe’a jest kłamstwo Justina Kempa. Sam Justin uważa, że da się to kłamstwo jakoś unieważnić przez podważenie zdecydowanych opinii innych przysięgłych – być może uniewinnia Sythe’a z jakiegoś innego powodu. Tylko że, sięgając do Mądrości Syracha: „Z kłamstwa jakąż może wyjść prawda?”.

DWUNASTU GNIEWNYCH LUDZI

W tym miejscu film Eastwooda zmienia formę: to, co przez ponad pół godziny było fabułą jak z powieści prawniczych Johna Grishama, zamienia się we współczesną wariację na temat znany z dramatu Sidneya Lumeta „Dwunastu gniewnych ludzi”. Tam przysięgły nr 8 miał głębokie wątpliwości co do winy chłopaka, któremu groziła kara śmierci. Jego słowa i czyny dowodziły, że posiada sumienie i działa w dobrej sprawie. U Eastwooda przysięgły nr 2 – Justin Kemp – jako jedyny przeciwstawia się opinii pozostałych, bo wie, że oskarżony jest niewinny. Jednak kiedy okaże się, że taki werdykt może doprowadzić do dalszego śledztwa, będzie musiał zatroszczyć się o własną skórę. Jeszcze à propos słynnego filmu Lumeta – bardzo czytelne jest u Eastwooda nawiązanie do klasyki, gdy odkrywamy, że najgorętszy orędownik kary dla oskarżonego ma ku temu osobiste powody i nieprzepracowaną rodzin-

Czy rzeczywiście wszelkie próby wymierzania sprawiedliwości przez ludzi na tym padole leż skazane są na niepowodzenie i liczyć można jedynie na opatrność?

już dokonał decyzji. Wybrał własne życie i bezpieczeństwo – nawet za cenę skazania niewinnego człowieka – w chwili, gdy zorientował się, jaka jest prawda i zataił ją przed innymi. „Przysięgły nr 2” nie jest więc opowieścią o moralnych rozterkach głównego bohatera, ale o tym, jak pogrąża się coraz bardziej kolejnymi działaniami, jak doskonalili sztukę samoszukiwania się, jak podejmuje próbę



ganie asów z rękawa, pułapki i kontrpułapki? Czy zawsze dzieje się w interesie prawdy?

Trzecią najważniejszą osobą dramatu Eastwooda (po Justinie Kempie i Jamesie Sythie) jest pani zastępca prokuratora okręgowego, która oskarża Sythe'a. Faith Killebrew bardzo potrzebuje, by proces przyniósł wygodną dla niej wersję prawdy. Tak się bowiem składa, że walczy o robotę swego szefa, tzn. ubiega się o urząd prokuratora okręgowego. Fundamentem swej kampanii uczyniła walkę o obronę kobiet doświadczających przemocy w związkach. Wyrok skazujący dla Sythe'a będzie dla kampanii Killebrew znakomitą paliwą: oto doprowadzi do ukarania obrzydliwego samca, który nie dość, że podnosił rękę na swoją kobietę po pijaku, to jeszcze ją pobił i zamordował.

A może Faith Killebrew jednak ruszy sumienie? Kolega ze studiów, który podczas procesu broni Sythe'a, zarzuca jej, że nie jest już prawnikiem, tylko polityczką. I że zapomniała o maksymie, którą wpajał im jeden z wykładowców: „Sprawiedliwość to prawda w działaniu”. Komu jest potrzebna prawda, kiedy żyjemy w świecie, w którym liczą się tylko rezultaty?

O UPRZEDZENIACH POLITYCZNIE NIEPOPRAWNIE

Iście diabelska jest to pułapka. Wszyscy skorzystają na pominięciu prawdy i skazaniu niewinnego człowieka – oskarżycielka zyska rozgłos, Justin ujdzie bezkarnie, jego mająca się za chwilę powiększyć rodzina przetrwa, pozostali przysięgli rozejdą się do domów i zwykłego życia. Wszyscy skorzystają – oprócz fałszywie oskarżonego.

Tu dochodzimy do kolejnego tematu filmu: Eastwood przypomina nam o uprzedzeniach, ale czyni to w sposób niepoprawny politycznie. Czarnoskóry przysięgły już na pierwszym posiedzeniu za zamkniętymi drzwiami ogłasza, że będzie walczył o skazanie Sythe'a, bo inaczej ława „takich jak wy” go uniewinni. Takich jak oni, czyli jakich? Ano białych. Rasistowski wydźwięk jest jasny, ale bieguny odwrócone. Podczas innej narady przysięgłych dwoje „młodych,



prime video

REŻ. CLINT EASTWOOD
„PRZYSIĘGŁY NR 2”
USA 2024

wykształconych z wielkiego miasta”, mówiąc o oskarżonym, rzuca lekko: „Pieprzyć go, to przemocowiec”. Czyli co? Nie zasługuje na sprawiedliwy proces? Nie zasługuje na wiarę?

„Wiem, jaką mam przeszłość, jakie błędy popełniłem i co o mnie myślicie” – mówi Sythe w sądzie podczas przesłuchania. Zwykły chłopak z przedmieścia, we flanelowej koszuli, w dżinsach, który lubi piwo, tancbudy

z bilardem i kłóci się ze swoją dziewczyną. W dodatku ma tatuaże gangu. Czyli co? Nie człowiek? Równie dobrze mógłby takie słowa wypowiedzieć Justin, który dopiero co konsultował się ze swoim przyjacielem prawnikiem i usłyszał, że nieważne jest to, jakim dziś jest człowiekiem, lecz liczy się to, jak będzie postrzegany ze względu na własne grzechy przeszłości – pił na umór, jeździł samochodem po pijaku, cudem uszedł z życiem z wypadku, który spowodował. Od czterech lat nie pije i jest żywym dowodem, że i ludziom upadłym warto dać drugą szansę.

A czy jest – jak to sam mówi – „dobrym człowiekiem, który miał ogromnego pecha”? O tym już widz sam musi zdecydować. Ważne słowa padają w innym miejscu tego filmu: „Ludzie starają się robić dobrze, ale nie widzą, co robią źle”.

Pięknym i mądrym filmem żegna się z nami Clint Eastwood, 94 lata, legenda kina w podwójnej roli (aktora i reżysera). „Przysięgły nr 2” to najprawdopodobniej jego ostatnie dzieło. Film ma perfekcyjny timing, wyreżyserowany jest pewną ręką, nie wiem, czy to nie najlepsze dokonanie Eastwooda od czasu „Gran Torino” (2008). W pełni zaufali mu aktorzy – pełen chłopcęgo uroku Nicolas Hoult jako Justin Kemp, doskonały jak zwykle J.K. Simmons w roli emerytowanego gliniarza, wyśmienita Toni Collette jako prokurator Faith Killebrew, która w jednej z najważniejszych chwil filmu wznosi na sali sądowej wzrok ku widniejącym nad sędzią słowom „In God We Trust” („Bogu ufamy”).

Czy rzeczywiście wszelkie próby wymierzania sprawiedliwości przez ludzi na tym padole też skazane są na niepowodzenie i liczyć można jedynie na opatrność? Sprawdzicie sami, oglądając „Przysięgłego nr 2”. © Wszelkie prawa zastrzeżone

ną traumę. Tak jak w filmie „Dwunastu gniewnych ludzi”.

Skoro kwestia wyboru dokonanego przez Kempa jest jasna, to z czego uszyte jest pozostałe półtorej godziny opowieści? Nie chcę zdradzać zakrętów fabuły, ale mogę przyrzeć się pozostałym bohaterom i pozostałym kwestiom, nad którymi zastanawiają się Abrams i Eastwood.

Zacznijmy od jury: to 12 gniewnych ludzi – gromada ludzi znudzonych i czasem lekkomyślnych. Z wyjątkiem paniusi, którą bardzo ekscytuje zarówno sam fakt brania udziału w takich naradach, jak i im przewodniczenie; cała reszta ani nie była szczęśliwa, że do składu ławy przysięgłych trafiła, ani nie ma specjalnej ochoty na jakies szczegółowe roztrząsanie sprawy. Każdy ma swoje zajęcia w domu, każdy ma pracę i rodzinę, każdy chce jak najszybciej mieć to za sobą i najwyżej pochwalić się kiedyś, przy okazji: „Tak, spełniłem obywatelski obowiązek”. Temida jest ślepa; uczono nas, aby oceniać sprawiedliwie. W tym przypadku oznacza to raczej wydawanie werdyktów na oślep. Jak oceniać taki system: sprawiedliwy czy niesprawiedliwy?

Każdy ma prawo do rozpatrywania swej sprawy przez bezstronnego sędziego. Ale co z wolnoamerykanką, którą jest współzawodnictwo obrońcy i oskarżyciela, cały ten cyrk, który jakże często oglądaliśmy w dramatach sądowych, owo zaskakiwanie strony przeciwnej, wycią-



Hollywoodzka kariera kaskadera z Polski



Tomasz Zapert

**Burt Lancaster i Gregory Peck
zawładnęli jego wyobraźnią, gdy
chodził jeszcze do podstawówki.
Ćwierć wieku później poznał
ich osobiście**

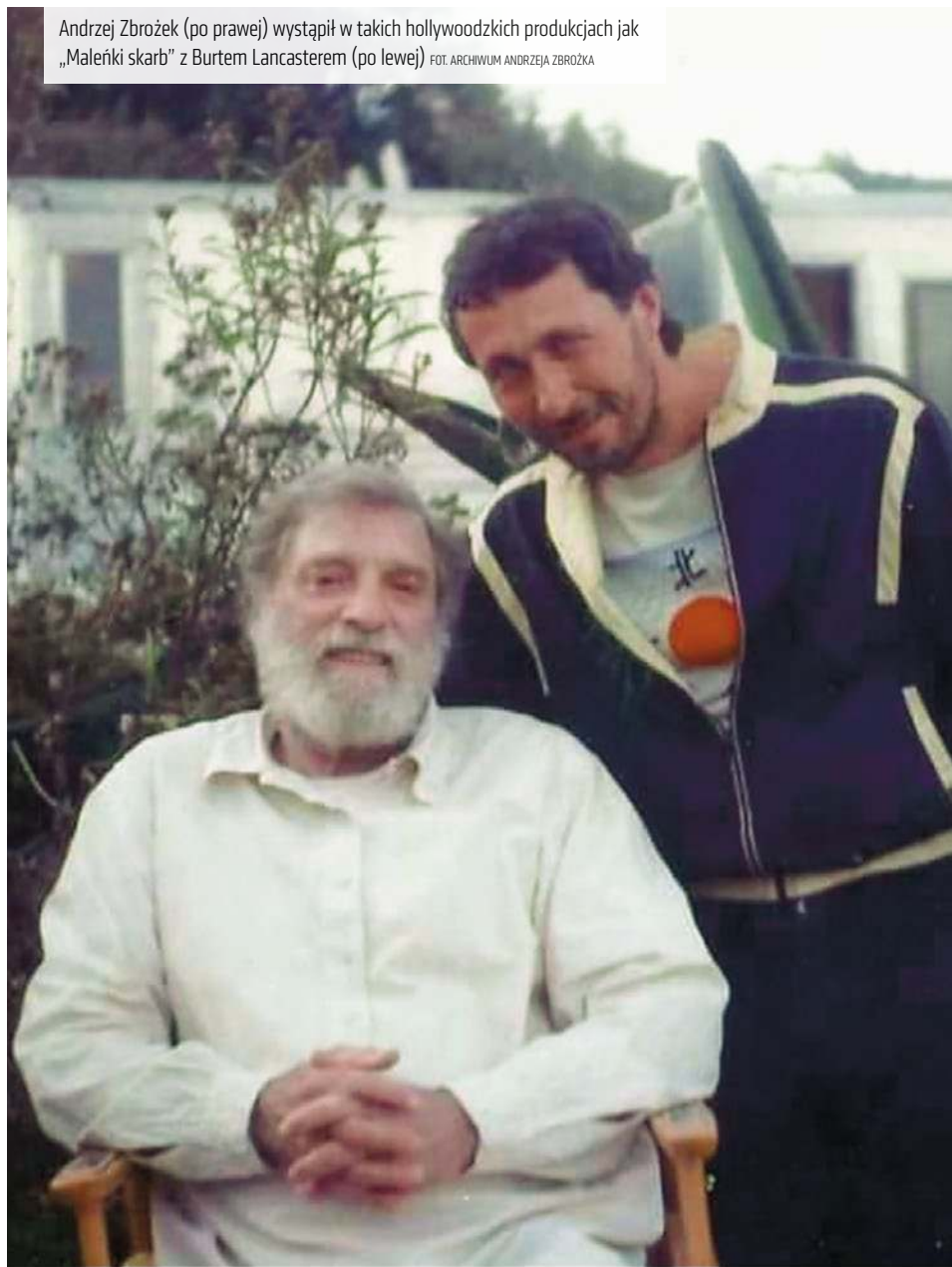
Pod koniec lat 50. w Sokołowie Podlaskim miejsce numer jeden stanowiło kino. Nierzadko objazdowe, zapraszające na seanse do lokalnej remizy strażackiej. W takiej właśnie scenerii Andrzej Zbrożek obejrzał ówczesne szlagiery: „Karmazynowego pirata” i „Rzymskie wakacje”.

ZE STODOŁY W ŚWIAT

Kieszonkowe wydawał na kolejne projekcje. Być może poprzez stały kontakt z filmem zainteresowała go estrada. Było to już po maturze i przeprowadzce do Warszawy. Znalazł się w zespole klubu studenckiego Stodoła. Wprowadzali go tam satyryk i aktor Jan Tadeusz Stanisławski oraz autor tekstów („Pod papugami”, „Jedziemy autostopem”, „W siną dal”, „Na Francuskiej”, „Alabama”) Bogusław Choiński. Kto wie, czy i jak by się to potoczyło dalej, gdyby nie fascynacja podróżami?

Pod wpływem lektur powieści Alfreda Szklarskiego oraz reportaży Arkadego Fiedlera zamarzyły mu się egzotyczne wyprawy. No ale w epoce małej stabilizacji takowe zdarzały się na ogół jedynie osobom ustosunkowanym. W epoce gierkowskiej – dekadzie raju na kredyt – żelazną kurtynę z lekka Polakom uchylono.

Andrzej Zbrożek (po prawej) wystąpił w takich hollywoodzkich produkcjach jak „Małeńki skarb” z Burtem Lancasterem (po lewej) FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA ZBROŻKA





Zbrożek już wtedy opanował podstawy mowy Miguela Cervantesa, przydatna też zapewne okazała się znajomość z attaché kulturalnym ambasady Meksyku w Polsce – Sergiem Pitolem.

Z rekomendacji Pitola Zbrożek po raz pierwszy odwiedził jego ojczyznę. Wyjazd opóźniał się z powodu trudności paszportowych. Uzyskał ten ściśle reglamentowany dokument dopiero za którymś podejściem. Debiutancki pobyt w krainie Azteków go oczarował. A ponieważ powrócił do PRL terminowo, po pewnym czasie władza ludowa ponownie łaskawie zezwoliła mu odwiedzić drugą półkulę ziemskiego globu. Za trzecim razem przybył tam z początkiem grudnia roku 1981.

Od wylądowania na lotnisku w Mexico City minął ledwie tydzień, kiedy wprowadzono w Polsce stan wojenny. O tym tragicznym wydarzeniu dowiedział się z telewizji meksykańskiej. Także w kraju tequili był to news dnia. Zdjęcia czołgów na ulicach i towarzyszących im żołnierskich patroli, informacje o tysiącach internowanych oraz ofiarach śmiertelnych pacyfikacji śląskiej kopalni spowodowały, że Zbrożek postanowił pozostać za granicą. Pomocną dłoń wyciągnęli do niego meksykańscy przyjaciele, których kilkanaście miesięcy wcześniej wspomógł w Warszawie. Zapewnili mu dach nad głową oraz wikt. Niemniej zdawał sobie sprawę, że niebawem musi zacząć żyć na własny rachunek.

Początkowo zarabiał na życie pracą dorywczą. Zatrudnił się w fabryce produkującej kostiumy i maski na zabawy. To zapewniało mu bardzo skromną egzystencję, lecz dzięki regularnym kontaktom z tubylcami wyszlifował hiszpański. I właśnie wtedy w jego życiu nastąpił punkt zwrotny.

ŁAMANIE JĘZYKÓW

Z braku możliwości lepszego zarobku zgłosił się na casting dla statystów do filmu Davida Lyncha – „Diuna”, adaptacji słynnej powieści science fiction Franka Herberta. Znalazł się w nielicznym gronie szczęśliwców wyselekcjonowanych spośród kilkuset kandydatów. I tak rozpoczęła się „Latynoska euforia z Hollywoodem w tle” – jak zatytułował swe wspomnienia – pieczołowicie rekonstruująca jego przygodę życia.



Polak z Jane Fondą podczas prac nad „Starym Gringo” FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA ZBROŻKA

Podczas pobytu w Meksyku przeżył i dramat, i radość.

Był najpierw świadkiem trzęsienia ziemi, a potem mundialu

Początkowo pracował jako tzw. Stand-in (dubler techniczny). Potem, po intensywnych, morderczych, ociekających potem, a niekiedy i krwią, długich treningach został kaskaderem, zastępując aktorów w niebezpiecznych scenach. Zawocowała krzepa, którą nabrał, uprawiając sport. Zawód kaskadera był znacznie lepiej opłacany z powodu niosącego za sobą ryzyka. Praca na planie filmowym stosunkowo szybko poprawiła jego status społeczny, choć ciągle musiał się odnajdować w całkowicie obcym otoczeniu.

Pomogły mu w tym relacje z legendami kina. Zwykle pilnie strzegące swej prywatności szybko obdarowały Polaka sympatią. Miał zaszczyt pracować z plejadą gwiazd Hollywoodu: Burtem Lancasterem („Maleńki skarb”), Jane Fondą i Gregorym Peckiem („Stary Gringo”), Paulem Newmanem („Projekt Manhat-

tan”), Tomem Hanksem („Ochotnicy”), że wymienimy wyłącznie laureatów Oscarów za kreacje pierwszoplanowe.

„Realizacja sekwencji filmowych w meksykańskich wytwórniach oraz plenerach trwała zazwyczaj kilka miesięcy” – opowiada w rozmowie z „Do Rzeczy”. I dodaje: „Codzienne kontakty na planie stawały się coraz intensywniejsze, toteż aktorzy z każdym tygodniem nabierali do mnie zaufania”.

Max von Sydow („Diuna”), Grace Jones („Conan niszczyciel”), Timothy Dalton, Benicio del Toro, Everett McGill („Licencja na zabijanie”) okazali się niezwykle życzliwymi, serdecznymi i otwartymi ludźmi. Natomiast Arnoldowi Schwarzeneggerowi („Conan Niszczyciel”) brakowało odrobiny skromności; chociaż wobec Zbrożka zawsze zachowywał się fair. Występujący w tym samym filmie co znany kulturysta renomowany koszykarz NBA Wilt Chamberlain, mierzący 219 cm, podarował Polakowi swą sportową koszulkę.

Zbrożek tak o nich mówi: „Byli szalenie bezpośredni, bez krzty narcyzmu, nie mówiąc o pozerstwie czy bufonadzie. Wypełniają galerię typów początkowej części moich wspomnień, zatytułowaną »Zapiski niedosłego celebryty«. Ciekawych detali tam odsyłam”.



■ Najbardziej ceni swój udział w amerykańsko-meksykańskiej produkcji „Stary Gringo” (słowo „Gringo” to w Meksyku pogardliwe określenie Amerykanina). Na plan przyjechał autor literackiego pierwowzoru dzieła, sławny prozaik meksykański Carlos Fuentes. Chciał zobaczyć, jak przebiegają prace nad realizacją produkcji powstałej wedle jego scenariusza.

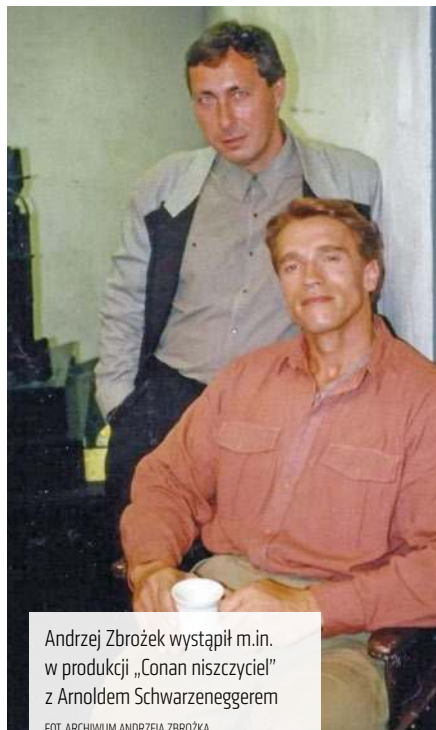
„Reżyser filmu, [Argentyńczyk] Luis Puenzo – wspomina Zbrożek – przedstawił mnie i na miłej pogawędce we trójkę spędziliśmy kilka kwadransów. Dowiedziawszy się o moim rodowodzie, dociekali, czy znam Elenę Poniatowską, meksykańską pisarkę cieszącą się wielką estymą, pochodzącą z polskiego rodu, spokrewnioną z naszym ostatnim monarchą, nieszczyśnym Stanisławem Augustem, oraz jego bratankiem, bohaterskim księciem Józefem. Dużo o niej wiedziałem, nigdy jednak nie poznałem osobiście”.

Filmowa przygoda Andrzeja Zbrożka, występującego pod pseudonimem Andres Boris (to hiszpańskie wersje jego dwóch imion, ponieważ nazwisko Zbrożek łamało języki i Meksykanom, i Amerykanom), zapoczątkowała również propozycjami nie tylko ze strony Hollywoodu, lecz także kinematografii Meksyku oraz ofertami udziału w telewizyjnych reklamach.

Role w tych ostatnich zdobywał drogą castingową. W sumie uczestniczył w ponad 30 reklamach. Prezentowano je na wszystkich kanałach meksykańskiej telewizji i kilku innych państw. Natomiast do filmów meksykańskich zatrudniono go w charakterze aktora drugoplanowego. Zazwyczaj wcielał się w cudzoziemców. Z reguły były to figury zdecydowanie negatywne: gangsterzy, mafiosi, skorpupowani stróże prawa, co wcześniej czy później skutkowało przedwczesną, ale ze wszech miar zasłużoną śmiercią takiej postaci z rąk innego złoczyńcy lub policjanta.

„Upatruję w tych niewielkich epizodach – żartuje Zbrożek – główną przyczynę artystycznej porażki. Moje rzemiosło aktorskie nie rozwinęło skrzydeł, bo w lakonicznych scenach zabrakło na to minut. Tym samym odebrano mi szansę na ujawnienie skali talentu”.

Tak czy inaczej rozpoznawalność przyniosła mu reklama. Przekonał się



o tym niejednokrotnie. Na targowiskach czy w metrze pozdrawiano go, nieraz prosząc o autograf.

POWRÓT PO KATAKLIZMACH

„Mexicana” – szlagier z repertuaru Nataszy Zylskiej – nadal dźwięczy Zbrożkowi w uszach. Jego przygody meksykańskie przybrały jednak nie tylko wymiar ekranowy. W roku 1986 przeżył olbrzymie trzęsienie ziemi – o sile 8,1 stopnia w skali Richtera. Wprawdzie epicentrum znajdowało się na Pacyfiku, lecz siła wstrząsu mocno dotknęła stolicę Meksyku. W gruzach leżało wiele gmachów, awarii uległa trakcja elektryczna, przestał funkcjonować gazociąg, zepsuła się sieć wodociągowo-kanalizacyjna. Przeszło 50 tys. rodzin straciło domostwa. W wyniku kataklizmu zginęły – oficjalnie – 10 153 osoby, ale liczba mogła być nawet trzykrotnie większa.

Poważnie rozważano odwołanie finałowego turnieju mistrzostw świata w piłce nożnej, który miał być rozegrany osiem miesięcy później. Mundial odbył się jednak na meksykańskich boiskach zgodnie z planem, a jego emocjonujący, toczony w skwarze słonecznym finał między reprezentacjami Argentyny i Republiki Federalnej Niemiec na monumentalnym Stadionie Azteków Zbrożkowi pozostał w pamięci. Zwłaszcza że podziwiał z trybun Argentyńczyków,

których liderem był Diego Armando Maradona (po dramatycznej walce mecz wygrali 3:2).

Wszystko jednak ma swój kres. Ekranowa przygoda Zbrożka zakończyła się przedwcześnie i niespodziewanie. Zaważyły względy zdrowotne.

Zakażony w Kolumbii niebezpiecznymi bakteriami musiał przerwać ekspedycję do Ameryki Południowej i natychmiast wracać do Meksyku. Wkrótce zapadł na sepsę. Choroba ta jest nierzadko śmiertelna. Mając to na uwadze, postanowił resztę swoich dni dożyć w Polsce. Pragnął jak najszybszego powrotu. Ale nie było to łatwe, gdyż holenderskie linie lotnicze odmawiały przyjęcia na pokład pasażera w tak kiepskiej kondycji.

Oto jego relacja: „Z wyglądu przypominałem zombie, toteż przewoźnik obawiał się, iż umrę podczas lotu. Koniec końców ulokowano mnie w klasie pierwszej, mimo że miałem bilet w klasie turystycznej. Maksymalnie rozłożono mi fotel i doleciałem do Amsterdamu na leżać. W trakcie podróży non stop czuwała przy mnie stewardesa wysoce urodziwa! Życie zawdzięczam polskiemu lekarzowi i – podobno – wyjątkowo silnemu organizmowi”.

W trakcie długotrwałej rekonwalescencji waga spadła mu z 99 kg (przy wzroście 194 cm) do 76. Stracił atletyczną sylwetkę, a co za tym idzie – sprawność fizyczną. Na dodatek doszły kolejne przypadłości zdrowotne i operacje.

Z przeciwnościami losu walczy aktywnością. Może mu jej pozazdrościć nie jeden nastolatek. Wiedzie żywot bardzo towarzyski, systematycznie uczestnicząc w wernisażach, koncertach, spotkaniach autorskich, pokazach filmowych. Regularnie ćwiczy na siłowni. Dysponując kilkoma certyfikatami, uczy rodaków języka hiszpańskiego. Chociaż pracował przy realizacjach amerykańskich superprodukcji dla polskiej kinematografii, to wciąż pozostaje postacią anonimową.

Na koniec rozmowy z „Do Rzeczy” konkluduje: „Pamiętam starą prawdę, że nic nie jest nam dane na zawsze. Dlatego należy cieszyć się życiem w korzystnym dla siebie momencie, bo drugi może się nie powtórzyć. Zatem powtarzam za Horacjuszem: »Carpe diem«!”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Masłoi

Moje serce melancholijne



FOT. ARTUR ANDRZEJ/WIKIPEDIA.PL (DPSA 4.0)

Ten „człowiek z gitarą” – bard, kompozytor, najczęściej wykonujący teksty Andrzeja Waligórskiego – zapisał się w pamięci wszystkich, którzy świadomie przeżyli gorący czas pierwszej Solidarności. To w trakcie trwającego aż 29 dni strajku studentów łódzkich na przełomie stycznia i lutego 1981 r. powstały sławne „Rozmowy ministra ze studentami” od słów refrenu znane również jako „Górski, Górski, miły bracie...”, utwor typowo sytuacyjny, który – o dziwo – nie zestarzał się i przez długie lata niezmiennie świetnie był przyjmowany przez publiczność koncertów Olka Grotowskiego.

A opowiadał on o pertrakcjach prowadzonych przez komisję pod przewodnictwem ówczesnego ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki Janusza Górskiego z młodzieżą akademicką domagającą się przede wszystkim rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów, a także wprowadzenia niezależności uczelni, jak również m.in. uciśnienia przymusu (!) nauki języka rosyjskiego i przedmiotów indoktrynacyjnych w rodzaju ekonomii politycznej socjalizmu. Spotkało się to z oporem ze strony komunistycznego ministra, którego w toku rozmów często zawodziły nerwy. Co Grotowski obśmiał, wkładając w usta Górskiego takie perełki: „Jak myślicie – wy matoły / skąd się w ministerstwie wzięłam”, „Ja rosyjskim biegle władam / i z naczelstwem się dogadam” czy bezkonkurencyjne – „Góra strajków się nie boi, / bo za górą też ktoś stoi”.

Nie była to wcale licentia poetica; w stenogramie rozmów można przeczytać taki zapis wypowiedzi Górskiego: „My strajku się nie boimy [...]. Ja już mam dyplom magistra, co więcej – od siedmiu lat mam stanowisko profesora zwyczajnego. Wyższego stanowiska w Polsce otrzymać nie mogę, a wy nie macie jeszcze dyplomów...”. Wyciągnijcie więc, głupi żacy, odpowiednie wnioski, bo... „przyjdzie sesja, w dupę damy”. A odnośnie do nieulubianych przez studentów przedmiotów to zdanie miał ten PRL-owski dostojnik mniej więcej takie:

*Ekonomia wam niemiła,
przecież w tej nauce siła.
Przecież bez niej nikt nie zwietrzył,
kto nam gospodarkę spieprzył.
Filozofii za to chciecie,
nie wiem, po co takie śmiecie.
Filozofię mamy jedną,
urzędową i powszednią.*

Porozumienie zostało jednak w końcu podpisane, NZS zarejestrowano, a Olek Grotowski za „Rozmowy ministra ze studentami” otrzymał na Festiwalu Piosenki Prawdziwej w gdańskiej Olivii nagrodę w postaci Srebrnego Knebla. Wyróżnienie przyznano mu także za jeszcze jedną piosenkę – „Balladę o św. Włodzimierzu”. Zaczynała się ona tak:

*Między żywych schodzi co jesieni
dobry święty – towarzysz Lenin,
wieczorami stąpa po asfalcie
w leninówce i w niemodnym palcie.*

Ów, powiedzmy, że święty, Włodzimierz „chodzi, brodzi po szarym świecie”, rozgląda

się, „czasem mruży do siebie: Brawo, / czasem okiem monogolskim błyska / i w kieszeni pięści zaciska”. W witrynach pełno bowiem jego portretów, cytatów, tyle że rzeczywistość jakby skręczy. Co zrobić w tej sytuacji?

*Ściąga Lenin leninówkę na oczy,
ulicami jesiennymi kroczy,
mija pałac błyszczący i nowy,
Nie wiadomo Smolny czy Zimowy.
Idzie Lenin, w tył założył ręce,
drepcze za nim moje biedne serce.
Moje serce melancholijne,
gówno warte, bo bezpartyjne.*

Olek Grotowski w latach 80. za swoją zdecydowanie antykomunistyczną postawę a to karany był zakazem występów, a to nie mógł wyjechać na Zachód, to znów wywalano go z pracy. A jednak konsekwentnie śpiewał, grał i komponował, tworząc duet z Małgorzatą Zwierzchowską (zmarłą w 2013 r.). Wspólnie nagrali dziewięć płyt, nie pozwalając na zapomnienie świetnych tekstów mistrza swego gatunku, Andrzeja Waligórskiego, szefa radiowego Studia 202 we Wrocławiu, które wypromowało kabaret Elita, autora tekstów takich utworów jak „Ballada o Cysorzu” znana z interpretacji Tadeusza Chyły.

Olek Grotowski, współpracujący również przez lata z grupą Bez Jacka, miał w swoim repertuarze m.in. „Bajeczki Babci Pimpusiowej”, jak wiele tekstów Andrzeja Waligórskiego pikantne, pieprzne, a przecież przez to, że absurdalne,

niewulgarne, niegorszące, a zwyczajnie – śmieszne. Jak taka „Bajeczka” np.:

*Chomik, zbierając plony, do swej norki ganiał,
A obok dobry niedźwiedź chomika ochraniał.
Potem zjadł mu te plony, wytarł łapą mordę,
Wydupczył biedne zwierzę i przypiął mu order.*

Bohaterem trudnych do złiczenia tekstów Waligórskiego (mówił on o sobie właśnie jako o tekściarzu, nie poecie, a nawet nie satyryku) był rycerz Dreptak. W „Balladzie o bitwie pod Legnicą” tak o nim śpiewał Olek Grotowski:

*Dawnymi czasy we grodzie Legnicy
Żył rycerz Dreptak, okaz pijanicy,
Zbroi nie noszał, pohanów nie biął,
Jeno popijał...
Nic tylko pozazdrościł!*

Zmarły już dość dawno, bo w 1992 r., Andrzej Waligórski zdążył przecież zauważyć narastające na naszym kontynencie, a co za tym idzie, docierające i do Polski trendy. I tak powstał „Prekursor (rolnik homoseksualista)”:

*To on pierwszy się zdecydował,
Przedtem tego nie było na wiosce...
Ech, dziedzina trudna i nowa,
Ech, niełatwo wprowadzić postęp.
Nie wydierz, kto młdy i skąpy,
Nie wprowadzi tutaj Europy,
Gdy w dodatku ciągnie go na baby,
A powinno ciągnąć go na chłopy!*

Ale bywał też Olek Grotowski liryczny i refleksyjny, jak w jednej z najbardziej znanych swoich piosenek – „Jesień idzie, nie ma na to rady”:

*Może zrobić się chłodno już jutro
Lub pojutrze a może za tydzień
Trzeba będzie wyjść z kufra futro
Nie ma rady jesień jesień idzie
A był sierpień pogoda przeszliczna
Wszystko w złocie trwało i w zieleni
Prócz staruszków nikt chyba nie myślał
O mającej nastąpić jesieni
Ale coż oni żyli najdłużej
Mieli swoje staruszkowie zasady
I wiedzieli że prędzej czy później
Jesień przyjdzie nie ma na to rady. © ©*



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Pan buntownik król



★★★★★
REŻ. JASON HEHIR
**„POWRÓT KRÓLA:
UPADEK I WZLOT
ELVISA PRESLEYA”**
**(„RETURN
OF THE KING:
THE FALL AND
RISE OF ELVIS
PRESLEY”)**
**USA 2024,
DOKUMENTALNY**

Wszystko ma swoją cenę: za strumień dolarów płynący z Hollywood, za świetne kontrakty filmowe i wielki zarobek na czymkolwiek, co można oznaczyć „Presley”, Elvis zapłacił słono. Jego menedżer płk Parker wykreował go na megagwiazdę, ale jednocześnie uczynił więzieniem szybko starzejącego się pomysłu na biznes. W 1968 r. Ameryka miała już nowych idoli, buntowników, psychodelicznych rockmanów, politycznych bardów. Presley stał się synonimem obciachu, a jego rzewne piosenki kwalifikowano jako wyciskacze łez dla pokolenia rodziców, jeśli nie dziadków.

Jeden koncert zmienił wszystko, i to ten właśnie występ, „NBC ’68 Comeback Special”, jest w centrum opowieści dokumentalnej Jasona Hehira. Presley zagrał wtedy o wszystko – i wygrał, dał 50-minutowy show pełen dzikiej energii, humoru i wzruszeń, przypominając wszystkim, że nie bez powodu zwano go królem rock and rolla. Dzięki temu występowi wrócił do koncertowania – po siedmiu latach przerwy najpierw na służbę wojskową, potem na kręcenie filmów.

Hehir zgromadził w filmie galerię intrygujących rozmówców, słowa samego Presleya uzupełnione są wspomnieniami jego żony Priscilli, jego przyjaciela Jerry’ego

N Schillinga, a także sławnych fanów, jak Conan O’Brien czy Billy Corgan. Bruce Springsteen wyznaje, że po pierwszą w życiu gitarę popędził do sklepu, bo zobaczył Elvisa w telewizji. I tak dalej. Wiemy, że po roku 1968 bywało różnie, Presley zmarł w roku 1977, wyglądając jak smutna karykatura samego siebie, ale to już zupełnie inna historia. Film Hehira przypomina go takim, jakim zapewne sam chciałby, aby go pamiętano.

W „Powrocie króla” znajdujemy też wątek, który wciąż nie jest podkreślany odpowiednio mocno – gdzie i w czym szukał Elvis ratunku, gdy przyszła czarna godzina. Uciekał od pomysłów płk. Parkera i nagrywał muzykę gospel. Modlił się, śpiewając, tak jak modlił się przed każdym koncertem. Hymny, psalmy i chóralskie śpiewy wiernych w kościele ukształtowały jego wrażliwość, jeszcze gdy był dzieckiem. Wszystko to znamy z ciekawej książki „The Faith of Elvis”, którą napisał jego przyrodni brat Billy Stanley. Nie ukazała się jeszcze po polsku, a powinna. ©©

GRA TYGODNIA: „INDIANA JONES I WIELKI KRĄG”

Zupełnie się tego nie spodziewałem, ale „Indiana Jones” będzie jedną z moich ulubionych gier tego roku. Jest z nią trochę jak z filmami o Indim – słabe strony rzucają się w oczy (w grze to przede wszystkim różnie działająca AI przeciwników i pewne

niedopracowania) – ale szybko o nich zapominasz i świetnie się bawisz. Wartka, filmowa akcja na trzech kontynentach, wierność kinowym przygodom Jonesa i puszczenie oka do fanów, fantastyczny klimat, lokacje, które chce się eksplorować, a nie i...



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
walka na pięści. Pokochacie mimo wad. Wesołych świąt! ©©
Radosław Wojtas
• **Gatunek:** akcji, FPP
• **Platforma:** XSX, PC (zap. PS5)
• **Producent; wydawca:** Machine Games; Bethesda Softworks



Jak pójść do nieba

Wiarygodny film historyczny nie nadawałby się do oglądania. Musielibyśmy oglądać aktorów ubranych w pomięte ciuchy, brudnych, szczerbatych, pokrytych liszajami i wrzodami tudzież emitujących paskudne wonie (wcześniej czy później do ścieżek dźwiękowych producenci dołączą zapachowe). Protagonistów trudno byłoby zrozumieć nie tylko z powodu fatalnej dykcji. Stan świadomości ewoluuje bowiem z każdym pokoleniem. Pozwolić myśleć, mówić i zachowywać się postaciom w sposób właściwy dla ich epoki byłoby równoznaczne ze skazaniem ich – w najlepszym wypadku – na śmieszność, a w najgorszym na potępienie. „Kąpiel diabła” jest dość wiarygodna. Turpizm łagodzi uroda kadrów godnych malarzkiego pędzla. Niestety, fabułą rządzi fatalizm. Już pierwsza sekwencja sygnalizuje, w jakim kierunku potoczą się wydarzenia.

Akcja rozgrywa się w połowie XVIII stulecia. Niby wiek światła, a jednak średniowiecze. Religia i zabobon idą pod ramię, publiczne egzekucje przypominają zaś rodzinny festyn. Główna bohaterka zdaje



★★★★★
REŻ. SEVERINA FIALA, VERONIKA FRANZ
„KĄPIEL DIABŁA”
AUSTRIA/NIEMCY 2024

wyst. Anja Plaschg, David Scheid, Maria Hofstätter

się wycięta z nowel naszych pozytywistów. Uspodobienie ma poetyczne, jednak zgrzebna rzeczywistość skrzeczy. Będąc świeżo upieczoną mężatką, Agnes chce jak najszybciej zająć w ciąży, by stać się pełnowartościową kobietą i gospodynią. Ukochany Wolfie czemuś nie kwapi się do spełnienia męskiej powinności, codzienne wizyty teściowej są zaś doprawdy frustrujące. Depresja stopniowo przeradza się w fiksację. Gdyby „Kąpiel diabła” była zwykłą rekonstrukcją życia austriackich wiesniaków, wypełnionego ciężką pracą, kameralną i opartą na niedopowiedzeniach psychodramą odzianą w modny kostium etno, nie zyskałaby rozgłosu. Festiwalowe laury zapewne przeszłyby jej twórcom koło nosa. Duet Fiala/Franz, dotąd specjalizujący się w horrorach, znalazł jednak sposób na wyjście z niszy. Film uderzający w patriarchat, opresyjny katolicyzm tudzież instynkt macierzyński może liczyć na poklask. Biedna Agnes ma tak wyprany mózg, że nie przyjdzie jej nawet do głowy porozmawiać z mężem. Poza tym ludzie są niepoprawni. Zawsze oczekują prostych odpowiedzi na trudne pytania. Dzisiaj również lepiej być mordercą niż samobójcą, choć z nieco innych powodów. ©©

Wiesław Chelminiak

KŁAMIE, ZNACZY KOCHA

Rakuten

Rzecz o zranionych uczuciach nowojorskich inteligentów. Beth pisze, prowadzi warsztaty literackie i ma męża psychoterapeutę. Piją sobie z dziobków do momentu, gdy wychodzi na jaw, że Don nie jest bezkrytycznym fanem twórczości połowicy. Co gorsza, sam jest jak ten szewc, który bez butów chodzi. Mylą mu się pacjenci, a niektórych najchętniej wysłałby do diabła. Syndrom zawodowego wypalenia dopadł również siostrę Beth, a jej 23-letni syn pielęgnuje kompleks przegrywa. Nieco upraszczając, Holocener przejęła klientelę Woody'ego Allena, gdy ten na starość popadł w mizantropię. Ona lubi ludzi i nie wstydzi się tego pokazać. Kłopoty? To szansa na nowe otwarcie.

Bez odrobiny hipokryzji rozsypałby się każdy związek, a może i świat cały. Sugestia, że książki są potrzebne przede wszystkim ich autorom, trochę zasmuca. ©©



★★★★★
REŻ. NICOLE HOLOFCENER
„BRUTALNA SZCZERŚĆ”
USA 2023

wyst. J. Louis-Dreyfus, T. Menzies

DO ZOBACZENIA

Bóg się rodzi



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? KIEDY?
Muzeum Wsi Mazowieckiej
do 29 lutego
GDZIE? KIEDY?
Łódź, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne
do 6 stycznia

Podobnych wystaw – ukazujących korzenie bożonarodzeniowych zwyczajów i lokalne koloryty przeżywania świąt Bożego Narodzenia – jest wiele. Dziś o dwóch z nich.

Pierwsza wystawa – „Boże Narodzenie na Mazowszu” – poświęcona jest świątecznym zwyczajom i sama stała się już tradycją. Powraca bowiem do Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu od wielu lat. Przybliża zwyczaje panujące na



FOT. MUZEUM ARCHEOLOGICZNE I ETNOGRAFICZNE W ŁÓDZI

mazowieckiej wsi na przełomie wieków XIX i XX, pozwala zajrzeć do przyszykowanych do świąt

dawnych wnętrz dworków i wiejskich chałup, odsłania tajemnice wigilijnego stołu.

Druga wystawa skupia się na zwyczajach, obrzędach i działaniach magicznych zaczerpniętych z kultury tradycyjnej. „Ilustruje zabiegi tradycyjnej ludności w okresie adwentu i godów polegające na zapewnieniu sobie zdrowia i przychylności boskiej na cały nadchodzący rok” – piszą autorzy wystawy. ©©



MOJA PÓŁKA

Europa wstrzymała oddech

KRZYSZTOF
MASEŁ

Kazimierz Orłowski, nestor literatury polskiej, na której kartach zapisał się pięknie swoją „Cudowną meliną” i świetnymi tomami opowiadań od „Ciemnych drzew” przez „Zimną Elkę” do „Dziewczyny z ganku”, w ostatnich latach spisywał wspomnienia i dzieje swojej rodziny. W tym nurcie mieści się także opublikowany teraz zapis rozmów, które prowadził z nim Krzysztof Lisowski w latach 2022–2023. Pisarz doszedł bowiem do wniosku, że powinien opowiedzieć też o ostatnich prawie 30 latach, bo przecież autobiografię zakończył na wydarzeniach 1989 r. i końcu komuny.

We fragmentach odnoszących się do pisanych przez niego książek rozmowy te są więcej niż interesujące. Niestety, odnieść można wrażenie, że pisarzowi najbardziej zależało na podkreśleniu znaczenia swoich wyborów politycznych. I tu zdarzało mu się, mówiąc wprost, pleść androny. Opowiadał np.: „Wysłuchałem niedawno w telewizji TVN nadawanej z Ukrainy rozmowy prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego z merem Kijowa Witalijem Kliczką. Oba rozmówców bardzo cenię – ich spotkanie było wydarzeniem politycznym o wyjątkowym charakterze. Jako jeszcze jeden dowód solidarności i wsparcia przez Polskę Ukrainy. Ale obaj panowie rozmawiali po angielsku – rozmowa była tłumaczona z angielskiego na polski. Właściwie dlaczego? Nie było tłumaczy znających polski i ukraiński? Nasze języki są pokrewne – jeśli wsłuchać się dobrze w ukraiński, wiele słów będzie zrozumiałych. Pokrewieństwo ukraińskiego z polszczyzną jest większe, jak uważam, niż z językiem rosyjskim. Więc niech

to będzie dobry przykład, jak nasi politycy, nawet ci cenieni, z którymi wiążemy nadzieję na naprawę Rzeczypospolitej, nie przywiązują wagi do polszczyzny – brakuje w tej dziedzinie patriotyzmu”.

Cóż, w innym miejscu, wymieniając krytyków, którzy zajmowali się jego twórczością, poświęca pisarz kilka zdań autorowi tego tekstu, zaznaczając, że „obecnie nasze poglądy polityczne tak bardzo się różnią”. I rzeczywiście, choć może nie do końca. Zgadza się np. z twórcą „Pustyni Gobi”, że kandydatowi PO na urząd prezydenta brakuje patriotyzmu, tyle że w całej rozciągłości, a nie tylko w warstwie językowej. Podobnie jak Kazimierz Orłowski, również mając nadzieję na naprawę Rzeczypospolitej, wiąże ją z osobą Rafała Trzaskowskiego. Marzy mu się bowiem, by raz na zawsze zniknął z przestrzeni publicznej, a już Warszawę niech omija szerokim łukiem. Było nie było, jest to i miasto pana Kazimierza, i moje także.

Na szczęście w toku tego wywiadu rzeki zdarza się zapominać o salonowej poprawności, w której rzekomo tak dobrze się czuje. I żyjemy się np. na stereotypy funkcjonujące „w ocenie twórczości paru autorek, których książki co pewien czas mam w ręku. Od lat oceniane są one po lewej stronie jako wyjątkowe, wybitne, a każdą nową rzecz uznaje się za wydarzenie literackie. Tymczasem, moim zdaniem, to powierzchowna literatura, w której nie ma tego, co jest istotą pisarstwa: opisu dramatu istnienia”. Żeby tylko! Krzysztof Lisowski, rozwijając ten niepoprawny wątek, czujnie wyłącza wprawdzie spod tej krytyki prozę Olgi Tokarczuk, ale – co charakterystyczne – problem pozostawia

w zawieszeniu, mówiąc o zaledwie „pewnej” satysfakcji z nowych powieści noblistki. Przed wielu laty, gdy nazwałem dziełka przynajmniej kilku naszych piszących pań „książkami zbędnymi”, wywołałem polemikę ze strony autora „Dziewczyny z ganku”. Dziś widać jak na dłoni, że w swoich ocenach stanu literatury współczesnej wcale się tak bardzo nie różnimy.

Niezamierzenie humorystyczny wydźwięk mają z kolei utyskiwania Kazimierza Orłowskiego związane z faktem doceniania jego książek przez krytyków, których uważa za pravicowych, z czym koresponduje olimpijskie milczenie potencjalnych ideowych sojuszników pisarza. A czemu tu się dziwić? Salon, podobnie jak mafia, nie przebacza. Dokonuje zresztą Orłowski ekspiacji, sumitując się za swoje oceny politycznej sytuacji Polski z lat 90. zeszłego wieku. A wtedy, przypomnę, domagał się rozliczeń z komunistami i lustracji, podczas gdy powinien – przyznaje ze skrucho – wyżej cenić okrągłostołowe osiągnięcia. Zwłaszcza że „coraz bardziej panoszące się w kraju nacjonalizm i szowinizm są w istocie w interesie imperialnej Rosji, dziś w rękach Putina. I to należy uznać za największe niebezpieczeństwo. Kaczyński ze swoim PiS-em odpychał nas przecież od Unii Europejskiej i demokracji Zachodu”.

Chociaż było wprawdzie więcej niż pewne, że w tego rodzaju książce bez strasznego dyktatora z Żoliborza się nie obejdzie, to przecież zdumiały mnie te słowa, a Władimir Jerońkowicz dodałby pewnie, że „moje osłupienie podzielała ze mną cała Europa”. Ta sama, która wciąż nie może dojść do siebie po wiekopomnych rozmowach Witalija Kliczki z Rafałem Trzaskowskim. ©



★★★★★

**KAZIMIERZ
ORŁOWSKI
I KRZYSZTOF
LISOWSKI
„ROZMOWY
O LUDZIACH
I PISANIU”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE,
KRAKÓW 2024**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Jak odzyskać wzrok i słuch

„... w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia” – czytamy w Ewangelii św. Łukasza (Łk 15, 7), jakże wiele więc radości przynieść musiały dzieje bohaterów najnowszej książki prof. Wojciecha Roszkowskiego. „Potęga nawrócenia” opisuje ich ponad 80. Wielu z nich znamy doskonale – bo pamiętamy o kapłanach, męczennikach, świętych. Tu nieraz zaskoczenie przynosi wskazanie, jak często długie i kręte były ich drogi do wiary.

Jednak najbardziej intrygujące są historie najmniej oczekiwane, szczególnie mocno przypominające, jak bardzo niezbadane są ścieżki do nawrócenia.

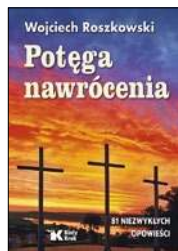
Chiński prawnik, którego do Kościoła doprowadziła lektura biografii św. Teresy z Lisieux. Radykalna sufrażystka, której dzieło po latach docenił papież Jan Paweł II, zezwalając na otwarcie jej procesu beatyfikacyjnego. Pilny student Koranu, który później zostanie profesorem Katolickiego Instytutu w Paryżu. Futurysta, nihilista, wojujący antyklerykał, a potem autor bestsel-

leru „Historia Chrystusa”. Pisarze, mordercy, lekarze, dyplomaci, dziennikarze. I tak dalej, i tym podobne.

Skąd przychodzili? Zewsząd. Ze świata islamu, judaizmu, scjentyzmu, ateizmu, socjalizmu, nawet szamanizmu.

Przybywali, szukając światła, którego nigdzie indziej znaleźć nie mogli. I pozostawali w prawdzie, nawet gdy wymagało to przejścia przez najcięższe próby. „Nawrócenie nie jest tylko jednorazową przemianą grzesznika w świętego” – pisze we wstępie prof. Roszkowski. „Jest raczej zmianą kierunku, w którym się poruszamy [...]”. Istotą tej zmiany jest wezwanie Chrystusa w Galilei »nawracajcie się i wierzcie w ewangelię«.

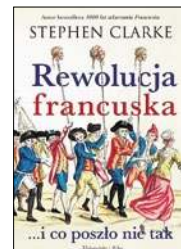
Poruszająca to bardzo i wielce pożyteczna lektura, idealna na czas świąt Bożego Narodzenia, gdy przychodzi chwila na odpoczynek od codziennej gonitwy i pomyślenie o trochę innych sprawach. A może nie o myślenie tu chodzi? Nawrócenie to chwila, kiedy – jak zatytułował pierwszą część swej książki prof. Roszkowski – „dusze odzyskują swój wzrok i słuch”. © ©



★★★★★
WOJCIECH ROSZKOWSKI
„POTĘGA NAWRÓCENIA”
BIAŁY KRUK 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Lekcja dla królów: złe chęci przynoszą złe skutki. Lekcja dla rewolucjonistów: dobre chęci przynoszą skutki jeszcze gorsze; obalenie tyrana zamieniło się w krwawą jatkę. Autor „1000 lat wkurzania Francuzów” nie zawodzi.



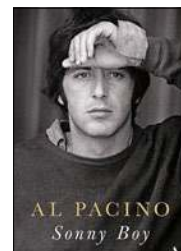
STEPHEN CLARKE
„REWOLUCJA FRANCUSKA... I CO POSZŁO NIE TAK”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Tom pierwszy „Wielka wojna imperiów 1931–1945”. Overy, autor m.in. „Krwi na śniegu” i „Dyktatorów”, zaczyna od japońskiej inwazji na Chiny. Skupia się nie na detalach wojennych zmagani, lecz na imperialnych mrzonkach.



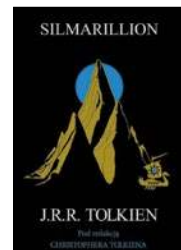
RICHARD OVERY
„KREW I ZGLISZCZA”
REBIS

„Dobrze się żyje, wino się pije” – podśpiewywał za młodu, gdy pracował jako woźny w teatrze. Opowieści o początkach są tu najciekawsze, wszak kino dostrzegło go, gdy był już po trzydziestce i wiele miał za sobą.



AL PACINO
„SONNY BOY. WSPOMNIENIA”
AGORA

Głośne dzieło Tolkiena z ilustracjami autora oraz dwiema wersjami mapy Beleriandu: oryginalną i zmodyfikowaną przez Christophera Tolkiena. Edycja specjalna, w sam raz na świąteczny prezent dla fanów Śródziemia.



J.R.R. TOLKIEN
„SILMARILLION”
ZYSK I S-KA

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: TRZY DUCHY ŚWIĄT

Do grona niezliczonych adaptacji scenicznych, kinowych i telewizyjnych dołącza kolejna wersja „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa – tym razem komiksowa. Historia skąpcza Scrooge’a i jego przemiany to jedna z najczęściej adaptowanych nowel wszechczasów. Także często



PATRICE BUENDIA, JEAN-MARC STALNER
„OPOWIEŚĆ WIGILIJNA”
EGMONT 2024

kopiowana: w samym XIX stuleciu powstało kilkadziesiąt jej naśladownictw.

Piotr Gociek

Rusofobia.

Jak sterują strachem Polaków



Marcin Skalski

Przepracowanie traumy związanej z krzywdami doznanymi ze strony Rosji oraz przegraną rywalizacją o prymat w Europie Wschodniej jest warunkiem koniecznym, by Polacy stali się normalnym narodem

Polacy w swojej masie identyfikują się nie tylko jako członkowie konkretnego narodu, lecz także definiują się jako część Zachodu w opozycji do Wschodu. Na ten pierwszy spoglądają z podziwem i kompleksem niższości, na ten drugi – z pogardą, a także ze strachem. Pogarda wobec Wschodu, utożsamianego z despotią i barbarzyństwem, jednocześnie każe



czącą rolę pełni mit »Zachodu«, o czym świadczą badania CBOS-u. Wynika z nich, że główną zasadą porządkującą stosunek Polaków do innych narodów są dwa stereotypy: stereotyp biednego i zapóźnionego cywilizacyjnie »Wschodu« oraz stereotyp bogatego, cywilizowanego »Zachodu«, który dla wielu Polaków stanowi pozytywną grupę odniesienia”. Uczony charakteryzuje również negatywny punkt odniesienia, którym są Rosjanie i Ukraińcy, w których stereotypie można znaleźć – jak twierdzi – więcej cech negatywnych niż pozytywnych.

Podobne wnioski przedstawiał w 2008 r. inny socjolog prof. Tomasz Zarycki. Badacz łączy polskie poczucie wyższości wobec wschodnich sąsiadów z kompleksami w stosunku do Zachodu. „Jednym ze sposobów, w jaki Polacy rekompensują do dziś swoje w dużym stopniu postkolonialne kompleksy niższości, jest odwoływanie się do schematów orientalizujących swoich wschodnich sąsiadów – w szczególności Rosjan, a także Białorusinów czy Ukraińców” – twierdzi socjolog.

Z kolei w roku 2011 w ankiecie dla tygodnika „Przegląd” antropolog kultury, politolog, filozof prof. Stanisław Zapaśnik zauważył, że Rosjanom przypisujemy jako naród negatywnie wartościowane cechy „azjatyckie” i „chłopskie”, podkreślając zarazem, iż jednocześnie pielęgnujemy swój kompleks wobec Zachodu: „Mało jest narodów tak zakompleksionych jak Polacy. Mamy np. poczucie wyższości wobec Rosjan, których »polscy panowie« uważają za naród chłopski i azjatycki [...]. To uczucie rozciąga się też na inne strefy wschodnie, natomiast jeśli chodzi o Zachód, sytuacja jest odwrotna. Na tamtych terenach Polacy zwykle prezentują swój kompleks niższości” – twierdził. Naukowiec uważał przy tym, że Polacy nie dostrzegają własnych osiągnięć jako naród, co ma być miarą naszych kompleksów.

Dość przy tym dodać, że jesteśmy razem społeczeństwem wyjątkowo przychylnie nastawionym do Unii Europejskiej. Po 20 latach członkostwa w tej strukturze przynależność do UE popiera 77 proc. badanych – wynika z marcowego sondażu CBOS. Tak wysokie poparcie utrzymuje się mimo tego, że 44 proc. respondentów uznało, iż UE zbyt ogranicza suwerenność Polski. Wielu z nas popiera więc udział w inijnych strukturach mimo

dostrzegania groźby zawężania polskiej suwerenności. Z kolei z sondażu ośrodka Opinia24 dla TOK FM z maja bieżącego roku wynika, że członkostwo w UE popiera aż 82,5 proc. Polaków.

Powyższe wyniki nie mogą dziwić, przynależność do zinstytucjonalizowanych struktur Zachodu to dla nas wybór nie tyle cywilizacyjny, ile wręcz tożsamościowy. Socjolog dr Artur Wysocki twierdzi, że „wyobrażenia o miejscu Polaków w uniwersum kulturowym świata lokują własną wspólnotę na Zachodzie”. Dodaje on przy tym, że wizerunek typowego Europejczyka „jest jednocześnie wyra-

Na Zachód Polacy spoglądają z podziwem i kompleksem niższości, na Wschód – z pogardą, a także ze strachem

zem pozytywnego wzorca dla tożsamości polskiej – źródłem aspiracji i ocen”, a zarazem ma być „wyrazem pewnych kompleksów w drodze do osiągnięcia tego wzorca”. Badacz stawia też hipotezę, komentując wyniki badań z lat 2004 oraz 2009, że wciąż nie postrzegamy siebie w pełni jako część Zachodu ze względu zarówno na dystans dzielący nas od Europy Zachodniej, jak i na przeszłość odznaczającą się zdominowaniem przez wschodniego sąsiada. Według dr. Wysokiego wybór między Wschodem a Zachodem to z polskiej perspektywy przede wszystkim odniesienie do wartości rosyjskich bądź zachodnioeuropejskich.

Podsumowując, bez wątpienia chcemy widzieć się jako uczestnik wspólnoty Zachodu, którego wciąż czujemy się niepełnowartościową częścią. To właśnie Zachodowi, w przeciwieństwie do Wschodu, przypisujemy pozytywne cechy, z którymi chcemy być utożsamiani. W tym też upatrujemy szansy na upragniony dobrobyt i bezpieczeństwo, a co najważniejsze – na prestiż, który w toku dziejowych błędów utraciliśmy jako naród i państwo.

DALEKO OD ZACHODU

W studium nad różnymi odstonami kultury polskiej zatytułowanym

Polakom odcinać się od wszystkiego, co stamtąd pochodzi. Z kolei strach przed Wschodem ma konkretne imię, a jest nim rusofobia – praźródło naszych kolejnych klęsk.

POLSKI KOMPLEKS NIŻSZOŚCI

W 2017 r. socjolog prof. Jarosław Ząbicki sformułował następującą diagnozę: „W polskim społeczeństwie wciąż zna-



■ „Niesamowita Słowiańszczyzna” badaczka literatury prof. Maria Janion wprowadza czytelnika w świat, który wyziera niczym stary zaszpachlowany napis spod kilku warstw tynku. Przebija się on nie tylko w twórczości naszego narodowego wieszczu, z której „Dziady” przychodzą na myśl jako pierwsze, lecz także u Zygmunta Krasińskiego, Ignacego Jana Kraszewskiego, Juliusza Słowackiego i wielu innych. Tytułowa „niesamowitość” Słowiańszczyzny to w tym kontekście nieuświadomiona obecność motywów, ze źródeł inspiracji których nie zdajemy sobie zazwyczaj sprawy.

Tymczasem prof. Janion zabiera nas w podróż po orientalnych źródłach kultury polskiej. Przywołuje chociażby, choć z pewnymi zastrzeżeniami, następujący opis autorstwa szkockiego historyka Neala Aschersona dotyczący bitwy pod Wiedniem: „Polskie oddziały tak bardzo przypominały wroga, że musiały ozdobić hełmy słomianymi grzebieniami, aby habsburscy sojusznicy nie wzięli ich za Turków”.

Dość egzotycznych inspiracji w kulturze polskiej doszukuje się z kolei włoska sławistka prof. Marina Ciccarini, na którą również Maria Janion się powołuje. Podaje ona, że „Bliski Wschód – z punktu widzenia religii i doktryny politycznej pozostający par excellence inny – jest jednak czymś bardzo bliskim dla ówczesnego Polaka, który nie mając rzeczywistej znajomości świata islamskiego, przyjmuje zeń tylko lub przede wszystkim to, co bardziej rzuca się w oczy, co jest wystawne – być może właśnie dla podkreślenia owej odmienności wzorca w porównaniu z Europą Zachodnią”. Szczególnie istotne jest przy tym ostatnie twierdzenie: nasi przodkowie chcieli odróżniać się od zachodnich Europejczyków i odrębność tę zamierzali pielegnować.

Weryfikacji wymaga też mit Polski jako przedmurza chrześcijaństwa. Zmierzył się z nim nie kto inny, jak prof. Janusz Tazbir. Historyk ten pisał: „Choć przedmurzu przyznawano funkcje obronne także wobec wschodniego sąsiada, nie oznaczało to bynajmniej stawiania znaku równości między polskim antemurale a forpoczta kultury łańskie”. Uczony skonfrontował również wspomniany mit z realiami politycznymi: „Doktrynalna treść hasła antemurale sprowadzała się do obrony katolickiej

ideologii przed niewiernymi. Na co dzień jednak dominował natomiast realizm polityczny” („Polskie przedmurze chrześcijańskiej Europy”).

Pogląd prof. Tazbira nie jest odosobniony. Wtórował mu historyk idei prof. Andrzej Walicki, który w następujący sposób charakteryzował dawną Polskę: „Kraj uważający się za przedmurze chrześcijaństwa bronił się przed wpływami

Wspieranie Ukrainy to kolejna odsłona odgrywania się Polaków na Moskalach

kultury zachodniej, ale chętnie akceptował orientalizację stroju i gustu artystycznego. Pod względem politycznym zaś najbardziej obawiał się zachodniego absolutum dominium” („Idea narodu w polskiej myśli oświeceniowej”). Podkreślmy zatem, że ówczesni Polacy dystansowali się od Zachodu nie tylko pod względem kulturowym, lecz także ustrojowym. Dalsza część wywodu prof. Walickiego brzmi dziś jak herezja, tym bardziej warto ją więc przytoczyć: „Wówczas nie cechowało Polaków poczucie, że reprezentują cywilizację łańską w takim rozumieniu, które by zakładało ich organiczną przynależność do Zachodu i cywilizacyjną przeciwstawność wobec Rosji”.

SPRAWA POLSKA W TRYBACH REWOLUCJI

Rusofobia jako synonim polskiej tożsamości narodowej uprawomocniła się znacznie później. Jeszcze długo po trzecim rozbiore nie jest to takie oczywiste. „Naród polski wkracza w wiek XIX bez wyraźnego wyboru orientacji politycznej i opcji cywilizacyjnej. W obu tych kwestiach opinie warstwy przywódczej i elity intelektualnej pozostawały podzielone. Orientacja prorosyjska nie zanikła nawet w okresie wojen napoleońskich; na jej czele stał książę Adam Czartoryski, bliski przyjaciel i zaufany doradca Aleksandra I, minister spraw zagranicznych cesarstwa” – pisał prof. Walicki („Polska, Rosja, marksizm”).

Powstanie styczniowe 1863 r. było katastrofą. Polska praca kulturalna, choć prowadzona w warunkach państwa zaborczego, została zahamowana, a wręcz cofnięta. Szczególnie dotkliwie represje popowstańcze dotknęły dalekie Kresy. Już powstanie listopadowe lat 1830–1831 przyniosło sprawie polskiej wymierne straty – likwidacja Liceum Krzemienieckiego na Wołyniu oraz Uniwersytetu Wileńskiego pozbawiły Polaków kluczowych instytucji, które systematycznie mogły posuwać ich sprawę naprzód.

Jak twierdził prof. Andrzej Walicki, w obozie „czerwonych” decyzja o powstaniu nie była wynikiem kalkulacji politycznej. Hurraoptymistyczne lekceważenie materialnych warunków zwycięstwa („Poszli nasi w bój bez broni”) często łączyło się z przeświadczeniem (wyrażanym wprost przez Ludwika Mierosławskiego, pierwszego dyktatora powstania styczniowego), że walka konieczna jest niezależnie od jej wyniku, jako demonstracja polskiej woli istnienia”. Historyk idei zaznacza brak wiary innego z przywódców powstania, Stefana Bobrowskiego, w zbrojne zwycięstwo. Jego celem było przelanie „rzeki krwi” uniemożliwiającej kompromis z Rosją. „W ramach ideologii narodowej absolutyzującej moralną bezkompromisowość było to opcją niepozbawioną logiki wewnętrznej” – konstatował prof. Walicki. Również historyk Wilhelm Feldman opisywał instrumentalny stosunek Bobrowskiego do przewidywanego wskutek powstania rozlewu krwi, który był „konieczny” wobec alternatywy kompromisu z Rosją („Dzieje polskiej myśli politycznej w okresie porozbiorowym”, t. 1).

Sprawa polska podnoszona w trakcie powstań była też niechybnie wciągana w tryby ogólnoeuropejskiej rewolucji. W „Rodowodach niepokornych” historyk i publicysta prof. Bohdan Cywiński zauważa: „Począwszy od powstania kościuszkowskiego wszystkie nasze zrywy niepodległościowe w swej warstwie ideologicznej inspirowane były dziedzictwem Wielkiej Rewolucji Francuskiej [...]”. Gdyby ktoś z powstań zwyciężyło i wywalczyło Polsce niepodległość, można przypuszczać, że ideologia tego państwa musiałaby niezwłocznie postawić Polaka-katolika w opozycji do rządu”. To m.in. dlatego postawa Polaków spotyka się z uznaniem wybitnego przedstawiciela zachodnioeu-



ropejskiej myśli politycznej Karola Marksa, który w styczniu 1866 r. w Londynie przeciwstawia Polakom „barbarzyńską” Rosję, mówiąc: „Istnieje jedna tylko alternatywa dla Europy: albo azjatyckie barbarzyństwo pod przywództwem moskiewskim zaleje ją jak lawina, albo Europa musi odbudować Polskę, stawiając między sobą a Azją 20 milionów bohaterów, by zyskać na czasie dla dokonania swego społecznego odrodzenia”.

Tymczasem powstanie styczniowe także na arenie międzynarodowej odnosi fatalny dla sprawy polskiej skutek. „Zanosilo się na to, że Królestwo Polskie stanie się autonomicznym bytem w systemie rosyjsko-francuskiego sojuszu, mogącym wywoływać pewien wpływ na politykę europejską [...]. Wszystko to zostało zburzone przez wybuch powstania styczniowego [...] Bezwzględnie wykorzystane przez Otto von Bismarcka dało Prusom historyczną szansę zjednoczenia Niemiec” – twierdzi prawnik i publicysta prof. Lech Mażewski. Jak z kolei zauważał Ksawery Pruszyński, sojusz rosyjsko-francuski przeciwko Berlinowi doprowadził przy innych sprzyjających okolicznościach do niepodległości Polski kilkadziesiąt lat później. Straty spowodowane przez nieprzemyślany zryw powstańczy były już jednak nie do odrobienia.

Zarówno podczas powstania listopadowego 1830 r., jak i styczniowego w roku 1863 dochodzi do prób patriotycznego szantażu, który zabraniał uwzględniać rachunek zysków i strat. Jak twierdzi prof. Mażewski, ugięcie się przed tymże szantażem w 1830 r. oznaczało zanegowanie koncepcji, które legły u podstaw utworzenia Królestwa Polskiego w 1815 r. Zmarnowano przy tym szansę, które dla sprawy polskiej stwarzały postanowienia kongresu wiedeńskiego i zerwanie z prozachodnią orientacją polityki polskiej. Z kolei powstanie styczniowe zostało rozpętane – jak pisała historyk prof. Wiktoria Śliwowska – w atmosferze „terroru moralnego”. Oprócz nacisku opinii publicznej sprzyjanie „jedynie słusznemu” podejściu do powstania wymuszali sztyletnicy – skrytobójczy mordercy mający na sumieniu ówczesnych liderów opinii powątpiewających w sens zrywu.

Nieprzejednanie, z którym Rosjanie ostatecznie tłumili kolejne powstania, szło w parze z brakiem istotnej oferty cywilizacyjnej dla Polaków. Wprawdzie Polacy mogli robić w carskiej Rosji kariery, bywali oficerami czy dorabiali się majątków, ale w swej masie nie postrzegali Rosjan jako pozytywnego punktu odniesienia. Z kolei – jak pisze historyk idei i politolog prof. Adam Wielomski – „poczucie kolejnych klęsk i upokorzeń przyczyniło się do powstania wielkiego antyrosyjskiego mitu kształtującego polską tożsamość narodową”. Mit ten ma być „celowym konstruktem doktrynalnym” i – co warto odnotować – nie ma zastosowania do innego i dużo groźniejszego ciemniźnielca polskich dążeń niepodległościowych, którym byli Niemcy. Prowodzący kolejnych powstań może więc i zaszkodził sprawie polskiej, ale przynajmniej utrwalił antyrosyjski mit jako synonim polskiej tożsamości narodowej. Postrzeganie Rosji jako stojącej cywilizacyjnie niżej od Polaków umocniło z kolei przekonanie, że jej ekspansja po trupie Rzeczypospolitej ma wszelkie cechy postawy skrajnie niemoralnej, bo odbywającej się cudzym kosztem.

Natomiast Polska jest „Chrystusem narodów”, na sztandarach mając wypisane hasło: „Za wolność naszą i waszą”. W ten sposób polska polityka odseparowała się od żywotnych interesów własnego narodu i zaczęła postrzegać się jedynie jako antyteza wschodniej despotii i forpocząta Zachodu. Polskość przestała być wartością unikalną, celem samym w sobie i dla siebie. Sensem istnienia Polski ma być dziejowa misja niesienia wolności i demokracji w kontrze do Rosji. Ta ostatnia zaś wywołuje lęk i pogardę zarazem.

NIENAWIŚĆ DO ROSJI

Effekt opisanych powyżej procesów ma wymierne skutki. Diagnoza filozofa i publicysty prof. Bronisława Łagowskiego z 2000 r.: „Wielka miłość sfer rządzących do Ukrainy jest funkcją nienawiści do Rosji” sprawia wrażenie aktualnej jak nigdy. Dlatego właśnie tylko nad Wisłą można odgrywać rolę „fajera narodów” i do tego się tym szczyścić. Niemal na kolanach prosimy przy tym Kijów o dowody wdzięczności, choć przecież Ukraińcy

rzekomo „walczą za nas”. Jest to zresztą prawda o tyle, o ile Ukraina w tych rachunkach nie ma żadnej podmiotowości – jej wspieranie to kolejna odsłona odgrywania się Polaków na Moskalach za to, że ci ostatni lepiej potrafili przez wieki przeprowadzać projekcję siły.

„Wsparcie, jakiego polskie władze udzielają dla przewrotu politycznego w Kijowie, ideologizowane jest głównie polską rusofobią” – komentował moralne wzmożenie w Polsce w trakcie rozruchów na kijowskim Majdanie w latach 2013–2014 pierwszy ambasador RP na Ukrainie dr Jerzy Kozakiewicz. Do dziś zresztą nikt kompetentny nie odpowiedział na pytanie, dlaczego właściwie obalenie Wiktora Janukowycza leżeć miało w interesie Polski i co na tym zyskaliśmy. Nad Wisłą nie zadaje się takich pytań, gdy bratni naród ukraiński walczy o „wolność”. Tymczasem lokalna elita w ramach obrony swego monopolu na polskość pilnuje, by nie dopuścić do normalnej debaty, odmawiając oponentom patriotyzmu. Wszelkie głosy polemiczne niepasujące do jej wizji rzeczywistości ubiera ona bowiem w szaty „rosyjskiej dezinformacji”. Naszą rusofobię perfekcyjnie rozgrywają przy tym sami

Sensem istnienia Polski ma być dziejowa misja niesienia wolności i demokracji w kontrze do Rosji

Ukraińcy, którzy polskie próby wybicia się na suwerenność w relacjach z Kijowem pacyfikują argumentem o „trzeciej sile” skłócającej nasze narody. Mimo że w stosunkach z Polską Ukraina nigdy nie ma sobie nic do zarzucenia, nasze infantylne elity polityczne i tak obdarowują Kijów licznymi zasobami należącymi do Polaków.

Przepracowanie traumy związanej z krzywdami doznanymi ze strony Rosji oraz przegraną rywalizacją o prymat w Europie Wschodniej jest warunkiem koniecznym, by Polacy stali się normalnym narodem. Albo – by stali się nim na powrót. Inaczej Polską poniewierać będą nawet takie państwa, jak Ukraina czy Litwa, nie mówiąc już o poważniejszych graczach.



W „Manifestie szabelkisty” Robert Bogdański pisze o propozycji, sygnowanej przez „wielu poważnych ludzi”, którzy zaproponowali, aby wprowadzić na Ukrainę – w trakcie trwania wojny – wojska „koalicji chętnych”. Miałyby one zabezpieczyć tyły ukraińskiej armii po to, aby odciążyć ją od tej strony i aby mogła „wygrać” z Rosją. Bogdański nazywa to podejście „realistycznym”. Gdy idzie o powagę sygnatariuszy – wspomnijmy choćby Bena Wallace’a, byłego brytyjskiego ministra obrony, który półtora roku temu przewidywał, że Rosja za moment się zawali, bo jest już potężnie osłabiona toczoną wojną. Podobnie niecelne prognozy dotyczące wydarzeń na Ukrainie formułował inny sygnatariusz listu, gen. Ben Hodges, były głównodowodzący amerykańskich sił w Europie.

Niedawno miałem okazję wysłuchać jednego z ważnych urzędników w strukturze NATO. Ów urzędnik o planie, o którym z zachwytem pisał Bogdański, w ogóle nie wspominał. Kwestia wkroczenia wojsk krajów sojuszu na Ukrainę przed zakończeniem walk wydawała się leżeć w ogóle poza sferą podejmowanych w NATO rozważań. O kwestii zabezpieczenia ewentualnej linii demarkacyjnej po zawarciu porozumienia – które wydaje się być coraz bliżej – mowa była także w bardzo ostrożnych sformułowaniach, ze wskazaniem na jej ewentualną długość znacznie przewyższającą to, co mamy na Półwyspie Koreańskim. Co oczywiście rodziłoby olbrzymie problemy logistyczne.

Gdy tematem rozmowy stały się oczekiwania Ukrainy, aby objąć ją w zamian za zakończenie walk jakąś formą mechanizmu bezpieczeństwa sojuszu północnoatlantyckiego, padło stwierdzenie, że nie należy tu mówić o gwarancjach, bo te są zastrzeżone dla artykułu 5 i dla członków NATO. Mój rozmówca stwierdził także, że trzeba to wszystko bardzo dobrze przekalkulować, bo na sto procent można się spodziewać rosyjskiej reakcji.

Zaznaczam, że stanowisko wspomnianego urzędnika było co do zasady całkowicie zgodne z oficjalną polską strategią wspierania Ukrainy. A mimo to jego wypowiedzi zawierały sygnały o konieczności zachowania jak najwyższej ostrożności – i to nawet w przypadku kroków przedsięwziętych już po zakończeniu działań zbrojnych. To natomiast,

co zaproponowali autorzy listu, na który powołuje się Bogdański, w kategorii ryzyka widzianego z punktu widzenia sojuszu mieści się najwyraźniej poza skalą i byłoby uznane za szaleństwo.

I to jest pierwsza uwaga. Nawet jeżeli rozmawiamy z ludźmi w pełni zgadzającymi się ze strategią daleko idącego wspierania Kijowa, ale jednocześnie realnie odpowiadającymi za mechanizmy sojusznicze bądź za władzę w którymś z państw (może z wyłączeniem kompletnie oszalałych Bałtów), to ich stanowisko jest względnie ostrożne. W szczególności dotyczy to tych, którzy działają w ramach

zaś zwykle nie są kompletnie zagrożeni dramatycznymi konsekwencjami proponowanych przez siebie kroków.

Logika autorów listu, a także generalnie logika szabelkistów, do których niewątpliwie zalicza się Robert Bogdański, opiera się na całkowicie fałszywym przekonaniu, że faktycznie rozchwiana – jak chyba nigdy po 1990 r., włączając w to nawet czas 11 września 2001 r. – sytuacja geopolityczna uprawnia nas do poluzowania hamulców i dociśnięcia gazu. Ta logika objawia się w różny sposób. Można tu wskazać pogląd – na którego błędność wskazywałem już

Szabelkizm szkodzi Polsce



Łukasz Warzecha

Oczekiwanie, że Rosja pokawałkowana będzie dla Polski lepsza niż Rosja zjednoczona jako federacja, jest już nie tylko naiwne, lecz także po prostu nieodpowiedzialne – odpowiedź na polemikę Roberta Bogdańskiego „Manifest szabelkisty” („Do Rzeczy” nr 50/2024)

międzynarodowych struktur, gdzie zasadą jest dogrywanie wielu opinii i strategii. Działa tam jednak jakieś poczucie odpowiedzialności, nawet jeśli wciąż uznajemy, że roztropności jest w tym zbyt mało.

KWESTIA ODPOWIEDZIALNOŚCI

Inaczej jest w przypadku różnego rodzaju gremiów, które żadnej realnej odpowiedzialności nie ponoszą. Byli premierzy, byli dowódcy oraz liczni eksperci mogą sobie podpisywać, co im żywnie przyjdzie do głowy. Mogą domagać się jak najdalej idących działań, ponieważ ich z tego nikt nie rozliczy, a także zwykle – tkwiąc w swoich bańkach – nie czują żadnego brzemienia odpowiedzialności. Bo też o niczym nie decydują. Fizycznie

wielokrotnie – że skoro przekroczono już kilka czerwonych rosyjskich linii i nie wydarzyła się tragedia, to można bezpiecznie przekraczać następne. Innym przejawem tej logiki jest zdanie wyrażone przez Bogdańskiego za Walerijem Załuznym: że trzecia wojna światowa już trwa, więc lepiej „przyjąć walkę” na terytorium Ukrainy, niż czekać na wdarcie się konfliktu kinetycznego na nasze terytorium. (Generał Załuzny to sam w sobie ciekawy przypadek – ukraiński jastrząb, bardzo popularny w wojsku, a wydudkany bezlitośnie przez prezydenta Wołodymyra Zełenskigo, bo stanowił dla niego polityczną konkurencję, podczas gdy sam pan Zełenski trwa na stanowisku jedynie dlatego, że kraj jest w stanie wojny. Już



dawno powinny były się odbyć kolejne wybory prezydenckie, które pan Zełenski prawdopodobnie by przegrał).

Samo opieranie się na bon motach (bo do takich kategorii należy cytowane stwierdzenie gen. Żałużnego) jako podstawie dla realnej i roztropnej polityki oraz dla podejmowania potencjalnie granicznych decyzji jest niepoważne. Równie niepoważne jest zapominanie, że w tej grze Ukraińcy mają swój interes, a my – swój. Ukraińskim interesem od początku wojny jest jak najdalsze umiędzynarodowienie konfliktu. Nic dziwnego, że Kijów przekazywał – i robi to nadal – do opinii międzynarodowej komunikaty, mające przedstawiać ukraiński konflikt jako początek wojny światowej – to po prostu było w interesie Kijowa. Ale już nie naszym.

„SYMPTOM MAŁEGO PIESKA”

W tym podejściu również tkwi zresztą sprzeczność. Wszak Ukraińcy z jednej strony zawzięcie zaprzeczali – był to również kamień obraży dla ich fanów nad Wisłą – że wojna ukraińsko-rosyjska to typowa wojna zastępcza, bo to pozycjonowało ich w roli przedmiotu, nie podmiotu. Z drugiej – tylko widząc tę wojnę właśnie jako zastępczą, można uznać ją za konflikt o globalnej naturze. Nie znaczy to jednak, że jest to trzecia wojna światowa, podobnie jak nie były nią wojny zastępcze w różnych punktach świata w czasie zimnej wojny: czy to w Korei, czy w Angoli, czy gdziekolwiek indziej.

Ukraina chciałaby, aby konflikt został umiędzynarodowiony lub aby przeniósł się gdzieś indziej, bo to odciążałoby ją samą. Nie jest to jednak w żadnym wypadku w naszym interesie. Jest dokładnie przeciwnie: Polska powinna koniecznie dążyć do tego, żeby wojna rosyjsko-ukraińska taką właśnie jedynie pozostała. Włączanie się w konflikt zachodnich armii w jakiegokolwiek formie idzie przeciwko temu kursowi.

Pod listem, jak wspomina Bogdański, podpisała się szczególnie duża reprezentacja Bałtów. Także kraje bałtyckie są wyjątkowo aktywne, gdy idzie o próby wciągania Ukrainy do NATO. Nic dziwnego – Bałtowie od początku konfliktu wykazują się postawą, którą złośliwie można by określić „symptodem małego pieska”. Mały piesek, jak wiadomo, bardzo dużo szczeka, ale gdy przyjdzie do starcia z większym brytanem, na ogół ucieka i chowa się za

Umiędzynarodowienie ukraińsko-rosyjskiego konfliktu **nie jest w interesie Polski**

większego psa lub właściciela. Pamiętajmy, że wkład Bałtów we wspólną obronę jest w zasadzie pomijalny. Czy za postawą Bałtów stoi jakakolwiek logika – nie wiem, bo nigdy takiej nie zaprezentowali. Wyspecjalizowali się natomiast w najwyższej formie szabelkizmu. Być może jest to postawa wynikająca po prostu z ich faktycznie nieciekawego położenia geograficznego. Ale znów: to ich interes (jeśli jakiś w tym w ogóle jest), ale nie nasz.

W ogóle przekonanie – które wydaje się podzielać Bogdański – że istnieje jakiś zbiorowy, jedynie słuszny interes Zachodu w tym konflikcie, jest błędne. Owszem, można by zapewne dowodzić, że powinno nim być przede wszystkim uniknięcie wybuchu gorącej wojny na terytorium NATO i UE, ale nawet to, wydawałoby się oczywiste, założenie nie jest powszechnie podzielane – jak widać po stanowiskach wspomnianych krajów bałtyckich. Poza tym na wielu poziomach inny jest interes ukraiński, inny – amerykański, francuski, niemiecki, a jeszcze inny polski. Warto na ten wadliwy sposób rozumowania zwracać uwagę, bo prowadzi on do przyjęcia poglądu, że istnieje tylko jeden słuszny pogląd na wojnę i relacje z Rosją (krajem niewątpliwie niebędącym przyjacielem Polski – tu chyba dyskusji nie ma), a każdy, kto się z niego wyklamyga, jest w jakiejś formie rosyjskim agentem albo ulega agenturze Kremla. Tak patrzy się na stanowisko Węgier czy Słowacji (oba te państwa kontestują wejście Ukrainy do NATO); tak też patrzy się na sytuację z wyborami prezydenckimi w Rumunii i rzekomy rosyjski wpływ (odkryty zresztą nie przez rumuńskie, ale ukraińskie służby, które te informacje przekazały Bukaresztowi – co rodzi ogromne wątpliwości co do ich rzetelności).

To zresztą temat na odrębne rozważania – teza, że zwycięstwo Călina Georgescu (abstrahując od jego momentami ekscentrycznych poglądów) w pierwszej turze załatwiły finansowane przez Rosjan filmiki na TikToku (nawet

gdyby było prawdą, że Rosja takie filmiki finansowała), jest absolutnie karkołomna, by nie rzec – absurda. Tymczasem niektórzy już nazywają to „wojną hybrydową”.

WSPÓŁISTNIEĆ Z ROSJĄ?

Spójrzmy wreszcie na ostatni akapit tekstu Bogdańskiego, który brzmi: „Przekonanie o tym, że można pokojowo współistnieć z Rosją, to mrzonka i myślenie życzeniowe. Tylko Rosja pokonana i rozkawałkowana wzdłuż granic narodowościowych gwarantuje nam długofalowe bezpieczeństwo”.

Pierwsze zdanie to ogólnik. Co to znaczy: współistnieć pokojowo? Pokojowo współistnieć mogą również państwa, które nie mają ciepłych relacji – ba, które mają relacje wręcz lodowate. A jednak nie wybuchła między nimi wojna. Korea Północna i Południowa, podzielony Cypr – a więc Grecja i Turcja, Grecja i Macedonia itd. Rosja de facto pokojowo współistnieje z Polską od 1993 r., gdy wojska rosyjskie opuściły nasz kraj.

Jeszcze mniej ostre jest określenie „Rosja pokonana”. Ze zdefiniowaniem pojęcia „pokonania Rosji” szabelkiści mają problem od początku konfliktu ukraińsko-rosyjskiego, a oczekiwanie, że Rosję można pobić tak jak Niemcy w 1945 r., zostało już dokumentnie ośmieszone.

Oczekiwanie, że Rosja pokawałkowana – czyli będąca terytorium niekontrolowanych konfliktów pomiędzy podmiotami, z których wiele dysponowałoby własną bronią jądrową – będzie dla Polski lepsza niż Rosja zjednoczona jako federacja, jest już nie tylko naiwne, ale po prostu nieodpowiedzialne.

U fundamentu opinii wielu szabelkistów wydaje się leżeć to, co lapidarnie określa się zdaniem: bardziej nienawidzą Rosji, niż kochają Polskę. A pamiętajmy, że sygnatariuszami listów takich jak ten przywoływany przez Bogdańskiego czy podobnych apeli są ludzie, którzy żadnego obowiązku kochać Polski i przejmować się naszym interesem nie mają. Tym bardziej zatem nie należy ich zdania traktować jako podstawy naszej strategii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**W KOLEJNYM WYDANIU „DO RZECZY”
RIPOSTA ROBERTA BOGDAŃSKIEGO
I ODPOWIEDŹ ŁUKASZA WARZECHY**



Przed kim zwinąć czerwony dywan?



Dariusz Wieromiejczyk

Wiara, że zamorskie „zobowiązania” stanowią podstawę naszej polityki zagranicznej, już raz doprowadziła polskie społeczeństwo nad skraj przepaści. Wspierana takimi właśnie mirażami „pancernych” gwarancji wykrawia się oszukana Ukraina

Niezwykle ciekawą ewolucję poglądów przechodzi właśnie brytyjski minister spraw zagranicznych, David Lammy. Jeszcze w lipcu objeżdżał on Europę, zapewniając wszystkich swoich rozmówców o niewzruszonym poparciu Wielkiej Brytanii dla militarnych wysiłków Ukrainy. Jego ulubionym określeniem dotyczącym brytyjskiego zaangażowania po stronie Ukrainy był zwrot „ironclad commitments”, co po polsku tłumaczyć można jako „pancerne zobowiązania”. W ustach brytyjskiego ministra kojarzyć się to musiało z czasami imperialnej świetności, kiedy „ironcladami” nazywano parowce i kanonierki wzmocnione stalowymi płytami. „Pancerne” okręty strzegły interesów imperialnych na całym świecie, co jakiś czas, dla przykładu, obracając w perzynę mieściny zbuntowanych tubylców, a to w Egipcie,

a to w Chinach. Warto pamiętać, że nie pociągało to za sobą istotnego zaangażowania wojsk lądowych.

O „pancernym” zaangażowaniu w sukces militarny Ukrainy przekonywał minister Lammy podczas swojej lipcowej wizyty w Chobielinie u ministra Radosława Sikorskiego. Tego samego sformułowania zechciał też użyć w trakcie wrześniowej wizyty w Kijowie, kiedy u boku amerykańskiego sekretarza stanu, Antony’ego Blinkena, po raz kolejny przywołał na konferencji prasowej obraz żelaznego okrętu. Wychwalał przy okazji wojenną determinację i powszechny duch bojowy („blitz spirit”) ukraińskiej ludności cywilnej. Porównał ją do zdyscyplinowanej postawy londyńczyków podczas drugiej wojny światowej. „To poruszający i pouczający widok zobaczyć zwykłych ludzi robiących wszystko, co w ich mocy, by zapobiec rosyjskiej agresji” – nie szczędził pochwał polityk. Czarnoskóry minister odwołał się nawet do swoich wspomnień rodzinnych. „Jeden z moich przodków został zabrany ze swojego domu, zniewolony, zakuty na statku w łańcuchy i zmuszony do pracy na rzecz obcego imperium. Dowiedział się, aż za dobrze, czym jest imperializm” – wspominał, nawiązując do imperialnych ambicji Władimira Putina.

WSPARCIE Z DALEKA

W czasie, gdy niewolniczą przeszłość wywiezionego z Afryki przodka tak wzruszająco przedstawiał minister David Lammy, Wielka Brytania konsekwentnie redukowała liczebność swojej armii i floty. Zapewnieniom o „pancernych” zobowią-

zaniach wobec Ukrainy towarzyszyła, w roku 2024, decyzja o wysłaniu na złom dwóch okrętów desantowych, fregaty, kilku tankowców i ponad 30 helikopterów bojowych. Uzyskane w ten sposób oszczędności przekroczyły, zdaniem BBC, pół miliarda funtów. Czyżby znakomitą stał ze złomowanych okrętów przeznaczyć zamierzano na obłożenie nią brytyjskich gwarancji politycznych składanych na wschodzie Europy? Można było tak sądzić, bo gdy liczba okrętów spadała, liczba zobowiązań militarnych gwałtownie rosła. W październiku roku 2024 minister obrony, John Healey, podpisał nawet deklarację o współpracy wojskowej z Estonią, deklarując wysłanie do tego kraju całej brygady piechoty wraz z najnowszymi czołgami Challenger 3, śmigłowcami, systemami obrony przeciwlotniczej i wyrzutniami rakiet kierowanych ziemia-ziemia. Warto jednak pamiętać, że brytyjska armia lądowa przechodzi aktualnie kolejną reorganizację, związaną z redukcją personelu. W przyszłym roku będzie ona liczyć jedynie 72,5 tys. żołnierzy. Już w czerwcu roku 2024 prasa z dumą informowała, że linie produkcyjne opuściło już osiem prototypowych czołgów modelu Challenger 3. Zostały one następnie poddane długotrwałym testom. Przybycie do Estonii obiecanej brygady piechoty nastąpić ma jedynie „w razie potrzeby”, a już w lipcu 2025 r. jednostka zdolna będzie do odbycia tak wyczerpującej podróży.

Podczas niedawnego spotkania polityków grupy G7 we Włoszech minister David Lammy postanowił właśnie swoje stanowisko w sprawie „zobowiązań” uściślić. Jak oświadczył na konferencji



prasowej, Wielka Brytania zdecydowana jest dotrzymać swojego „długotrwałego zobowiązania” do... „trzymania swoich wojsk z dala od teatru działań wojennych”. O tego rodzaju zobowiązaniu Zjednoczonego Królestwa obywatele państw Europy Wschodniej nie mieli dotychczas okazji usłyszeć.

„Chcemy jasno podkreślić, że pozostajemy w gotowości do wspierania Ukraińców, zwłaszcza szkoleniami. Stoimy jednak od dawna na stanowisku, że nie wysyłamy naszych żołnierzy w obszar działań bojowych. Takie było dawniej stanowisko Wielkiej Brytanii i takie jest stanowisko Wielkiej Brytanii dzisiaj”.

PRZEMIANA

Jest to postawa rozsądna, choć stawia ona kwestię „brytyjskich zobowiązań” w zupełnie nowym świetle. Wątpić można, czy w taki właśnie sposób rozumieli „ironclad commitments” ukraińscy rozmówcy ministra Lammy’ego. Nieporozumienie to nie dotyczy wyłącznie Ukrainy. Jaki będą mieli Estończycy pożytek z posłanej im „w razie potrzeby” (i w dość odległej przyszłości) brygady, jeśli Brytania zamierza „dotrzymać swojego zobowiązania” do trzymania jej z daleka od pola walki? Obietnice podobnej mocy nie wydają się obłożone płytami pancernymi, a co najwyżej utyłane w hipokryzji. Pierwsze tego sygnały pojawiają się w anglojęzycznej prasie już teraz.

Jak napisała niedawno amerykańska agencja prasowa Associated Press, ukraińscy żołnierze masowo dezertują ze swojej armii, obnażając tym samym „głęboko zakorzenione problemy nękające ich wojsko, a także sposób, w jaki Kijów radzi sobie z wojną, od wadliwej mobilizacji do nadmiernego rozciągania i wyniszczania jednostek na linii frontu”. Zdumieni czytelnicy, nieprzywykli do takich treści w gazetach głównego nurtu, dowiedzieć się mogą, że od lutego 2022 r. o dezercję zostało oskarżonych ponad 100 tys. ukraińskich żołnierzy. „To oszałamiająco wysoka liczba, biorąc pod uwagę szacunki, że przed rozpoczęciem kampanii mobilizacyjnej w walkach brało udział 300 tysięcy ukraińskich żołnierzy. Rzeczywista liczba dezertów może być znacznie wyższa. Jeden z urzędników znających się na sprawach wojskowych

oszacował, że może ich być nawet 200 tys.” – donosi Associated Press.

Na bliźniaczą nutę ćwierkać zaczęły szybko inne zachodnie media. Brytyjski dziennik „The Financial Times” odkrył kilka dni temu, że na Ukrainie dezertują już nie tylko pojedynczy żołnierze, lecz także całe jednostki. W październiku uciec z frontu miały, w okolicach Wuhledaru, „setki żołnierzy 123. brygady”. Podobnie czynią uczestnicy zagranicznych szkoleń – także w Polsce. Jak twierdzi cytowany w prasie anonimowy ukraiński oficer, żołnierzy wysyła się na front bez przygotowania, odpowiedniej broni i uzasadnionej potrzeby. „Tylko ich zabijają, zamiast pozwolić im na rehabilitację i odpoczynek”. Opinię taką podzielać mają dziesiątki spotkanych przez dziennikarzy żołnierzy opowiadających o swoim zmęczeniu, frustracji i problemach ze zdrowiem psychicznym. Także ukraińscy cywile nie wykazywać mają ochoty do dalszych wojennych poświęceń.

Jeśli nasza własna historia nie jest dla Polaków nauką – to niech będzie nią przynajmniej rozgrywający się za granicą dramat sąsiada

Podobne relacje jeszcze kilka tygodni wcześniej były w mediach Zachodu trudne do wyobrażenia. Bąkano coś z rzadka półgębkiem o rozpowszechnionej nad Dnieprem korupcji, jednak o szerzących się w armii dezercjach i masowej demoralizacji żołnierzy raczej nie wspominano. Po pogorszeniu się sytuacji na froncie i wyborze Donalda Trumpa na prezydenta USA sytuacja uległa zaskakującej zmianie. Ukraiński „blitz spirit”, tak podziwiany przez ministrów we wrześniu, zaraz potem gdzieś się ulotnił. Taki obrót fortuny znany już jest w XX-wiecznej historii.

Jeszcze w roku 1940 polscy żołnierze byli w Wielkiej Brytanii traktowani jako wzór bohaterstwa. Pod niebiosą wynoszono czyny polskich lotników i marynarzy, z zachwytem pisała o nich prasa, miłymi sercu laurami wieńczyły młodych wojaków brytyjskie dziewczęta. Gdy interesy

USA i Zjednoczonego Królestwa się zmieniły, po zawarciu sojuszu ze Związkiem Sowieckim, błyskawicznej przemianie uległy też nastroje anglosaskiej prasy. Polacy zaczęli być podejrzewani o bierność, pozorowanie walki, a nawet – co za skandal! – wrogość wobec Sowietów. Z największych bohaterów staliśmy się narodem zawalidrogą, w najlepszym razie nieudacznymi narwańcami, w najgorszym – podżegaczami wojennymi i cichymi sojusznikami faszystów. W roku 1946 polskich weteranów wojennych nie zaproszono już do Londynu na defiladę zwycięstwa.

Nie będę wcale zdziwiony, jeśli analogicznej przemiany doświadczą na własnej skórze Ukraińcy. Już teraz przypisuje się im powszechną skłonność do korupcji i lekceważenia prawa – o czym, jakimś cudem, nie wiedzieli rozentuzjazzowani „eksperci” ledwie kilka miesięcy wcześniej. Oczy brytyjskich dziennikarzy otwierają się właśnie na setki tysięcy dezertów i masowe ucieczki z frontu. Czy długo przyjdzie nam czekać, aż kolejne artykuły, pisane na to samo kopyto, przypinać zaczną Ukraińcom łatki aferzystów, nieudaczników, a może nawet antysemitów? Jeśli będzie to w interesie zachodnich potęg, to taka wolta nastrojów nastąpić może błyskawicznie – i przynajmniej dla Brytyjczyków nie będzie żadną nowością.

WNIOSKI Z HISTORII

Wiara, że zamorskie „zobowiązania” stanowić mogą podstawę naszej polityki zagranicznej, już raz doprowadziła polskie społeczeństwo nad skraj przepaści. Wspierana takimi właśnie mirażami „obłożonych żelazem” gwarancji wykrwawia się oszukana Ukraina. Międzynarodowe media, które dotychczas pracowicie budowały prestiż rządu Wołodymyra Zełenskiego w oczach Ukraińców i świata, bez skrupułów gotowe będą obrzucać go błotem. Jeśli nasza własna historia nie jest dla Polaków nauką – to niech będzie nią przynajmniej rozgrywający się za granicą dramat sąsiada. Czy chcemy przejść się raz jeszcze, niczym goszczony w roku 1939 na Wyspach Brytyjskich minister Józef Beck, po rozłożonym przez zamorskie imperium, a prowadzącym prosto w pożogę czerwonym dywanie?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



WOJCIECH GOLONKA: Czy zgodzi się pan z Elonem Muskem, że stawką w ostatnich wyborach prezydenckich w USA była zachodnia cywilizacja? Teza ta wybrzmiewała u niego jak mantra w trakcie kampanii.

PROF. ADAM WIELOMSKI: Myślę, że to była teza stawiana przez wielu trumpistów amerykańskich i zachodnich konserwatystów. Ale wcale nie dlatego, że Donald Trump jest naznaczoną przez opatrność osobą, która ma naszą cywilizację uratować. Przecież to nie jest polityk nazbyt religijny czy przywiązany do prawa naturalnego. Jest on postrzegany jako obrońca cywilizacji ze względu na obóz liberalno-lewicowy, z którym wygrał walkę o prezydenturę, który charakteryzuje się radykalnym poparciem dla agendy LGBT, postmodernistycznej zmienności płciowości, aborcji, eutanazji, BLM etc., a przy tym wprowadza na siłę ideologię globalizmu, czyli stworzenia światowego zarządu, propagowania kosmopolityzmu, likwidacji religii, świadomości narodowej, czemu miałyby towarzyszyć pauperyzacja klasy średniej na rzecz wielkich korporacji. W tej perspektywie Trump reprezentuje ludzi w miarę normalnych, którzy widzą, że z Zachodem jest „coś nie tak”, nawet jeśli nie bardzo potrafią wyrazić, o co chodzi, gdzie leży istota cywilizacyjnej katastrofy.

Wspomniałem o Musku właśnie dlatego, że nie będąc konserwatystą, dostrzegł, jak wielu innych w tych wyborach, że alternatywą wobec wyboru Trumpa była de facto likwidacja naszej zachodniej cywilizacji, nawet jeśli jest to pewne uogólnienie. A zatem proces śmierci Zachodu nie jest żadną niszową teorią spiskową, a powszechnie dostrzegalnym faktem. Jak jednak zdefiniować tę śmierć cywilizacji, a przynajmniej opisać jej istotę?

Każda próba opisanego, czym jest nasza cywilizacja, z natury rzeczy musi być arbitralnie skrócona, ponieważ trudno opisać całokształt świata powstałego w Europie w kilku zdaniach. Dla mnie istotą naszej cywilizacji jest konstytuujące ją przekonanie, że istnieje prawda obiektywna o świecie, o sensie ludzkiej egzystencji, któremu towarzyszy drugie przekonanie, iż prawdę tę można wykryć na dwa sposoby. Dzięki religii (droga dla wierzących) lub dzięki poprawnemu rozumowaniu (zarówno dla wierzących, jak i niewierzących), przy czym do sprawiedliwego porządku i szczęśliwego



Z prof. Adamem Wielomskim, politologiem, publicystą i historykiem idei rozmawia Wojciech Golonka

Świadome uśmiercanie Zachodu

FOT. ADAM WIELOMSKI/FACEBOOK

życia doczesnego rozum i poprawne rozumowanie całkowicie wystarczają. Oparty na doświadczeniu (także historii) rozum ludzki jest bowiem zdolny zrozumieć porządek naturalny. Tak pojmowali istotę kultury zachodniej wszyscy nasi wielcy myśliciele, szczególnie scholastyki i zwolennicy filozofii realistycznej, odwołujący się do wielkich Greków, czyli Platona i Arystotelesa. To dzięki temu założeniu możliwe było, że to ludzie Zachodu stworzyli niedespotyczne formy rządów, odkryli druk i jako pierwsi polecili na Księżyc – budując pierwszą

rakietę, poprawnie użyli rozumu, który najpierw, za pomocą zmysłów, sprawnie zgromadził i zmierzył dane świata empirycznego.

Konsekwentnie kryzys – jak to nazwał ten proces 100 lat temu Oswald Spengler, „zmierzch Zachodu” – jest przede wszystkim kryzysem poprawnego myślenia i zdolności odkrywania prawdy za pomocą rozumu, na podstawie doświadczenia. Gdy nie wiesz, czy prawda istnieje i co jest prawdą, to na takim relatywnie możesz zbudować chatę z trzciny, lecz nie cywilizację. W Polsce dość często



utożsamia się kryzys cywilizacji zachodniej z jej laicyzacją i masową utratą wiary religijnej. Jest to masowy objaw kryzysu pojęcia prawdy i wszechobecnego relatywizmu, który najpierw pojawił się w filozofii, a później infekując religię wyznawaną przez setki milionów ludzi. Religia wprawdzie jest nam konieczna do uzyskania zbawienia, lecz sama w sobie nie jest konieczna do zbudowania sprawiedliwego porządku opartego na rozumie. W naszej cywilizacji była ona (i nadal bywa) raczej nośnikiem prawd odkrytych przez prawy rozum dla szerszych kręgów społecznych, które ani nie miały czasu, ani zdolności, aby głowkować nad kwestią prawdy. Popularne dziś pojęcie, że istnieje sytuacja albo-albo między religią a rozumem, świadczy o kryzysie samych podstaw samoświadomości człowieka Zachodu.

Czy to odrzucenie obiektywnej prawdy, w takim razie, praw natury, podstawowych, odwiecznych prawd o człowieku, jest zwykłą konsekwencją pospolitego sceptycyzmu, który pojawia się cyklicznie w historii myśli ludzkiej, czy też może wynikiem zamierzonym, celowym zatruciem zdrowego rozsądku? Innymi słowy, czy Zachód umiera śmiercią naturalną, właściwą różnym zużytych cywilizacjom, czy też ma miejsce mord dokonany na cywilizacji, jak zdaje się sugerować tytuł pańskiej książki „Zabójcy Zachodu”?

Prawdą jest, że spoglądając na losy poprzedzających naszą cywilizację – greckiej i rzymskiej – dostrzegamy, że przechodziły one cykle: narodziny, rozwój, okres świetności, zmierzch i upadek. Dlatego też Spengler sformułował tezę o prawie kolistego i cyklicznego rozwoju, zapożyczając ją od Heraklita, zapewne za pośrednictwem Fryderyka Nietzschego, który odkrył tę zasadę jako centralną w greckiej filozofii dziejów. Gdyby rzeczywiście to było „żelazne prawo” historii, to nasza własna cywilizacja skazana byłaby na zagładę. Można byłoby tylko usiąść i się rozpłakać. Jednak jest to tylko hipoteza, mająca za swoją podstawę jedynie dwa przypadki, czyli grecki i rzymski. Tymczasem w Chinach i w Indiach także mamy cywilizacje, które wielokrotnie już zmierzchały, przechodziły okres kryzysu, a po stuleciach „odbijały się” i rozpoczynały od nowa swój wzrost. Mamy więc dwa przypadki potwierdzające cykliczność dziejów i dwa negujące ją.

Zapewne nie jest to więc żadne „żelazne prawo dziejów”. Jednak przypadki grecki i rzymski silniej na nas wpływają, gdyż są nam kulturowo i geograficznie bliższe, co powoduje, że zdajemy się uważać, że tak być musi. Poza tym, gdy poznaliśmy Chiny i Indie, to akurat znajdowały się w kryzysie i padły łupem zachodnich wojsk, kolonizatorów, kupców, sprzedawców opium etc. Dopiero teraz rosną jak na drożdżach, pokazując, że choroba cywilizacji wcale nie musi się skończyć zgonem. Nie ma determinizmu. Wszystko zależy od samego człowieka!

Teza o cykliczności i śmierci cywilizacji zapisanej w genach już w chwili narodzin jest charakterystyczna dla filozofii niemieckiej i stąd upowszechniła się w naszej kulturze. Zarodki tego poglądu odnajduję już w pewnych myślach Marcina Lutra, Immanuela Kanta, upowszechnionych potem przez ideę postępu Hegla, który miałby się rozwijać poprzez cywilizacyjne katastrofy. Na ten element katastroficzny zwrócił uwagę Nietzsche. Ten ostatni wraz z Martinem Heideggerem są głównymi bohaterami mojej książki „Zabójcy Zachodu”. Obydwaj stworzyli i upowszechnili kołową wizję dziejów, głosząc, że prawda zmienia się całkowicie wraz z epokami, nic nie jest prawdziwe, nic nie jest oczywiste, a wszystko jest relatywne, jest zbiorowym wyobrażeniem, co Niemcy określają jako mit. Obydwaj uznali, że cała konstytuująca cywilizację Zachodu pojęciowość, filozofia i religia (chrześcijaństwo) są fałszywe, więc trzeba ten fałsz wydobyć, pokazać, obrócić cały nasz świat pojęć i wartości do góry nogami, rzucić nim o ścianę, aby na końcu... zacząć wszystko budować od nowa, tak jak gdyby nigdy nie było cywilizacji w Europie przez ostatnie 2,5 tys. lat. Ich koncepcje charakteryzuje celowa działalność niszczenia całego naszego dziedzictwa. Mowa tutaj o świadomym niszczeniu, uśmiercaniu Zachodu. Stąd tytuł „Zabójcy Zachodu”.

Z pańskiego opisu wygląda, jakby Nietzsche i Heidegger byli wypisz wymaluj postmodernistami, a tych rzeczywiście bez wątpienia można by nazwać „zabójcami” zachodniej spuścizny umysłowej, z czym w zasadzie się nie kryli. Czy ta filiacja ideowa jest aż tak wyraźna?

Tak, to właśnie chcę powiedzieć. Postmodernizm czy też popularyzo-

wane po olimpiadzie w Paryżu pojęcie „wokeizm” mają swoje źródła w ich koncepcjach. Jest to nurt łączący w sobie wiele różnych koncepcji i filozofii dokonujących „dekonstrukcji” (czytaj: dezintegracji) naszej tradycyjnej kultury. Na polskiej prawicy całkowicie bezpodstawnie uważa się go za jakieś odgałęzienie marksizmu, jakiegoś „marksizmu kulturowego” etc. Jeśli jednak sięgniemy do francuskich autorów, którzy stworzyli postmodernizm, to wszyscy oni wykazują wielkie zainteresowanie nietzscheanizmem i heideggeryzmem. Tamże dostrzegają potencjał kontestacji kultury zachodniej znacznie większy niż u Marksa i w marksizmie. Już tłumaczę: Marks dążył do zniszczenia całego tradycyjnego świata, jednak – zdaniem postmodernistów – sam obracał się w jego kategoriach, ponieważ wierzył w istnienie prawdy. Uznawał obiektywne istnienie i znaczenie takich pojęć jak klasa społeczna, wyzysk, ideologia, materializm, rewolucja etc. W imię tych pojęć i za ich pomocą kontestował porządek tradycyjny, kontestował – wydawałoby się w sposób skrajny – cały świat zastany. Jednak postmoderniści dostrzegli w nim element „reakcyjny”: skoro słowa mają stałe znaczenia, to istnieje prawda, w imię której chciał świat wyzwolić. Tymczasem Michel Foucault naucza, że jakakolwiek „prawda nas zniewala”. Jego zdaniem rewolucja komunistyczna musiała przekształcić się w system totalitarny, ponieważ chciała wyzwolić człowieka ze starych pojęć i idei, aby zakuć go w nowe. Zbudowała państwa totalitarne, ponieważ przeprowadzono ją w imię prawdy tak samo bezwzględnej jak chrześcijaństwo, które tępiło pogan i wzywało rycerstwo na krucjaty.

Zdaniem postmodernistów Marks był tak „reakcyjny”, że wierzył, iż istnieje tylko dwie płcie, a ludzie panują nad zwierzętami. Heidegger uważał takie myślenie za pozostałość wiary w Objawienie: Boga co prawda usunięto, lecz zostały wszystkie społeczne i filozoficzne konsekwencje Objawienia: Ewa powstała z żebra Adama, więc istnieją dwie płcie; Bóg dał Adamowi panowanie nad zwierzętami, więc ludzie nadal je zjadają; Bóg dał Adamowi ziemię, więc panujemy nad nią, zamiast podporządkować się wymaganiom ekologii etc. W swojej

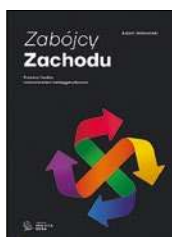


filozofii Nietzsche i Heidegger negują każdą prawdę, każdą religię, każdą filozofię, każde stałe pojęcie. Wszystko jest płynne. Postmoderniści wyprowadzają z tego wnioski, że płęć jest płynna i może ich być niezliczona ilość, a także można je ciągle zmieniać; zwierzęta i ludzie to podobne istoty, które można uczłowieczyć („psiecko”) lub człowieka można zezwierzęcić, odczuając go kierowania się rozumem. Gdy nie masz żadnej prawdy, a każde pojęcie jest płynne i uznaniowe, to dochodzimy do wniosku, że stwierdzenie, iż długopis jest czarny, nie jest adekwatnym opisem rzeczy: rzecz nazywaną długopisem można nazwać młotkiem, a kolor czarny zielonym. W efekcie patrząc na (aż dotąd) czarny długopis, możemy zakrzyknąć: Oto zielony młotek! W ten sposób ma zostać ukończona rewolucja emancypacyjna: poprzez emancypację od ograniczeń biologii i prawa natury. Wypełni się, gdy każdy będzie tym, czym chce być i jak sam siebie określi. Kto tego nie uznaje, ten popełnia czyn karalny, zwany coraz częściej mianem „mowy nienawiści”. Penalizacji wymagają poglądy podtrzymujące liczące tysiące lat prawdy i twierdzenia, ponieważ rzekomo więżą nas w świecie natury i tradycji.

Dostrzega pan również pewną afiliację ideową między postmodernistami i ich dzisiejszą, zabójczą spuścizną – tymi wszystkimi izmami – a ideologią nazistowską, co bez wątpienia dla wielu może być szokujące.

Prawdę mówiąc, to do napisania „Zabójców Zachodu” skłoniło mnie właśnie to, że na Nietzschego i Heideggera powoływali się naziści i postmoderniści. Nietzsche umarł w 1900 r., więc nazista nie był. Jego filozofię w szeregach NSDAP specyficznie interpretowano, podkreślając znaczenie fragmentów na temat darwinizmu społecznego i rasistowskich, podczas gdy był to wróg wszelkich kolektywistycznych ideologii i do NSDAP sam by nie wstąpił. Narodowi socjaliści posługiwali się pewną uproszczoną interpretacją jego spuścizny, zwaną mianem „nietzscheizmu”. Co innego Heidegger, który był członkiem NSDAP w latach

1933–1945; partia zrobiła go rektorem uniwersytetu i gloryfikacji hitleryzmu poświęcił swoją słynną mowę rektorską z 1933 r. Ostatecznie ustąpił z tej funkcji i zaczął się odżegnywać od nazizmu, ale tylko dlatego, że ten okazał się... zbyt umiarkowany. Był związany z SA i został odsunięty przez SS po nocy długich noży za ekstremizm. Postmoderniści napisali liczne teksty w obronie Nietzschego i Heideggera, aby wybielić swoich mistrzów. O ile przypadek tego pierwszego jest mocno dyskusyjny i sam nie uważam go za prenazistę, o tyle sprawa Heideggera jest jednoznaczna. Był nazistowskim radykałem.



ADAM WIELOMSKI
„ZABÓJCY
ZACHODU”
PRO VITA BONA
2022

Podobnie jak postmoderniści, tak naziści czerpią od Nietzschego i Heideggera i zgodnie twierdzą, że prawda obiektywna nie istnieje. Obydwa nurty odrzucają filozofię klasyczną i chrześcijaństwo na rzecz przekonania, że człowiek jest tym, kim chce być. Różnica jest taka, że postmoderniści są skrajnymi indywidualistami. Płęć i tożsamość dowolnie zmienia jednostka. Naziści są kolektywistami i tę samą zmienność przypisują rasie czy narodowi (Volk). Niemcy w I połowie XX w. poculi się Aryjczykami, Nordykami, nadludźmi. Była

to prawda niemiecka lat 30., adekwatna tylko dla Niemców, gdyż nie akceptowano jej ani we Francji, ani w Polsce. Gdy więc postmoderniści, będący skrajnymi liberałami, emancypują jednostki i obiecują im, że mogą być, kim tylko chcą, to nazizm emancypował naród niemiecki, tworząc mit narodowy, w którym Niemcy byli, kim tylko chcieli być. Obydwie formuły są możliwe po eliminacji greckiej kategorii prawdy („zgodność twierdzenia z rzeczą”) i chrześcijaństwa, które uczy, że Bóg stworzył nas kimś konkretnym i mamy obowiązki moralne wobec innych ludzi.

Jednakże, mimo wskazanych przez pana powiązań ideowych, nie ma chyba wątpliwości, że zabójstwo Zachodu postępuje etapami, na zasadzie stopniowego rozwoju konsekwencji negacji współgrających ze sobą harmonijnie porządków prawdy i natury. Ten rozwój konsekwencji, który Nietzsche czy Heidegger niekoniecznie przewidzie-

li, wydaje się czasem nie mieć końca. Stąd pytanie: Czy tak umiłowany przez globalistów czy Hararięgo transhumanizm, a także, jak się zdaje, częściowo i przez wspomnianego na początku przez mnie Elona Muska, to jeszcze postmodernizm czy może kolejny etap tego postępującego mordu?

Transhumanizm nie został przeze mnie opisany w „Zabójcach Zachodu”, lecz w książce poświęconej Harariemu („Yuval Noah Harari. Grabarz człowieczeństwa”, Pro Vita Bona 2022). Z punktu widzenia teorii poznania jest mocno odmienny od postmodernizmu, ponieważ transhumaniści wierzą w skrajną racjonalność, technikę i naukę, gdy postmoderniści negują rozumność jako jedno z „więzień”, w których umieściła nas tradycyjna kultura. Jednakże co do swojego celu to jest on całkowicie postmodernistyczny, reprezentując jego praktyczną formę. Gdy taki francuski postmodernista ze szkoły Foucaulta chce tylko czuć się i uważać, kim lub czym chce, transhumanizm obiecuje mu taką możliwość poprzez inżynierię genetyczną i modyfikację naszego genomu, przeszczepy różnych narządów (ludzkich i zwierzęcych), doczepianie narządów, których nie posiadamy i które możemy sobie tylko (na razie) wyobrazić, a które będą pełne elektroniki (tzw. cyborgizacja). Aby to czytelnikom uzmysłowić: gdy postmodernista głosi, że mogą przestać czuć się mężczyzną, lecz uznać się za odrębną płęć Alfa78 i wymagać, aby mnie za takie „aktywizacje” postrzegano, pod groźbą kary więzienia za „mowę nienawiści”, to transhumanizm mi obiecuje, że mogą sobie uciąć i doczepić takie organy płciowe, jakie tylko chcą, i w liczbie, jakiej chcą, aż uznam, że będę fizycznie posiadał płęć Alfa78, o której sobie dotąd tylko marzyłem.

Niestety, w tym sensie Elon Musk jest postmodernistą, ponieważ współuczestniczy w tym niebezpiecznym projekcie. To nie przypadek, ponieważ ten biznesmen wizjoner wydaje się bliski libertarianizmowi, a to z tego nurtu wyłonił się transhumanizm. Idea absolutnej wolności, włącznie z przekraczaniem natury, łączy libertarian i postmodernistów. Osobiście nie rozumiem, jak można, tak jak czyni Musk, krytykować postmodernistyczną „zmiennopłciowość” i rozwijać transhumanizm równocześnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Siła
propagandy

Na ogół wiemy, co wyrażali Niemcy podczas okupacji. Pomocne są w tym liczne publikacje (wspomnienia, relacje, protokoły sądowe z ekshumacji itp.), ale przede wszystkim dostępne powszechnie filmy dokumentalne i zdjęcia z tamtego okresu. Masowe egzekucje, łapanki, obozy koncentracyjne – to obrazy, które zapadają w pamięć. Ale jest też inna płaszczyzna okupacji niemieckiej, czyli olbrzymia, dziś już mocno zapomniana propaganda codzienna. Służyły temu filmy i kroniki, książki, broszury, plakaty i odezwy. Pod koniec okupacji, gdy klęska III Rzeszy pospieszy się zbliżała, ton propagandy zaczął się zmieniać, przechodząc do fazy wprost przymilnej.

Chodziło o złagodzenie wrażenia, że Niemcy to ludobójstwo i liczne zbrodnie, a także o pozyskanie Polaków do współpracy we wspólnym froncie przeciwko zbliżającym się Sowietom. Stąd przypomnianie Katynia i zbrodni sowieckich, a na ich tle odwoływali się do własnej szlachetności! Tak oceniali stosunek do AK i ludności cywilnej po powstaniu: „Niemcy przyznali powstańcom warszawskim prawa strony walczącej, a ludność cywilną otoczyli najbardziej humanitarną opieką, na jaką pozwalały miejscowe warunki”. Najbardziej humanitarna opieka to były gwałty kobiet i dzieci, masowy rabunek, rozstrzeliwanie powstańców

i innych osób. Dziś to idzie w zapomnienie, ale widać, jaki już wtedy mieli tupet!

Przerzucanie odpowiedzialności za hekatombę powstania na Polaków nie jest domeną tylko współczesnych publicystów i propagandystów. Zaczęło się już wtedy. Generał R. Stahel, niemiecki komendant wojskowy Warszawy, w powojennych zeznaniach w 1945 r. mówił: „Odpowiedzialność za cierpienia zadane ludności Warszawy spoczywa nie tylko na nas, Niemcach, lecz także na dowódcach Armii Krajowej, którzy rzucili ludność Warszawy do walki z góry skazanej na klęskę”.

Orientacja niemiecka, która ma obecnie w Polsce silną pozycję, była rozwijana już wówczas. Hitler był jakoby zadowolony, bo liczył na pomoc Polaków „w nieuniknionym starciu z wrogiem całej cywilizacji europejskiej” i spotkał go srogi zawód. Polacy byli bowiem niewdzięczni, choć przecież Polak „jadł nawet lepiej niż w Niemczech. W bród było masła, mięsa, pieczywa, chleba różnego gatunku – ba, nawet można było łatwo dostać produkty zamorskie”. Kto chce, niech wierzy. Jednocześnie ostrzegali, że rządy niemieckie wrócą, ale nie mają już skłonności do niszczenia narodu polskiego (!). Widzieli płaszczyznę trwałego porozumienia, bo... kultura polska też jest kulturą zachodnią. I informowali nas proroczo: „Tylko orientacja europejska może uratować Polskę”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatnia opera
Moniuszki

Stanisław Moniuszko jako dyrygent Teatru Wielkiego nie miał wielu obowiązków. Należało do niego prowadzenie wyłącznie oper polskich, a poza jego utworami właściwie nie było ich w repertuarze Teatru Wielkiego. Rok przed objęciem przez niego stanowiska pojawiły się na krótko: „Król pasterzy” Oskara Kolberga i „Wianki” Aleksandra Martina.

W tej sytuacji kompozytor traktował stanowisko jako

rozbudował utwór, dodając „normalną” uwerturę oraz efektowne chóry i tańce. Wprowadził też do partytury kilka swoich popularnych pieśni, co spotkało się z aprobatą publiczności.

Humor poprawiła mu zgoda przełożonych na urządzenie raz do roku koncertu benefisowego na jego rzecz. Pierwszy taki koncert miał miejsce 16 grudnia 1860 r., a dodatkową atrakcję stanowiły fragmenty oper, nad którymi wówczas pracował („Rokiczanka” i „Paria”). Prasa promowała to wydarzenie, frekwencja była doskonała. Moniuszko był więc zadowolony. Koncert przyniósł mu dochód w wysokości 1350 rubli, czyli 33 750 euro. A to wiele znaczyło dla kompozytora.

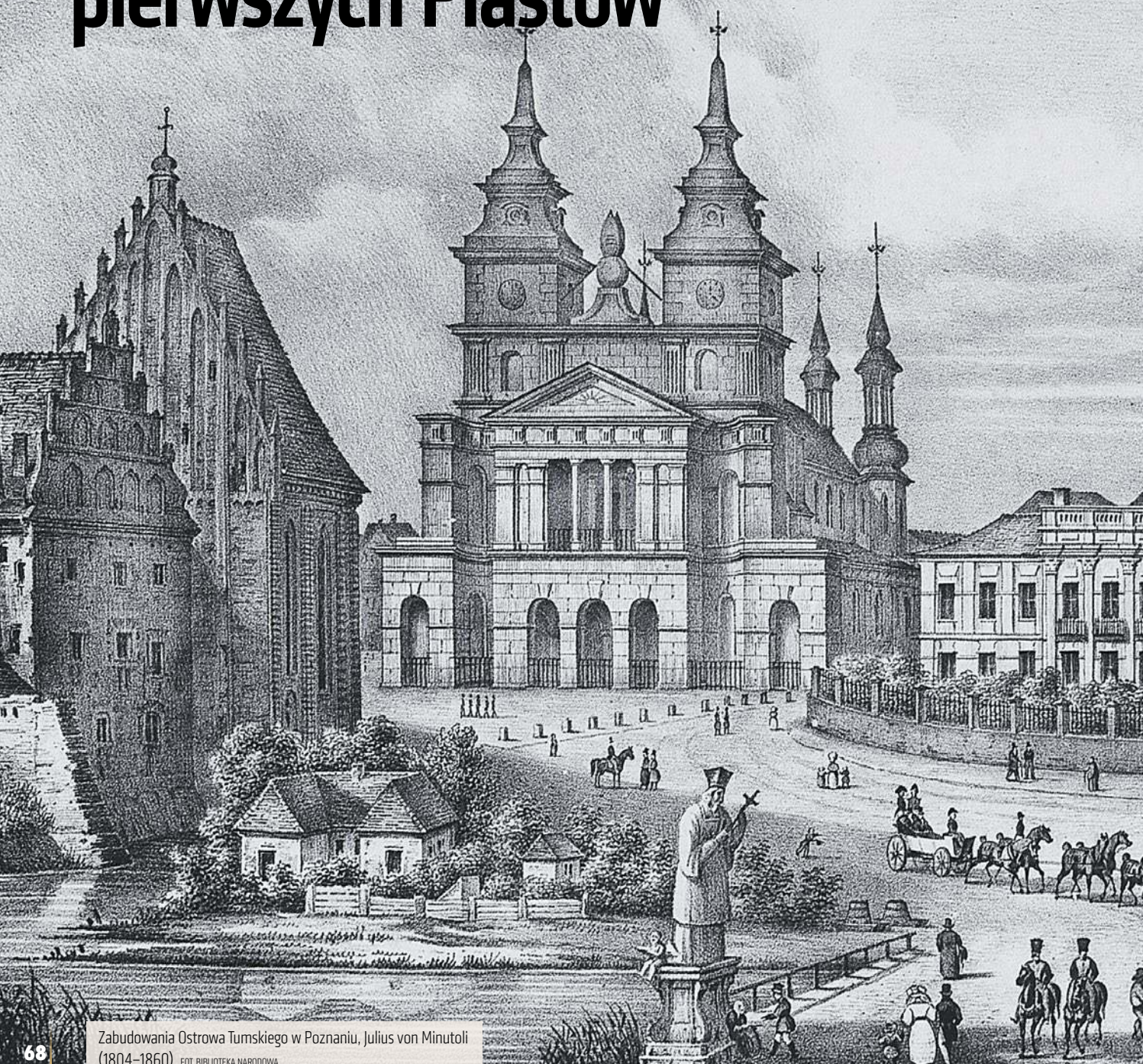
Oczekiwano, że „Rokiczanka” i „Paria” trafią na scenę, los jednak zdecydował inaczej. Drugie z tych dzieł miało premierę dopiero po ponad ośmiu latach, natomiast „Rokiczanka” w ogóle nie została ukończona. Duża w tym rola rosyjskich urzędników – jednym z głównych bohaterów utworu miał być bowiem Kazimierz Wielki, a cenzura całkowicie wykreśliła z libretta jego postać! W tej sytuacji zniechęcony kompozytor przerwał pracę nad operą, do dzisiaj przetrwało tylko kilka jej fragmentów. Najbardziej znana i lubiana jest „Pieśń o Florianie Szarym”, natomiast dwie inne arie („Jak będę królową” i „Już z dała tam widzieć”) Moniuszko wydał drukiem jako samodzielne utwory. ©©

Oczekiwano, że „Rokiczanka” i „Paria” trafią na scenę, los jednak zdecydował inaczej

miejsce promocji własnej twórczości, co było zresztą zgodne z intencjami Dyrekcji Teatrów Rządowych. Jego przełożeni, proponując mu posadę, uważali to za rodzaj synekury, która miała zatrzymać Moniuszkę w Warszawie i zapewnić dopływ jego nowych utworów na scenę. Inna sprawa, że przez 14 lat nie podnieśli mu wynagrodzenia.

Nie promował jednak własnych wczesnych utworów scenicznych, uznając je za niedojrzałe. Wyjątek uczynił tylko dla operetki „Jawnuta (Cyganie)” powstałej kilka lat wcześniej w Wilnie. Przed premierą znacznie jednak

Śladami grobów pierwszych Piastów





Jacek Komuda

Kości pierwszych polskich władców przenoszono, rabowano, gubiono i niszczone, tak że nie zachował się po nich żaden ślad. Jednak podróż do prawdziwych miejsc ich pochówków wciąż jest pasjonująca

Wiemy dobrze, gdzie dziś spoczywają szczątki Władysława Jagiełły czy Stefana Batorego – w królewskiej katedrze na Wawelu, tradycyjnej nekropolii królów polskich. Gdzie jednak pochowani są pierwsi historyczni Piastowie: Mieszko, Bolesław Chrobry i jego syn Mieszko II Lambert? Niestety, najstarsze kroniki, jak Galla Anonima i Wincentego Kadłubka, nie poświęcają ich pogrzebom wiele uwagi. Obaj kronikarze sławią czyny Chrobrego, zwanego również Wielkim, lecz nie podają miejsca spoczynku ani nie opisują pogrzebów. Kronika Anonima jest bardzo lakoniczna: „Z dobą też opuszczania przez Bolesława padołu ziemskiego wiek złoty w ołowiany się zamienił. Polska przedtem królowa, promieniejąca złotem i kamieniami drogimi uwieńczona, zasiadła w kurzu, odziana szatami wdowieństwa; w szlochanie lutnia, oklaski w smutek powszechny, radość w westchnienia ciężkie się obraca [...] Z odejściem Bolesława z pośrodku ludzi, pokój i radość, a dostatek wszelki, z Polski jednocześnie, jakby całkowicie wywędrowały. Na tym więc położmy koniec pochwałom wielkiego Bolesława, a zgon jego pieniem żałobnem nieco opłaczmy” – pisze autor. Jedynie późniejsza „Kronika Wielkopolska” wskazuje jako miejsce pochówku katedrę poznańską: „Bolesław I Wielkim zwany, a w polskim języku Waleczny czyli Chrobry [...], zbudował sześć kościołów, mianowicie poznański (który najpierwej założył i w którym pochowany spoczywa) i gnieźnieński, potem mazowiecki, teraz płockim zwany, krakowski, wrocławski i lubuski. Umarł Bolesław w roku 1025 w zamku poznańskim, pochowany w środku wielkiego kościoła tamecznego”.

Ów zamek poznański to bez wątpienia palatium królewskie wzniesione za czasów Mieszka I i związana z nim zabudowa na Ostrowie Tumskim; na jego fundamentach zbudowano w XV w. kościół pw. Najświętszej Marii Panny. W czasie badań natrafiono tutaj na relikty dworskiej kaplicy – w miejscu oznaczonym, po południowej stronie kościoła, kilka metrów na wschód od drzwi wejściowych. Była to mała, jednonawowa świątynia o rozmiarach ok. 4,5 m, z apsydą. Co więcej, istnieją przesłanki, że pochowano tutaj kogoś bardzo ważnego. Być może Mieszka I.

Co o tym świadczy? Otóż badania przeprowadzone przez prof. Hannę Kóćka-Krenz pokazały, że cała zawartość kaplicy została wybrana, czyli mówiąc dzisiejszym językiem: wyczyszczono ją do fundamentów. Stało się tak dlatego, że miejsce to mogło stać się celem rabunku – wtedy dosłownie przekopano i przetrząśnięto wnętrze kaplicy, szukając kosztowności. Jeśli tak było, to dokonano tego w czasach najazdu Brzetysława w 1039 r. Jest też druga możliwość – szczątki osoby lub osób pochowanych w palatium przeniesiono do innego, godniejszego miejsca.

Czy w jednej z pierwszych kaplic na ziemiach polskich pochowany był Mieszko I? Cóż, są co do tego wątpliwości. Według prof. Hanny Kóćka-Krenz pewniejsze jest, że spoczęła tutaj raczej jego chrześcijańska żona, Dobrawa Czeska. W chwili śmierci w 977 r. poznańskie palatium z kaplicą było zapewne jedynym godnym miejscem w państwie gnieźnieńskim na złożenie jej szczątków. Wprawdzie była już w budowie

Czy w jednej z pierwszych kaplic na ziemiach polskich pochowany był Mieszko I?

przedromańska katedra pw. św. Piotra, ale najprawdopodobniej nie została jeszcze skończona. Natomiast Mieszko, który zmarł znacznie później, bo w 992 r., mógł być już pochowany w znacznie okazalszej katedrze na Ostrowie Tumskim.

I właśnie tutaj, w dzisiejszej bazylice katedralnej, jakieś 100 m na wschód od palatium, znajdują się oficjalne miejsca pochówków jego i Bolesława. „Oficjalne”, gdyż Złota Kaplica, w której znajduje się ich grobowiec, powstała dopiero w XIX w. Wcześniej nagrobki pierwszych Piastów ufundował bp Boguchwał II w XIII w., a kolejny Kazimierz Wielki w 1360 r. My jednak szukamy archeologicznych dowodów: pierwszych grobów i szczątków pokazujących pierwotne miejsca spoczynku naszych władców, a nie wpisów w kronikach czy późniejszych obiektów wznoszonych ku chwale zmarłych.

Trzeba jednak przyznać, że katedra poznańska jest odpowiednim miejscem



Rezerwat Archeologiczny w Kaliszu-Zawodziu

FOT. ADOBE STOCK

■ pochówku dla obu władców. Na pewno jest to ów wspomniany w „Kronice Wielkopolskiej” „wielki kościół” w Poznaniu. Jednak jej historia jest skomplikowana – bazylika dzisiejszy wygląd zawdzięcza wielokrotnym przebudowom gotyckiej świątyni z XIV w. W jej wnętrzu, pod podłogą, zachowały się fundamenty kościołów, wznoszonych jeden na drugim, w kolejnych wiekach. Najstarsze było baptysterium powiązane – jak pisze prof. Zofia Kurnatowska – z działalnością misyjną bp. Jordana. Miało ono formę niedużej świątyni z misą chrzcielną, której pozostałości odnaleziono pod podłogą; aczkolwiek znaleźli się archeologowie niedowiarkowie, którzy widzą w tym obiekcie jedynie kierat i misę do mieszania zaprawy wapiennej; X-wieczny pierwowzór dzisiejszej betoniarki! Po rozpoczęciu budowy pierwszej, przedromańskiej katedry karolińskiej baptysterium znalazło się we wnętrzu świątyni. W XI w. staraniem Kazimierza Odnowiciela kościół został przebudowany w stylu romańskim, a trzy wieki później powstała na jego miejscu kolejna, dużo większa katedra – tym razem gotycka.

W wyniku badań archeologicznych pod podłogą odnaleziono dwa grobowce uważane za miejsca spoczynku historycznych Piastów. Ten Mieszka miał prawdopodobnie kształt sarkofagu wznoszącego się ponad posadzką świątyni, wybudowaną go już po wzniesieniu pierwszej katedry, ponieważ został wkopany w grunt. Drugi – Bolesława Chrobrego – znajduje się nieco bardziej na wschód od pierwszego i zachowały się z niego tylko resztki murów. Każdy otoczony był niewielkim murkiem, we wnętrzu zaś odnaleziono ślady rdzy – zapewne pozostałości

po okutych trumnach. W żadnym nie znaleziono szczątków; te zostały zabrane, zniszczone albo rozproszone, chociaż ani Mieszko, ani Bolesław nie zostali przecież świętymi. Być może ich kości, zwłaszcza Bolesława, zostały w większości zniszczone przez Czechów Brzetysława, który zdobył i zniszczył Poznań w 1039 r. Jeśli nawet szczątki władcy ocalały, to niektóre z nich zostały zabrane przez Tadeusza Czackiego, który w 1801 r. pozyskał za zgodą kapituły część czaszki króla dla siebie, a dla Izabeli Czartoryskiej dwa kręgi szyjne. Znajdują się one obecnie w zbiorach Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie, trafiły także tutaj fragmenty kciuka monarchy, które sprowadził bp Jan Paweł Woronicz. Nikt jednak nigdy nie potwierdził współczesnymi, naukowymi metodami, że są to tak naprawdę kości Bolesława Chrobrego.

W katedrze gnieźnieńskiej złożono szczątki wielu wybitnych Polaków, osób świeckich i duchownych

Istnieje także wiele wątpliwości, czy i grobowce odkryte w trakcie wykopalisk w katedrze poznańskiej należały do pierwszych dwóch władców Polski. Podsumował je Antoni Gąsiorowski w „Gnieźnie w państwie pierwszych Piastów”, argumentując, że podobne typy pochówków – w głównej nawie kościoła, w grobowcach wyniesionych ponad posadzkę – niespotykane w XI-wiecznych świątyniach. Zwykle bowiem chowano

możnowładców w kryptach. Nie wyczerpuje to jednak wszystkich pytań, bo – jak słusznie zauważa prof. Andrzej Buko – kogo w takim razie pochowano w tak eksponowanych tumbach? „Pierwszych władców polskich, a może poznańskich biskupów – Jordana i Ungera? Ale w tym drugim przypadku forma ich grobów i ich oprawa zewnętrzna zdają się przerastać pełnione przez nich funkcje”. Trudno nie zgodzić się z jego opinią.

Jeśli nie w bazylice poznańskiej, to zatem gdzie szukać grobu Chrobrego? Według Gąsiorowskiego jest takie miejsce – katedra w Gnieźnie, na górze Lecha, ufundowana przez Bolesława, choć przeżył temu „Kronika Wielkopolska”.

GROBOWIEC NA POGAŃSKIM SANKTUARIUM

Góra Lecha, na której zbudowano katedrę gnieźnieńską, to dawna świątynia pogańska; odnaleziono tam palenisko, pochodzące sprzed 940 r., kurhan z kamieni polnych, o średnicy 12 m, wszystko to ogrodzone rowem. Podobne kamienne nasypy odnaleziono w Kaliszu i Bonikowie – stolicy konkurencyjnego ośrodka władzy zniszczonego przez Piastów. Po zdobyciu przez nich Góry Lecha Mieszko wznosił na wspomnianym kurhanie pierwszy kościół. Zrujnowany w kolejnych wiekach w trakcie wojen między książętami dzielnicowymi przebudowany został na romańską świątynię św. Jerzego, którą po licznych zmianach podziwiać możemy także dzisiaj. Osobnym, późniejszym obiektem sakralnym jest sama katedra, dzisiejsza Bazylika Prymasowska Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Powstała początkowo jako skromny kościół – rotunda, z dobudowaną od północy apsydą, a od południowo-zachodniej strony – kaplicą, w której złożono w 997 r. szczątki św. Wojciecha. Później, zapewne na początku XI w., na miejscu tej świątyni wybudowano przedromańską bazylikę, ufundowaną przez Bolesława Chrobrego.

Czy jednak tutaj pochowano Bolesława, a może i jego ojca? Gnieźno pozostawało przez wiele lat stolicą państwa piastowskiego. Tutaj znajdował się grób św. Wojciecha, tu odbył pielgrzymkę cesarz Otton III i miał miejsce zjazd gnieźnieński; tutaj wreszcie koronował się na króla Bolesław Chrobry. Biorąc pod



uwagę to, że jednocześnie był fundatorem przedromańskiej katedry, to czy wszystko to nie łączy się w logiczną całość, że mógł zostać tutaj pochowany po śmierci?

Niestety, nie ma bezpośrednich dowodów. W katedrze gnieźnieńskiej złożono szczątki wielu wybitnych Polaków, osób świeckich i duchownych. Tutaj spoczywał Jakub Świnka, arcybiskup gnieźnieński, zwolennik zjednoczenia Królestwa Polskiego, obok niego Jan Łaski czy Wawrzyniec Gembicki, kolejni prymasi i dostojnicy. Jednak nie ma w tradycji świątyni żadnych wzmianek czy wspomnień o istniejącym grobie pierwszego króla Polski. Najstarszą płytą nagrobną z katedry jest pochodząca z początków XI w., być może z ok. 1008 r., płyta z inskrypcją, że znajdują się tutaj kości trzech pochowanych braci, przy czym na pewno chodzi o trzech z pięciu polskich braci męczenników.

KALISKI ŚLAD

Jeśli nie Poznań i Gniezno, to może miejscem spoczynku starszych Piastów jest pierwszy z ich ośrodków władzy – Kalisz? Gród ten w połowie X w. rozkwitał, podczas gdy pozostała część Wielkopolski zostaje najpierw wypalona ogniem, a potem Piastowie wznoszą tam nowe ośrodki władzy i handlu. Prawdopodobnie od tego grodu lub od Giecza zaczęła się ekspansja wspomnianego rodu. Tutaj też, na Kaliszu-Zawodzie – dziś to teren rezerwatu archeologicznego – powstał jeden z najstarszych drewnianych kościołów. W połowie XII w. wzniesiono na jego miejscu kamienną kolegiatę św. Pawła, której fundamenty podziwiać można dzisiaj. Co więcej, w trakcie badań archeologicznych odkryto tutaj dwa tajemnicze groby. W pierwszym znaleziono srebrne denary z połowy XI w., a także inne monety – najmłodsze z początku XIII stulecia. W drugim znaleziono drewniany krzyż obłożony blachą z brązu.

Archeolodzy nie są jednak pewni, kto spoczywa we wspomnianych grobowcach. Powszechnie przyjmuje się, że to Mieszko Stary, zmarły w 1202 r., oraz jego syn Mieszko Mieszkowic. Są to jednak tylko hipotezy. Ciekawe, że oba nagrobki znajdowały się w obrębie pierwszej drewnianej świątyni, na której miejscu zbudowano potem romańską kolegiatę. Czy zatem Kalisz może być miejscem pochówku któregoś

z pierwszych Piastów? Niewykluczone, gdyż to od niego zaczęła się budowa potęgi rodu i państwa. Jednak istnieją także przynajmniej dwa inne miejsca, w których mogłyby spocząć ich szczątki.

OSTRÓW LEDNICKI

To miejsce, z którym związane są liczne zagadki archeologiczne. Znajduje się tutaj rezydencja Piastów z kościołem i palatium, a okolica już w X w. przypominała współczesną – podobnie jak dziś krajobraz urozmaicały liczne osady i pola. Na wyspie wzniesiono kościół jednonawowy i palatium książęce. Klementyna Żurowska, która prowadziła badania naukowe, była zdania, że właśnie na Ostrowie, w rezydencji biskupa misyjnego Jordana, odbył się chrzest księcia Mieszka. Spotkało się to jednak z krytyką innych badaczy. Tak czy owak, drewniany, ale podmurowany kościół i jego okolica stały się miejscem spoczynku elity władzy z okresu wczesnopiastowskiego. Z tym też wiąże się tajemnica. Otóż w świątyni odkryto – jak podaje Andrzej Buko – grób, a w nim szczątki kilkuletniego chłopca mającego na palcu złoty pierścień. Jednocześnie na terenie grodu odnaleziono wiele przedmiotów pochodzenia rusko-bizantyjskiego.

Do dziś nie ustalono, kogo pochowano w kościele na Ostrowie Lednickim. Czy był to nieznan nam z imienia syn albo krewny Bolesława Chrobrego? A może gdzieś w okolicy znajduje się grób jego ojca? Najbliższa prawdy moim zdaniem jest hipoteza Gerarda Labudy. Otóż uważał on, że rezydencja na Ostrowie Lednickim stała się miejscem, w którym Bolesław Chrobry umieścił porwaną z Kijowa i pohańbioną siostrę Jarosława Mądrego Przedstawę, której ręki mu odmówiono. Ponieważ zaś przyszły król miał już wówczas nową legalną żonę Ode, utrzymywanie ruskiej nałożnicy w Poznaniu, przy boku małżonki, rodziłoby – podobnie jak dziś – pewne kłopoty. Przyjął można zatem, że Bolesław umieścił Przedstawę razem ze służbą w letniej rezydencji; pochówek w kościele miały być zatem szczątkami nieślubnego syna króla, którego miał ze wspomnianą księżniczką nałożnicą. Czy jednak sam Bolesław mógłby zostać tutaj pochowany? Na razie brak jakichkolwiek poszlak, choć oczywiście nie można tego wykluczyć.

I wreszcie czy Mieszko albo przynajmniej sam Bolesław mogliby być pochowani w Krakowie? Wszak tutaj właśnie już od IX w. rozwijało się największe budownictwo. Do czasów wzmocnienia dynastii Piastów był to zapewne jeden z największych ośrodków na dzisiejszych ziemiach Polskich, metropolia znana z licznych kamiennych budowli i świątyń. Włączony pod koniec X w. do państwa Piastów i tym samym wywołony spod czeskiej okupacji stał się po 1000 r. siedzibą biskupstwa. Bolesław Chrobry rozpoczął tu budowę pierwszej katedry. Co więcej, z nadania ojca był zarządcą Małopolski. Na progu XI stulecia na wzgórzu wawelskim istniało kilka kamiennych budowli sakralnych, wystarczająco godnych, aby stać się miejscem spoczynku koronowanego króla. Wymienić wśród nich należy Tetrakonchos śś. Feliksa i Adauka, rotundę – baptysterium, kościół św. Michała i katedrę pw. św. Wacława, budowaną od ok. 1000 r., oraz kilka innych, niezidentyfikowanych budowli przedromańskich. Było to także miejsce wielu pochówków. Kłopot w tym, że tak wielu, iż te najwcześniejsze giną w natłoku innych – z późniejszych epok. Problemem jest też to, że samo wzgórze wawelskie podlegało tak częstym przebudowom, że w ich trakcie wyburzano całe połacie murów starszych obiektów, równano z ziemią grobowce i nagrobki.

Dlatego odkrywano dziś pozostałości fundamentów budowli z wieków X i XI są zwykle częściami późniejszych – np. wczesnoromańskie palatium stanowi fragment północnego skrzydła zamku, a romańska bazylika zniknęła w znacznej części w dzisiejszej bazylice archikatedralnej, także wielokrotnie przebudowywanej przez kolejnych władców. Jeśli zatem był tu gdzieś grób Bolesława, ale raczej nie Mieszka, to zniknął on między innymi miejscami pochówku. W świetle dowodów archeologicznych i źródeł historycznych („Kronika Wielkopolska”, Długosz), choć kości ich zostały rozproszone i zniszczone, to katedra poznańska jest historycznym miejscem pochówku obu wielkich Piastów. Mieszka, który powiedział owo sakramentalne „stań się” i założył państwo polskie, oraz Bolesława, który podniósł je do rangi niepodzielnego królestwa.



Na początku będzie truizm: Kościół katolicki to jedyna instytucja na świecie, która trwa nieprzerwanie od 2000 lat. Trwałość zapewnia jej nie tylko – jak wierzą chrześcijanie – boski fundament, lecz także poszanowanie własnej tradycji. Czy może istnieć wspólnota, która gardzi swoją historią i próbuje odciąć się od przeszłości? Odpowiedź jest oczywista: nie, bo szybko popadłaby w sprzeczność i straciła kierunek. Wydaje się jednak, że dziś właśnie to grozi Kościołowi. Rosnąca liczba postępowych katolików uważa, że ma prawo do całkowitej reinterpretacji kościelnych dziejów – w duchu nieprzejednanej krytyki.

„PLAMY I ZMARSZCZKI”

21 listopada 2024 r. papież Franciszek postanowił kolejny raz zaskoczyć świat. Wydał krótki list poświęcony „odnowie badań nad historią Kościoła”. Zachęcił w nim do dbałości o dobrą historyczną edukację księży i podkreślił wagę pamiętania o własnej przeszłości. Gdy z tekstu usunie się jednak wszystkie ogólniki i stwierdzenia tak oczywiste, że w sumie nie sposób się z nimi nie zgodzić, zostaje tak naprawdę tylko jedno: wezwanie do badania ciemnych kart historii kościelnej.

Papież wyraził mianowicie opinię, że trzeba przyjrzeć się „plamom i zmarszczkom” Kościoła, tak aby katolicy mogli „uczyć się na swoich błędach”. Według Franciszka konieczne jest rozpoznanie własnego oblicza „w mrocznych momentach” historii Kościoła. Dzięki temu ma stać się możliwe „skorygowanie przerażającego podejścia, które sprawia, że rozumiemy rzeczywistość jedynie z perspektywy triumfalistycznej obrony własnej funkcji”. Te zalecenia papież zamieścił już w pierwszych kilku akapitach listu, tak żeby nikt nie miał wątpliwości, jaki jest cel wydania tekstu.

Wydawałoby się, że historia Kościoła była w ostatnich latach aż nazbyt często opowiadana od strony „mrocznych momentów”. Polacy doświadczyli tego szczególnie silnie: wszyscy czytelnicy, zarówno ci pamiętający PRL, jak i ci, którzy dorastali już po „przełomie” 1989 r., mogliby zapewne wymienić całą masę książek, filmów czy sztuk teatralnych opartych na narracji zasadzającej się na

Czas zatrzymać oczernianie historii Kościoła



Paweł Chmielewski

Papież Franciszek wezwał do studiowania historii Kościoła – z uwzględnieniem jej „mrocznych momentów”. Może liczyć na wiele piór, także polskich autorów. Zamiast samobiczowania Kościół potrzebuje dziś jednak zdecydowanej obrony wiary



Historia Kościoła była w ostatnich latach aż nazbyt często opowiadana od strony „mrocznych momentów”. Polacy doświadczyli tego szczególnie silnie

wulgarnej antykościelnej propagandzie. Przeżarcie naszej współczesnej kultury taką propagandą jest na tyle silne, że wrogie Kościołowi mity pokutują nawet w popularnych podręcznikach do historii. Przeglądałem kilka miesięcy temu publikację jednego z największych wydawnictw szkolnych, historię dla klas szkoły podstawowej. Zgroza, wstrząsający poziom nieprawd. Nic dziwnego, że wielu absolwentów polskiego systemu edukacji jest głęboko przekonanych, że rewolucja francuska stanowiła wielkie osiągnięcie humanizmu, inkwizycja była kościelnym narzędziem tortur na niewinnych, a Marcin Luter to światły mąż, który zbuntował się przeciwko papieżowi w reakcji na patologie ówczesnego kleru. Tak zakłamane i jednostronne opowieści prezentują nawet podręczniki szkolne... Polska nie jest oczywiście żadnym wyjątkiem; podobne bzdury są szeroko rozpowszechniane również w innych krajach.

NAGONKA NA KATOLICYZM

Wydawałoby się, że w tej sytuacji Kościołowi potrzeba przede wszystkim apologii piękna, świętości i wielkich dokonań cywilizacji katolickiej. Cóż, papież uważa inaczej i wzywa do studiowania „mrocznych momentów”... Takiej postawie daje zresztą wyraz nie po raz pierwszy. Franciszek wiele razy krytykował przeszłość Kościoła, zwłaszcza w aspekcie kolonializmu. Kiedy latem 2022 r. odwiedził Kanadę, trafił na czołówki mediów na całym świecie, przepraszając rdzenną ludność za „zło popełnione przez wielu chrześcijan”, a w szczególności przez „projekty zniszczenia kultury i przymusowej asymilacji” w tzw. szkołach rezydencjalnych. Przypomnę: przez wiele tygodni poprzedzających wizytę Franciszka w Kanadzie

FOT. MONDADORI PORTRAIT/GETTY IMAGES



■ w anglojęzycznych mediach propagowano wizerunek krwiożerczych katolickich szkół dla Indian, w których miano używać tak niehumanitarnych i brutalnych metod, że prowadziło to do śmierci wielu uczniów.

W atmosferze nagonki na katolicyzm podpalono nawet wiele kościołów. Problem w tym, że – jak wykazały skrupulatne analizy trzeźwych badaczy – rzecz była niemal całkowicie dętą, a wysoka śmiertelność dzieci nie miała nic wspólnego z rzekomą brutalnością katolickich wychowawców. Papież uderzył się więc nie tylko w cudze piersi, ale kajał się też za grzechy, których nie było. Wcześniej podobną postawę prezentował w okolicach Synodu Amazońskiego jesienią 2019 r.: sugerowano wówczas nieledwie konieczność „dewesternizacji” Ameryki Łacińskiej, tzn. usunięcia z jej kultury tego, co zostało tam przyniesione przez Zachód. Jak widać po najnowszym liście o badaniu historii, ten kierunek krytyki

Przez wiele tygodni poprzedzających wizytę Franciszka w Kanadzie w mediach propagowano wizerunek krwiożerczych katolickich szkół dla Indian

Kościół ma zostać utrzymany. Historycy w wielu krajach pewnie już zacierają ręce, gotowi do bezlitosnego wykorzystania papieskich zachęt do tego, by nagłaśniać kościelne przewinienia, prawdziwe czy zmyślane.

W naszym kraju, obawiam się, jest po temu całkiem podatny grunt. Pominę już etatowych twórców książek uderzających w Kościół, jak Artur Nowak i Stanisław Obirek, autorów wydanej niedawno pracy „Skandaliści w sutannach”, która w skrajnie krzywym zwierciadle przedstawia nawet takie postaci jak ks. Piotr Skarga. Nowak i Obirek przynajmniej nie udają: rzymskiego katolicyzmu w jego tradycyjnym kształcie nie lubią i chcą go zwalczać. Bardziej martwią mnie ci, którzy rzucają kalumnie na historię Kościoła, stawiając się zarazem w roli zatroskanych o jego los prawdziwych katolików.

W ostatnich miesiącach pojawiło się w Polsce całe mnóstwo bardzo dziwnych wystąpień i publikacji. Mogłyby pewnie zadowolić papieskie marzenie o rozprawianiu się z „mroczną historią” Kościoła, ale z perspektywy zdroworozsądkowej – głęboko rażą.

CIOŚY W HISTORIĘ KOŚCIOŁA

24 września na łamach „Tygodnika Powszechnego” zaskakujący artykuł opublikował profesor teologii i wieloletni publicysta tego tytułu Józef Majewski. „Doktryna nie zwalnia z myślenia: hereetycka przeszłość dogmatów” – brzmiał prowokacyjnie tytuł tekstu, w którym autor dowodził, że dogmaty w Kościele podlegają ewolucji. Gdyby rzeczywiście było tak, jak chce Majewski, w katolicyzmie nie byłoby już dosłownie nic stałego: wszystko musiałoby podlegać zmianie, a w konsekwencji uprawnione byłyby rozmaite rewolucje, nawet doktrynalne. Majewski na obronę swojej tezy przywołał trzy sprawy: naukę Kościoła o „communio sanctorum”, czyli obcowaniu świętych, dogmaty o Trójcy Świętej oraz nauczanie Soboru Watykańskiego II na temat sposobów wyrażania prawd wiary. Czytelnik tekstu „Tygodnika Powszechnego”, który uwierzyłby w podaną mu narrację, musiałby dojść do nieuchronnego wniosku: Kościół kłamie, bo mówi, że dogmaty się nie zmieniają, a tu proszę – zmiana goni zmianę! Rzecz jednak w tym, że autor we wszystkich opisanych przypadkach dokonał rażących uproszczeń, tworząc w efekcie historię, która... nigdy się nie wydarzyła.

Nie chcę zanudzać szczegółami, podam zatem tylko jeden przykład. Majewski stwierdził, że w 268 r. po Chrystusie synod w Antiochii potępił słynny grecki termin „homousios”, czyli „współistotny”. Już w 325 r. Sobór w Nicei uznał ten sam termin za katolicki. „To, co hereetyckie, teraz okazało się ortodoksyjne” – ogłosił Majewski, co miałoby być dowodem na ewolucję dogmatów. Prawda jest jednak bardziej skomplikowana. W Antiochii zebrani na synodzie pod terminem „współistotny” rozumieli po prostu coś innego niż ci, którzy zebrali się w Nicei. W 268 r. potępiono zatem inną doktrynę, niż przyjęto w 325. Używano tego samego słowa dla jej wyrażenia, ale myśl była inna! Nie

ma zatem mowy o „ewolucji dogmatu”, a tylko o długotrwałym poszukiwaniu terminu, który najlepiej tę samą prawdę wyrazi. Różnica jest dość subtelna i łatwo rzecz przedstawić tak, by doprowadzić do fałszywych wniosków. Właśnie tak fabrykuje się nierzadko „mroczne momenty” historii Kościoła.

Nieco później w podobny sposób zaatakował historię Kościoła publicysta „Gościa Niedzielnego” Wojciech Teister. 7 listopada opublikował artykuł pt. „A gdyby historia potoczyła się inaczej?”. Postawił w nim tezę, że mogłoby nie dojść nigdy do schizmy wschodniej, czyli oddzielenia się prawosławnych od Rzymu, gdyby katolicy na Zachodzie nie upierali się w „Credo” przy formule „Filioque” – słowach, które wypowiadamy w każdej niedzielę na Mszy Świętej, mówiąc „Wierzę w Ducha Świętego... który od Ojca i Syna (Filioque) pochodzi”. Teister przekonuje, że w średniowieczu chrześcijanie na Wschodzie „nie bez racji” oburzyli się na to, iż na Zachodzie dodano do wyznania wiary słowa „Filioque” – „i Syna”. Spór w tej sprawie – stwierdził publicysta „Gościa Niedzielnego” – został jednak zażegnany w XX w., bo Kościół katolicki wykonał krok wstecz i uznał, że „z teologicznego punktu widzenia to jednak Grecy [prawosławni – przyp. red.] mieli rację”.

Autor dodał, że „spornego” sformułowania wprawdzie nie usunięto, ale nadano mu nową „interpretację”. Tak jak w przypadku Majewskiego danie wiary słowom Teistera może wzbudzić u czytelnika przekonanie, że nic nie jest w Kościele pewne: nawet uświęcone wyznanie wiary może okazać się po prostu błędne. A skoro tak, to nasuwa się wniosek, że Kościół jest zasadniczo oparty na fałszu i teologicznej manipulacji... Problem polega na tym, że „krok wstecz”, o którym pisze publicysta, nigdy nie został w tej formie wykonany. W 1995 r. Papieska Rada do spraw Jedności Chrześcijaństwa wydała dokument poświęcony problemowi Ducha Świętego u rzymskich katolików i prawosławnych. W tekście nie ma jednak żadnego wycofania się z wiary Kościoła w pochodzenie Ducha Świętego od Ojca i Syna. Twierdzi się tam raczej, że w gruncie rzeczy obie strony kontrowersji miały to samo na myśli. O uznaniu, że to prawosławna interpretacja jest słuszna, a my,



Watykańscy progresiści próbują zdławić opór swoich przeciwników, np. wytaczając ciężkie działa przeciwko przedsoborowej liturgii

rymscy katolicy, po prostu się mylimy – nie ma mowy. Co więcej, nawet gdyby rada napisała to, co sugeruje Teister, nie miałyby to większego znaczenia, bo w przypadku dokumentu tej instytucji nie mamy do czynienia z oficjalnym i uroczystym aktem wyłożenia przez Kościół doktryny, a jedynie z dokumentem z natury rzeczy o dość ograniczonym autorytecie. Łatwo jednak ogłosić, że nauczanie się zmieniło, prawda?

Trzecie uderzenie w historię Kościoła, również w listopadzie, wyprowadził jezuita i znany patrolog, ks. prof. Henryk Pietras. Na międzynarodowej konferencji naukowej poświęconej Soborowi w Nicei przekonywał, że Kościół katolicki został zniewolony przez... Konstantyna Wielkiego. – Uważam 313 r., czyli ten tzw. edykt mediolański, nie za dar wolności dla Kościoła, tylko za utratę niepodległości – powiedział. W 313 r. rzymski cesarz Konstantyn ogłosił, że chrześcijanie mają prawo wyznawać publicznie swoją wiarę. Zakończył w ten sposób erę krwawych prześladowań i otworzył drogę do chrystianizacji Imperium Romanum. Dzięki temu po kilku wiekach możliwe stało się zbudowanie chrześcijańskiej cywilizacji średniowiecza. Dla uczonego jezuita to jednak „zniewolenie”, bo Kościół nawiązał stosunki z państwem... W tym samym wystąpieniu patrolog przekonywał jeszcze, że Kościół stał się na przestrzeni dziejów instytucją feudalną – i choć feudalizm się skończył, to w Kościele trwa nadal. Zmieniać ma to dopiero papież Franciszek wraz z synodalnością. W sumie według jezuita mielibyśmy do czynienia z okresem mniej więcej 1700-letniej „niewoli” Kościoła i pogrążenia katolicyzmu w „światowości”. Bardzo podobne tezy głosił w Polsce przez lata Stefan Świeżawski, historyk

filozofii, uczestnik Soboru Watykańskiego II i autorytet dla wielu postępowych katolików. Świeżawski przekonywał swoich uczniów, że moment nawrócenia Konstantyna był zarazem tym, w którym szatan wmieszał się w losy Kościoła. Mówił, że to dopiero papież Paweł VI, zdejmując z głowy tiarę i wyrzekając się w imieniu Watykanu „brzemienia bycia państwem”, powrócił do autentycznego i „ewangelicznego” Kościoła. Jak widać na przykładzie ks. prof. Henryka Pietrasa, takie głęboko ahistoryczne mity, nasączone głęboką niechęcią do katolicyzmu przedsoborowego, trzymają się w Polsce nie najgorzej.

GRUNT POD REWOLUCJĘ

Czemu służą te wszystkie niepoważne opowieści, jak próby fałszowania historii dogmatów albo demonizowania wielowiekowej historii Kościoła? Cel – uświadomiony albo nie, zależnie od przypadku – jest tylko jeden. To przygotowanie gruntu do wielkiej, rewolucyjnej wręcz zmiany w Kościele. Jest dokładnie tak, jak w przypadku narodów: nie da się skutecznie narzucić społeczeństwu ideologii, jeżeli wcześniej nie odetnie się go od własnej historii. Długo obrzydzało nam dzieje polskiej wspólnoty narodowej: oskarżano szlachtę o uprawianie niewolnictwa względem chłopów, przedstawiano polskość jako wynaturzenie i kołtuństwo, jednocześnie prezentując każdy zachodni idiotyzm jako wzór godny naśladowania. Jak widać po wynikach wyborów, wobec niemałej części społeczeństwa to zadziałało: w zamian za poczucie trwania w jedności z Brukselą miliony Polaków są gotowe opłuć własne dziedzictwo, głosząc na tak jawnie antypolskie formacje.

Analogiczna operacja jest prowadzona w Kościele: przedstawienie historii w czarnych barwach i podważenie wiarygodności katolicyzmu ma służyć takiemu urobieniu opinii publicznej, by zaakceptowała zerwanie z tradycją i wprowadzenie różnych absurdalnych decyzji, takich jak błogosławienie par jedнопłciowych czy wypychanie ludzi świeckich w rolę kapłanów. Operację tę od ponad półwiecza prowadzą wpływowe kręgi progresywne, a od ponad dekady włącza się w nią papież. Jakie są jego najgłębsze motywacje, nie mogę oceniać, ale cel dostosowania

Kościółu do liberalnej nowoczesności deklarował już wielokrotnie. Jeżeli na gruncie „odnowionych” studiów historycznych, które będą eksponować „mroczne momenty” Kościoła, uda się przekonać kolejnych katolików, że przeszłość ich wspólnoty jest pełna zła i grzechu, to z perspektywy progresywnej doskonale: tym łatwiejsza stanie się implementacja rewolucji. Pragnienia zrewolucjonizowania katolicyzmu nie ukrywają wcale tacy autorzy jak Józef Majewski czy Henryk Pietras. Pierwszy w swoim tekście przyznał otwarcie, że przyjęcie „ewolucji” dogmatów implikuje konieczność pogodzenia się z przebudową Kościoła za Franciszka; drugi wprost powiedział, że to właśnie ta synodalna przebudowa jest tym, czego Kościołowi potrzeba.

Odporność zwykłych wiernych na taką propagandę jest dziś szczególnie palącą koniecznością. W ramach procesu synodalnego papież zarządził globalną decentralizację Kościoła. Wiara katolicka w różnych krajach – a niekiedy nawet w różnych diecezjach w obrębie jednego państwa – już dzisiaj wygląda inaczej. To zróżnicowanie będzie tylko postępować, ale proces może mieć dwa oblicza: regiony podatne na narrację oczerniającą przeszłość będą chętnie implementować progresywne zmiany, zacierając granicę między katolicyzmem i protestantyzmem oraz czerpiąc z liberalizmu. Tam, gdzie katolicy nie będą dawać sobie wmówić, że trzeba grubą kreską oddzielić się od Konstantyna, średniowiecza czy Soboru Trydenckiego, normalna, tradycyjna wiara ma szansę trwać nadal i dobrze się rozwijać. Watykańscy progresiści próbują wprawdzie zdławić opór, np. wytaczając ciężkie działa przeciwko przedsoborowej liturgii, ale osiągają zamierzone efekty tylko wtedy, kiedy trafiają na słabość.

Pójdźmy zatem za wezwaniem Franciszka do tego, bo odnawiać naszą znajomość historii Kościoła i budować łączność z poprzednimi pokoleniami. Zamiast na „mrocznych momentach” lepiej skupić się jednak na przykładach świętości i wytrwałości wobec różnorodnych form prześladowania. To, sądząc, może naprawdę przysłużyć się zewsząd atakowanemu Kościołowi.



Samuraj z ferajny



Lukasz Czarnecki

Gdy wypowiadamy słowo „samuraj”, przed oczyma staje nam obraz niezwykle odważnego, powściągliwego i honorowego japońskiego wojownika. Tymczasem losy Katsu Kokichiego pokazują, jak niewiele mógł mieć ów ideał wspólnego z rzeczywistością

Pochodził z zacnej samurajskiej rodziny, a jego bracia sprawowali nawet państwowe urzędy. Tymczasem on zamiast pielęgnować cnoty wymagane od przedstawicieli swojej klasy społecznej, przeszedł burzliwą drogę od zwykłego chuligana, przez szefa młodzieżowego gangu, do jowialnego „gangstera z sąsiedztwa”. Ludzie schodzili się do niego niczym do Vita Corleone, by prosić o pomoc w rozwiązywaniu problemów.

Naszemu dzisiejszemu bohaterowi czy raczej antybohaterowi przyszło żyć w końcowych latach okresu Edo, który przypadł na lata 1600–1868. Rządy nad Japonią sprawował w tym czasie ród Tokugawa, który po stuleciach wojen domowych przyniósł Japończykom ponad ćwierć millennium pokoju. Inna rzecz, że stało się tak za cenę zamknięcia społeczeństwa w ciasnym gorsecie idei neokonfucjańskich, który z upływem

kolejnych dekad coraz mniej pasował do japońskiej sylwetki.

Najwyższą klasą społeczną w hierarchii ustanowionej przez szogunów byli samurajowie. Reżim zabronił im parania się jakąkolwiek działalnością gospodarczą, czy to w rolnictwie, czy to w handlu (kupcy zresztą znajdowali się na samym dnie, jeśli chodzi o szacunek Japończyków do określonych zawodów). Wojowników przesiedlono ze wsi do miast i nakazano szkolić się nie tylko w walce, lecz także zgłębiać „drogę pędzla”, tzn. zając się nauką i działalnością kulturalną. To spośród nich rekrutowano urzędników państwowych.

Podstawą samurajskiego bytu stała się pensja wypłacana przez ich seniorów. Dochody na ten cel pochodziły z przypisanych poszczególnym rodzinom lenn. Oficjalnie właściciele rzadko widzieli te dobra na oczy, ale zamieszkujący je chłopcy musieli w pocie czoła trudzić się w polu, by utrzymać zastępy bezproduktywnych darmozjadów. Wynagrodzenie wyliczano w koku. Mianem tym określano ilość ryżu potrzebną do wykarmienia jednego człowieka przez rok. Wysokość wypłat ustalona w XVII w. pozostała niezmienna przez następne ćwierć mil-



lennium bez względu na rosnącą inflację i zmiany cen! To trochę tak, jakby w Polsce pracownicy budżetówki otrzymywali wynagrodzenia wedle stawki z czasów króla Jana III Sobieskiego!

CZYM SKORUPKA ZA MŁODU NASIAKNIĘ

Katsu Kokichi żył w latach 1802–1850. Przyszedł na świat w mieszkającej w Edo (dzisiejszym Tokio) samurajskiej rodzinie Otani. Jego ojciec był pomniejszym urzędnikiem szogunatu. Podobną

Kiedy znał już wartość pieniądza, zaczął okradać swoją macochę ze środków przeznaczonych na dom



drogę przeszli dwaj przyrodni bracia przyszłego „samuraja z ferajny”. Starszy z nich dochrapał się nawet stosunkowo wysokiego stanowiska administratora w prowincji Shinano. Choć ród należał do warstwy chorążych, mających prawo do bezpośredniej audyencji u szoguna, to w domu się nie przelewało, a państwo-wa pensja wysokości 100 koku ledwie starczyła na godne życie.

Nasz antybohater urodził się jako syn konkubiny głowy rodu. Jego matka, będąc w ciąży, popadła w niełaskę, więc

swój pierwszy krzyk chłopiec wydał pod strzechą jej rodzinnego domu. Jednakże niedługo po narodzinach został zabrany do domostwa rodziny Otani, gdzie zaopiekowała się nim żona ojca.

W późniejszych latach Kokichi, spisując autobiografię, bardzo ciepło wyrażał się na temat swojej macochy. Kobieta, jak się zdaje, kochała pasierba szczerą miłością, bo pozwoliła mu dosłownie wleźć sobie na głowę. Chłopczyk, od dzieciństwa zdradzający rogatą duszę, szalał po całej rezydencji, całe dni spędzając

na figlach lub moczeniu się w ogrodowej sadzawce. Wykradał również smakołyki ze spiżarni, a gdy podrósł na tyle, by poznać wartość pieniądza, zaczął okradać macochę również ze środków przeznaczonych na domowe wydatki.

Cierpiąca z powodu częściowego paraliżu i mająca problemy z chodzeniem pani Otani była na przegranej pozycji, a nikt inny z domowników nie śmiał utemperować krnąbrnego chłopca, z jednym wyjątkiem. Był nim ojciec. Budził on w chłopcu autentyczny strach i nic



■ w tym dziwnego. W XXI w. człowiek ten poszedłby siedzieć za znęcanie się nad dzieckiem. Gdy pięciolatek wdał się w bójkę z synem jakiegoś robotnika, wściekły samuraj przywiązał malucha do słupka w ogrodzie i zaczął bić go po głowie ciężkim drewnianym sandałem geta! Nasz antybohater nabył przy tej okazji blizn, które po latach, gdy został mnichem buddyjskim, znacząco utrudniały mu golenie czerepu.

W wieku siedmiu lat przyszedł „gangster” został oficjalnie adoptowany przez rodzinę Katsu. Ród ten znajdował się na granicy wymarcia, jedynymi pozostałymi przy życiu jego członkami były kilkuletnia dziewczynka i jej babka. Wymarcie klanu stanowiłoby z konfucjańskiego punktu widzenia najstraszliwsze z nieszczęść, dlatego samurajskie rodziny w takiej sytuacji decydowały się adoptować chłopców, którzy pomogliby przetrwać linii rodowej. W tym konkretnym przypadku babka Katsu uбиła interes z panem Otani, który był z tego bardzo zadowolony – państwową pensję otrzymywała tylko głowa rodu, tą zaś miał zostać najstarszy – dorosły już brat naszego antybohatera. Oddając chłopca do adopcji, ojciec Kokichiego zapewniał mu środki na utrzymanie – niestety, skromne, bo renta klanu Katsu wynosiła zaledwie 41 koku ryżu.

I tak siedmioletni chłopiec przeszedł z jednej rodziny do drugiej, dodatkowo dostając w pakiecie rękę równej mu wiekiem ostatniej spadkobierczyni rodu Katsu. Dziewczynka wraz z babką zamieszkały w rezydencji Otani ku wielkiej zgryzocie Kokichiego. Obydwie kobiety żyły z nim w jednym pokoju, a starsza z nich miała wyjątkowo podły charakter i nieustannie rugała przybranego wnuka, robiąc mu różne przykrości.

Dzieciństwo naszego antybohatera wypełniała łobuzerka. Do nauki głowy nie miał i z radością zgłębiał tylko jazdę konną, sztuki walki oraz szermierkę. Raz za razem angażował się w bójki ze starszymi od siebie chłopakami. Pewnego razu w szkole jujitsu, gdzie trenował, grupa uczniów rzuciła się na niego, związała go i powiesiła pod krokwią, po czym oprawcy siedli na podłodze i zaczęli pałaszować drugie śniadanie ofiary! Kokichiego wzięła złość, zwłaszcza że wśród przeciwników znalazły się bułeczki z nadzieniem

Ucieczka samuraja narobiła jego bliskim niemałych kłopotów. Urzędnicy szoguna omal bowiem nie ogłosili oficjalnie rozwiązania klanu, który adoptował młodego łobuza. Ale wszyscy mieli nadzieję że on wróci. I tak się stało

ze słodkiej rzepy. Błyskawicznie odebrał zwycięzcom chwilę triumfu, oddając na nich moc z sufitu.

OD ŻEBRAKA DO ULICZNEGO ZAWADIAKI

W wieku 14 lat Katsu Kokichi wszedł w okres nastoletniego buntu. Uznawszy, że ma już dość swojej rodziny, wykonał krok, który robiło wielu młodzieńców przed nim i po nim: uciekł z domu, okradając przy tej okazji własnego ojca.

Plan młodego samuraja „na gigant” był prosty – dostać się do Kioto i tam poszukać jakiejś pracy. Szybko jednak okazało się, że młody człowiek nie ma absolutnie pojęcia o tym, jak działa świat poza rogatkami stolicy szogunatu. Już na początkowym etapie wędrówki dowiedział się od przypadkowo spotkanych podróżnych, do których się dołączył, że aby opuścić stołeczną prowincję, musi posiadać stosowne dokumenty z zezwoleniem na podróż, by pokazać je w punkcie celnym! Katsu papierów takich rzecz jasna nie posiadał. Nowi przyjaciele zaoferowali mu, że za niewielką opłatą takowe załatwią. Rozradowany chłopak wysupłał żadaną sumę i rzeczywiście udało mu się przejść odprawę celną. Tymczasem nieznajomi zasugerowali, by wędrować razem dalej. Kokichi się zgodził. Drużyna ruszyła w drogę, a gdy zapadł zmierzch, podróżni zatrzymali się w lokalnej gospodzie i udali na spoczynek. Rankiem nasz antybohater obudził się sam: towarzysze gdzieś znikli, podobnie jak cała jego gotówka, samurajskie miecze, ubranie, a nawet buty!

Chłopak pobiegł do karczmarza, ten zaś, dowiedziawszy się o całej sprawie, stwierdził, że młody podróżnik padł ofiarą złodziei grasujących po gościńcach i okradających naiwnych. Jako że gospodarz był człowiekiem dobrego serca, wręczył Katsu wielką drewnianą chochlę i doradził, by resztę podróży sfinansował sobie, żebrząc.

Kokichi ruszył na szlak, żyjąc z jałmużny. Zdarzało mu się przez kilka dni z rzędu nic nie jeść, nocował w buddyjskich kapliczkach i wydrążonych w ziemi jamach. Najgorszą przygodę przeżył, gdy któregoś dnia, spędzając noc na szczycie góry, w czasie snu spadł w przepaść. Była ona na szczęście niezbyt głęboka i młodzieniec przeżył upadek, ale straszliwie poobił sobie przyrodzenie. I to tak mocno, że przez jeden dzień nie był w stanie stanąć na nogach, a przez następne robiło się coraz gorzej, aż w końcu jego jądra napuchły, zaczęła sączyć się z nich ropa, on sam zaś musiał chodzić w dziwaczny sposób, który powodował, że ludzie się zeń śmiali. Szczęśliwie los się do niego uśmiechnął, bo Katsu spotkał rybaka, który nie dość, że go zatrudnił, to jeszcze pozwolił mu zamieszkać pod swoim dachem. Kokichi spędził w chacie pocziwego wieśniaka trochę czasu, codziennie wypływając na morze i pomagając mu łowić ryby. W końcu jednak uznał, że prowadząc takie życie, hańbi honor samuraja, i ruszył w drogę powrotną do Edo. Rzeczony honor bynajmniej nie przeszkodził mu okraść na pożegnanie rybaka, który okazał mu tyle dobra...

Gdy obszarpany i chory Katsu dotarł do domu, krewni powitali go z otwartymi ramionami. Jego ucieczka narobiła im nielichych kłopotów. Urzędnicy szoguna omal nie ogłosili oficjalnie rozwiązania klanu, który go adoptował, ale wszyscy mieli nadzieję, że młody chuligan wróci. I tak się stało. Aczkolwiek prawie dwa następne lata chłopak spędził w łóżku, lecząc dolegliwość, która w trakcie wędrówek zaatakowała jego przyrodzenie.

Kiedy Kokichi stanął na nogi, znów zaczął szaleć. Zajadłe trenował szermierkę, jak wymagano tego od samuraja, i wkrótce osiągnął w owej dziedzinie mistrzostwo, stając się jednym z najślawniejszych szermierzy stolicy. Wędrował od jednej szkoły szermierki do drugiej i tam mierzył się zarówno z ich uczniami, jak i mistrzami. Ba, wieści o nim dotarły nawet poza



miasto i do Edo zaczęli zjeżdżać wojownicy z prowincji, chcący skrzyżować miecze z osławionym młodzieńcem.

Chciałoby się powiedzieć, że Katsu Kokichi nabrał rozumu, ale stało się wręcz odwrotnie. Z zapałzonych w siebie młodych samurajów sformował uliczny gang niczym z filmu „West Side Story” i spędzał z nimi czas, wdając się w awantury. W tym okresie zaczął odwiedzać też Yoshiwarę – słynną dzielnicę rozpusty. Tamtejsze domy publiczne tak mu się spodobały, że wydawał w nich wszystkie pieniądze, a gdy tych zabrakło, ukradł swemu starszemu bratu część pieniędzy, które ten przywiózł z prowincji jako podatek dla władz i chwilowo przechowywał w swoim biurze. Nie chcąc, by ktokolwiek zauważył, że skrzynka ze złotem jest dziwnie lekka, obrotny młodzieniec dosypał do niej kamieni, po czym wymieszał je z monetami.

Ostatecznie nasz antybohater zatęsknił za życiem włóczęgi i ponownie uciekł z domu. Ruszywszy na szlak, znalazł genialny sposób, aby uczynić swoją podróż komfortową. Wszędzie, gdzie trafił, podawał się za wysłannika spokrewnionego z szogunem rodu Mito. W efekcie lokalni urzędnicy dosłownie nadskakiwali obwiesiowi, który miał teraz zagwarantowane bezpłatne noclegi i wyżywienie, a nawet lektkę, w której przebył część drogi! Daleko jednak nie dotarł, bo szybko dogonił go bratanek, błagając niesfornego stryja, by ten wrócił do domu. Ostatecznie Katsu dał się przekonać i wrócił do Edo. Tu rodzina urządziła na jego cześć przyjęcie, po czym, gdy nasz antybohater był już mocno podпиты, zamknęła go w bambusowej klatce. Kokichi przesiadzić miał w niej następne trzy lata.

DOJRZEWANIE DO SAMOKRYTYKI

Tak długie zamknięcie mogłoby doprowadzić do szału, ale nasz antybohater zniósł je dzielnie i nawet wyszło mu to na dobre. Odcięty od grzesznych rozrywek i awantur mógł poświęcić czas ważniejszym sprawom. Właśnie teraz, będąc już po dwudziestce, nauczył się czytać i pisać, a gdy opanował tę sztukę, zaczął studiować książki konfucjańskich filozofów i kroniki historyczne. Kiedy w końcu rodzina uznała, że można już go wypuścić, Katsu pomaszerował prosto do urzędu zajmującego się kwestiami samurajów, aby prosić

o pomoc w znalezieniu pracy w administracji. Nigdy jednak żadnej posady nie dostał, prawdopodobnie urzędnicy zbyt dobrze wiedzieli, co z niego za ancymon.

Nie mogąc znaleźć żadnego godnego samuraja zajęcia, a mając na głowie rodzinę do utrzymania, Kokichi zajął się handlem. Dla przedstawiciela klasy wojowników było to skrajne upodlenie, ale nasz antybohater miał to kompletnie gdzieś. Wkrótce zaśląnął w całą stolicę jako handlarz mieczami i inną bronią, robiąc interesy z licznymi samurajami. Tak wyglądała jego działalność oficjalna, bo poza nią Katsu szybko wyrastał na kogoś w rodzaju japońskiego Vito Corleone. Zgromadziwszy wokół siebie bandę zubożałych samurajów, gotowych na każde jego skinienie, zaczął pobierać haracz od części miejskich zamtużów. Trudnił się również lichwą, pożyczając pieniądze na wysoki procent. Zbudował gigantyczną sieć koneksji. Choć z punktu widzenia swoich krewnych stoczył się na dno (do

tychmiast udał się do szefa gangu naciągacza, po czym przy rybnie i sake wynegocjował zwrot pieniędzy dla poszkodowanego).

Gdy ktoś przychodził prosić „samuraja z ferajny” o pomoc, nigdy nie odchodził w kwitkiem. Petenci bywali różni – od szintoistycznego kapłana chcącego założyć w stolicy nowe stowarzyszenie religijne do właściciela domu oszukanego przez administratora. Dla zwykłych mieszkańców Edo „Mistrz Katsu” stopniowo stawał się antybohaterem, aż w końcu mówiono, że nie ma takiej sprawy, której nie mógłby załatwić. A za owym uwielbieniem oczywiście szły liczne „wyrazy wdzięczności”. Dzięki nim nasz antybohater mógł żyć na odpowiednim poziomie.

Ostatecznie w wieku 36 lat Kokichi oficjalnie zrezygnował z funkcji głowy rodu Katsu, przekazując ją swemu synowi – Rintarō. Sam zgolił głowę i został mnichem buddyjskim. Nowy status bynajmniej nie przeszkadzał mu w wątpliwym prowadzeniu się. Nadal czerpał z życia pełnymi

Przyszedł czas, że został mnichem buddyjskim. Nowy status nie przeszkadzał mu jednak w wątpliwym prowadzeniu się. Nadal czerpał z życia pełnymi garściami, pozostając przy tym jowialnym „gangsterem z sąsiedztwa”

tego stopnia, że starszy brat groził mu ponownym zamknięciem w klatce), to stał się jedną z najbardziej szanowanych osobistości stołecznego półświatka. Gdy zachodziło do domu publicznego w Yoshiwarze, choćby nie wiadomo, jak bardzo był on zatłoczony, to dla „Mistrza Katsu”, jak zaczęto go zwać, natychmiast znajdowały się zarówno miejsce, jak i piękna dziewczyna. Pewien szermierz z prowincji, któremu pokazywał rozkosze Edo, przeżył głęboki szok, widząc, jak daleko sięgają jego wpływy.

Kokichi był w stanie załatwić prawie wszystko, bo wszędzie kogoś znał. Bardzo dbał o dobre kontakty z ludźmi, pod koniec dnia spędzonego na targu fundował kupcom posiłek, a był to wydatek niemały, bo zazwyczaj w takiej kolacji brało udział 50 osób. Również i ze światem przestępczym był za pan brat. Kiedy zgłosił się do niego z prośbą o pomoc człowiek, który padł ofiarą oszusta, nasz antybohater na-

garściami, pozostając przy tym jowialnym „gangsterem z sąsiedztwa”, cenionym przez prostych ludzi mających u niego liczne długi wdzięczności. Ostatecznie, jak to jednak się mówi, nosił wilk razy kilka. Gdy nasz Vito Corleone miał lat 41, jego osobą zainteresowały się władze i definitywnie zakończyły karierę „samuraja z ferajny”, zamykając go w areszcie domowym.

Siedząc pod kluczem, dawny cwaniał i kombinator miał dużo czasu, by rozmyślać nad swoim życiem. Wnioski, do których doszedł, niezbyt mu się spodobały. Postanowił spisać wspomnienia burzliwego życia, dołączając do nich obszerną samokrytykę i przestrzegając następne pokolenia przed podążaniem jego ścieżką. Swoje losy bowiem podsumował następująco: „Wiele lat upłynęło, zanim zacząłem się zachowywać jak istota ludzka, i kiedy dziś myślę o swojej przeszłości, włosy stają mi dęba”.



Witold Repetowicz

Baszar al-Asad był tyranem z przypadku i nigdy nie stał się charyzmatycznym przywódcą. Na syryjski tron wyniósł go wiatr historii i on też go z niego zmiotł. To koniec rządów alawitów w Syrii. I początek nieznanego: nie tylko dla Syrii, lecz także dla całego regionu, a pośrednio również dla Europy

W roku 1936 dziadek Baszara, Ali al-Asad, miał podpisać list do ówczesnego premiera Francji Leona Bluma, w którym on i kilku innych liderów alawickich wzywali, by nie przyłączać zamieszkałych przez tę grupę terenów do muzułmańskiej Syrii. W petycji mowa była o nienawiści i fanatyzmie arabskich muzułmanów, a także znajdowały się wyrazy poparcia dla Żydów zamieszkujących Palestynę. Istnieją wątpliwości co do autentyczności tego listu, niemniej dużo on mówi o pozycji alawitów w Syrii. Sekta ta powstała w IX w. i jej zasady religijne są tak odmienne od islamu, że uznawanie jej członków za muzułmanów jest nieporozumieniem. Przez wieki alawici stanowili najniższej położone w hierarchii społecznej, najbardziej zacofane warstwy w tej części Lewantu.

DWA WAŻNE NURTY

Zmieniło się to za sprawą jednego człowieka – Hafeza al-Asada. Gdy jego ojciec miał podpisywać wspomnianą petycję, Hafez miał sześć lat, a gdy Syria przestała być francuskim mandatem – 15. W nowym państwie arabscy muzułmanie sunniccy stanowili większość, ale mniejszości etniczne i religijne tworzyły ok. jednej trzeciej populacji, i to już po tym, jak Francuzi oddzielili od Syrii Liban, by stworzyć tam państwo dla maronitów. Jednocześnie w 1939 r. Francja pozwoliła Turcji na zajęcie Sandżaku Aleksandretty, czyli obecnej prowincji Hattay w Turcji. Syria nigdy nie pogodziła się z tymi stratami populacji



Tyran i jego upadek



8 grudnia Syryjczycy hucznie świętowali obalenie dyktatora. FOT. NIDAL SOLH/AFP/EAST NEWS

– to zarówno ta Syria przed Asadami, jak i ta asadowska. W niepodległej Syrii rozwijały się dwa ważne nurty ideologiczne: islamski i panarabski. Ten drugi reprezentowany był w szczególności przez osoby wywodzące się z mniejszości religijnych: alawitów i chrześcijan, którzy wiedzieli, że w islamskiej Syrii nie będą nic znaczyć. Stawiali więc na arabski nacjonalizm, choć ten wykluczał z kolei mniejszości etniczne, w szczególności Kurdów. No i musiał z definicji być antyizraelski.

Pierwsze 25 lat niepodległej Syrii były okresem bardzo burzliwym, obfitującym w przewroty, dyktatury oraz wielopartyjne wybory, a przez trzy lata Syria była zjednoczona z Egiptem, tworząc Zjednoczoną Republikę Arabską. W tym krótkim

czasie stoczyła ona też dwie przegrane wojny z Izraelem, tracąc w 1967 r. kontrolę nad Wzgórzami Golan. Tymczasem młody Hafez po skończeniu szkoły średniej postanowił zostać lekarzem, ale ojciec nie miał pieniędzy na studia, więc Hafez wstąpił do wojska. Ironią historii jest to, że pierwotny cel ojca zrealizował Baszar, zostając okulistą w Wielkiej Brytanii, ale zewnętrzne okoliczności przerwały jego karierę medyczną. W rezultacie los odepchnął ich o lata świetlne od zasady *primum non nocere*.

BEZKRWAWY PRZEWRÓT

Jako niemuzułmanin Asad zaangażował się w panarabski nurt partii Baas, kierowanej przez chrześcijańskiego intelektualistę Michela Aflaqa. To właśnie otworzyło jemu, jego rodzinie i jego sekcje drogę do władzy. Partia Baas przejęła w Syrii rządy w 1963 r. i od tego czasu nie było już miejsca w tym kraju dla innych ugrupowań. Toczyły się jednak walki frakcyjne, które ostatecznie wygrał Hafez al-Asad, przejmując pełnię władzy w bezkrwawym przewrocie w 1970 r. Dyktatura niewiernego wzbudzała jednak niechęć ze strony rozwijającego się w Syrii ruchu islamistycznego reprezentowanego przez Bractwo Muzułmańskie. Tymczasem w 1975 r. w sąsiednim Libanie wybuchła wojna domowa między chrześcijanami a Palestyńczykami wspieranymi przez libańskich sunnitów. Chrześcijańskim prezydentem Libanu był wówczas Suleiman Frangiyeh, który zaprzyjaźnił się z Hafezem i jego bratem Rifaatem w czasie swojego pobytu w Syrii w 1957 r. To skłoniło Asadów do interwencji w Libanie (wojska syryjskie okupowały Liban do 2005 r.), na prośbę Frangiyeh, po stronie chrześcijan, tyle że w 1977 r. Asad zmienił strony i wsparł Palestyńczyków przeciwko chrześcijanom. Został też „muzułmaninem”.

Libańscy szyci na początku wojny domowej byli najbardziej zmarginalizowaną grupą. Ich lider, Musa as-Sadr, by to zmienić, wydał fatwę, że alawici to szyci, i namówił irańskich islamistów, którzy pod wodzą Chomeiniego przejęli władzę w Iranie w 1979 r., by to uznali. W ten sposób został zawiązany osobliwy sojuszek między pijącymi alkohol, bawiącymi się w nocnych klubach i pozwalającymi chodzić kobietom bez chust alawitami

a irańską teokracją opartą na surowej obyczajowości, której bliższa była wizja takich porządków w Syrii, jakie chciało zaprowadzić tępione przez Asadów Bractwo Muzułmańskie. W ten sposób Asad, już jako „muzułmanin”, stał się protektorem sprawy palestyńskiej, a w Syrii zakazano mówić o różnicach wewnątrz islamu. Wszyscy zostali po prostu „muzułmanami”. A w 1982 r. rozwijające się od kilku lat powstanie sunnickie zostało krwawo stłumione. Zwieńczeniem była masakra w Hamie, gdzie wujek Baszara Rifat wymordował kilkadziesiąt tysięcy osób.

Pod rządami Hafeza alawici stali się elitą rządzącą, co przyniosło im nienawiść ze strony muzułmanów. Tymczasem w 1994 r. w wypadku samochodowym zginął pierworodny Hafeza, Basil al-Asad, który od lat był przygotowywany do przejęcia władzy. Nowym „dziedzicem tronu” mógł zostać albo Maher, który wykazywał podobne psychopatyczne skłonności jak jego wujek Rifat, albo Baszar, robiący karierę w Western Eye Hospital w Londynie. Wypadło na Baszara i tak Syria zyskała tyrana z przypadku, bez charyzmy, mającego aparycję mięczaka. Zdjęcia rodzinne Baszara, z żoną Asmą, synami Hafezem i Karimem oraz córką Zein, przedstawiają rodzinną sielankę niczym nieprzypominającą stereotypowych obrazów dynastii tyranów zarządzających katowniami dla swych przeciwników. Najstarszy syn Hafez, obecnie 23-letni, to pasjonat matematyki, startujący w latach 2016–2018 w międzynarodowych olimpiadach tej nauki. Gdy Baszar przejął władzę, liczone więc na to, że złagodzi reżim narzucony przez jego ojca. Wyszło zupełnie na odwrót, choć raczej znów zadecydowały przypadek i reguły narzucone przez jego rodzinę oraz alawickie zaplecze. Baszarowi zabrakło też elastyczności swojego ojca, który, gdy trzeba było, potrafił się dogadać z każdym, w tym z USA, a nawet po cichu z Izraelem.

Gdy w 2003 r. USA obaliło Saddama Husajna, reżim w Syrii przyjął to z mieszanymi uczuciami. Relacje Asadów z Saddamem, choć formalnie reprezentowali tę samą partię Baas, były fatalne, ale zabrakło pragmatyzmu Hafeza. Baszar postawił na destabilizację Iraku i w tym celu przyjął do siebie funkcjonariuszy obalonego reżimu irackiego, w tym wiceprezydenta Izzata ad-Duriego.



■ Otworzył też więzienia, by do Iraku, na dżihad z USA i szyitami, ruszyli syryjscy islamisci. Wtedy to zaczęła się kariera niejakiego Ahmeda Husejna al-Szara'a, lepiej znanego jako Abu Mohammed al-Dżulani. Dwudziestoletni islamista został uwolniony, by mógł dołączyć do irackiej Al-Kaidy dowodzonej przez słynącego z brutalności Abu Musabę al-Zarkawiego. Do Syrii wrócił w 2011 r., gdy zaczęła się arabska wiosna. Dla reżimu Asada było to wyzwanie, na które postanowił zareagować po staremu, czyli masakrując, kogo się tylko dało. Prodemokratyczny bunt przekształcił się szybko w wojnę domową, w której kluczową rolę zaczęli odgrywać z jednej strony dżihadyści, a z drugiej – Kurdowie. Dżulani w 2012 r. stanął na czele syryjskiego oddziału Al-Kaidy, czyli Dżabat an-Nusra, który jednak miał konkurencję w postaci starych kumpli Dżulaniego z irackiej Al-Kaidy, która następnie przekształciła się w ISIS. Walka o prymat okazała się silniejsza niż stara znajomość i Nusra przegrała rywalizację. W kwietniu 2015 r. Nusra zdołała jednak opanować Idlib w północno-zachodniej Syrii, który do listopada br. był bastionem Dżulaniego.

POMOC ROSJI I HEZBOLLAHU

Gdy władza Asada została zagrożona, odwołał się do pomocy Iranu oraz Hezbollahu i przestał destabilizować Irak. Ale to nie wystarczyło, więc gdy w 2015 r. jego sytuacja była krytyczna, Irańczycy ścignęli na pomoc również Rosjan. To okazało się przełomem i stopniowo Asad odzyskiwał terytorium. W międzyczasie na pomoc przyszły mu też proirańskie milicje z Iraku, na które jeszcze kilka lat wcześniej posłał islamistów syryjskich. Nie wszyscy jednak o tym zapomnieli. Radykalny lider szyicki Muktaada as-Sadr od samego początku był przeciwny wspieraniu Asada i również teraz, w krótkiej agonii reżimu w Syrii, sprzeciwił się wysłaniu irackiej odsieczy.

Na razie jednak pomoc Rosji i Hezbollahu wystarczyła, by do 2020 r. Asad odzyskał większość terenów Syrii (poza kontrolowanym przez Dżulaniego Idlibem, niektórymi terenami w północnej Syrii okupowanymi przez Turcję i tzw. Autonomiczną Autonomią Syrii Północno-Wschodniej zdominowaną przez Kurdów) i umocnił się na tyle, by stać się pewnym siebie. Mówiąc bardziej

precyzyjnie, zbyt pewnym siebie. Przyczyniła się do tego również normalizacja stosunków między jego reżimem a większością państw arabskich, które wcześniej wspierały rebelię. Asad wiedział, że po doświadczeniach ISIS nikt nie chce nowego dżihadystycznego eksperymentu, Iran będzie go bezwzględnie wspierał, a państwa arabskie będą do tego robiły, by równoważyć wpływy Iranu oraz wspierającej dżihadystów Turcji.

Idealna sytuacja, Asad był beneficjentem równowagi sił. Dlatego nie był zainteresowany porozumieniem z Kurdami i odrzucał również coraz wyraźniejsze propozycje normalizacji ze strony Turcji. W swej głupocie nie zauważył, że jego siły własne są kartonowe. W dodatku część z nich stanowiły dawne siły rebelianckie, które zintegrowano przy mediacji rosyjskiej. Tyle że nie poszły za tym żadne reformy, więc jak tylko wszystko się zaczęło sypać, opuściły one znienawidzony reżim. Tymczasem Rosja ugrzęzła na Ukrainie i straciła zdolności wsparcia Asada. W dodatku Rosja ma swoje deale z Turcją, która poprosiła ją o mediację z Asadem. Syryjski dyktator był jednak uparty, a Turcy naciskali. Gdyby Erdoğan dołączył do sankcji nałożonych na Rosję, to byłby to dla niej większy cios niż upadek Asada. W dodatku Dżulani przez lata ciężko pracował nad wzmacnianiem swoich sił, by skorzystać z takiej okazji. I jeszcze doszła wojna Izraela z Hezbollahem, która go tak osłabiła militarnie, że nie był w stanie ratować Asada.

NOWA FALA UCIEKINIERÓW?

Domek z kart rozsypał się w 11 dni i przy całej niepewności, która nastała, jedno jest pewne: wszystko, co osiągnął Hafez, runęło i rodzina Asadów nie ma żadnych szans na powrót do władzy. Jeśli chodzi o alawitów, to w najlepszym wypadku zostaną zmarginalizowani, a w najgorszym będą musieli uciekać przed prześladowaniami i masakrami. Stracą też wsparcie Iranu, Hezbollahu i szyickich milicji z Iraku, bo nie posiadają władzy w Syrii, nie przedstawiają żadnej wartości. Iran już chce się dogadywać z nowymi władzami, ale będzie to bardzo trudne.

Irak boi się powtórki z 2014 r., gdy hordy ISIS napadły na Mosul. Dlatego buduje na granicy z Syrią betonowy mur o wysokości 3,5 m. Powody do niepokoju

ma też oczywiście Liban, choć z drugiej strony może to spowodować też osłabienie Hezbollahu i stabilizację tego kraju. Nie bez znaczenia jest też to, że do Syrii wróci znaczna część uchodźców, którzy stanowili coraz większy problem dla Libanu. Będą oni wracać też z Jordanii oraz z Turcji, ale raczej nie z Europy. Tyle że może się wkrótce pojawić nowa fala uciekinierów – tym razem głównie alawitów i chrześcijan, a być może też Kurdów.

Inna niż asadowsko-alawicka Syria istniała krótko i była okresem burzliwym. Wcześniej, również krótko, istniał mandat francuski, przed którym Syria była przez wieki częścią imperium osmańskiego. A jeszcze niedawno dżihadyści z ISIS, mający te same korzenie co HTS Dżulaniego, chcieli całkowicie zburzyć mapę Bliskiego Wschodu. Nazwa ISIS odwoływała się zresztą do pojęcia „Szam”, czyli tego samego, które jest w nazwie HTS i oznacza cały Lewant, a nie tylko Syrię, i to w jej obecnych granicach. Choć Dżulani postępuje bardzo rozważnie i stara się uspokoić inne państwa, to nawet sunnickie monarchie arabskie, takie jak ZEA czy Arabia Saudyjska, na razie mu nie ufają. Turcji zaś marzy się odbudowa swoich wpływów z czasów osmańskich. Znaczna część Syrii jest wciąż pod kontrolą zdominowanych przez Kurdów Syryjskich Sił Demokratycznych, które już są atakowane przez wspieranych przez Turcję dżihadystów z tzw. Syryjskiej Armii Narodowej, konkurencji wobec HTS Dżulaniego. Z kolei Izrael postanowił rozszerzyć swoją kontrolę nad Wzgórzami Golan i zajął strategiczną górę Hermon, a także niszczy składy z bronią, by uczynić nową Syrię jak najslabszą. USA z kolei dokonują nalotów na kryjówki ISIS, by zapobiec jego odrodzeniu.

Nie można wykluczyć, że Syria stanie na nogach i stanie się wolnym państwem, w którym o tym, kto rządzi, decydować będą wybory, a równe prawa różnych mniejszości: chrześcijan, Kurdów, alawitów itp. będą zagwarantowane. Ale taki optymistyczny scenariusz jest niestety mało prawdopodobny. Nawet jeśli nie będzie mordów, to w reżimie islamistycznym los mniejszości będzie tragiczny i będą one stamtąd uciekać. A przecież możliwe jest też, że to dopiero początek nowej wojny domowej, w której jednak Asad już nie będzie stroną.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



KARA ZA „HOMOFOBIE”

Na liczące 1,3 tys. mieszkańców kanadyjskie miasto Emo została nałożona kara 10 tys. dol., ponieważ odmówiło ono świętowania Miesiąca Dumy i wywieśzenia tęczowej flagi przed budynkiem, w którym urzędują władze lokalne. To werdykt Trybunału Praw Człowieka stanu Ontario. Organ ten postanowił też przywołać do porządku burmistrza miasta, który odmowną wobec środowisk LGBT decyzję uzasadniał tym, że nie ma flag powiewających w hołdzie osobom heteroseksualnym. W rezultacie gospodarz Emo za swoją postawę musi zapłacić 5 tys. dol. Natomiast urzędnikom miejskim Trybunał nakazał odbyć szkolenie w zakresie „praw człowieka”.

FOT. P199 WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 3.0

ZAMIAST PSYCHOTERAPII TRANZYJCJA

Studentka Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles pozwała lekarzy, którzy jej zdaniem niesłusznie „przyspieszyli” u niej proces zmiany płci. Zarzuca im, że ukrywali przed nią informacje o zagrożeniach, które dla zdrowia niosą zabiegi związane z transycją płciową. „Ona potrzebowała psychoterapii” – czytamy w pozwie. Tymczasem, gdy miała 12 lat, podano jej blokery dojrzewania płciowego. Rok później rozpoczęła terapię hormonalną. A w wieku 14 lat przeszła podwójną mastektomię. Obecnie 20-letnia studentka jest na etapie detranzycji.

RECYDYWA EKSHIBICJONISTY

W renomowanej kancelarii prawnej w Hamburgu 25-letnia stażystka była zszokowana, gdy zauważyła, że 36-letni audytor, z którym przebywała w jednym pomieszczeniu, siedział przy biurku z rozpiętymi spodniami i trzymał w dłoni penisa. Stażystka

powiadomiła o tym, co się wydarzyło, swoje szefostwo. Audytor został natychmiast zwolniony z pracy i stanął przed sądem. Jak się okazało, ekshibicjonistyczne zachowanie było w jego przypadku recydywą.

IGNORANCJA KOSZTUJE ŻYCIE

W zoo niedaleko Bukaresztu doszło do tragedii: tygrys pogryzł pracownika placówki. Człowiek został ugryziony kilkakrotnie w głowę i w ciągu kilku minut zmarł. Nieszczęśliwy wypadek? Nie tylko. Okazuje się, że ofiara zignorowała przepisy bezpieczeństwa, nie zamykając tygrysa w odpowiednim miejscu.

NOWORODEK NA ŚMIETNIKU

W Bogocie 17-latką zostawiła swoje nowo narodzone dziecko na śmietniku. Zostało ono znalezione przez pracownika firmy wywożącej śmieci i następnie przewiezione do szpitala. Jego matkę udało się zidentyfikować dzięki nagraniu z monitoringu. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rok 2025 już bez scamu?

Czym jest scam? To rodzaj internetowego oszustwa, którego celem jest wyłudzenie pieniędzy. Zapewne wielu użytkowników mediów społecznościowych spotkało się np. z fałszywymi reklamami. Mogą to być fałszywe prezenty, oszukiwane oferty pracy, fałszywe oferty intratnych inwestycji czy posty nielegalnie wykorzystujące wizerunki znanych osób. NBP koszt scamów w Polsce w pierwszym półroczu 2024 r. oszacował na 323 mln zł.

Mimo oficjalnych zapewnień właścicieli platform społecznościowych o walce z oszustwami jest ich

nadal zbyt wiele. Ważną bitwę w tej sprawie wygrał miliarder Rafał Brzóska. „Wiele osób twierdzi, że z Big Techami – a zwłaszcza z Metą – wygrać się nie da! NIC BARDZIEJ MYLNIEGO! Mamy pierwsze duże zwycięstwo w walce z deep fake’ami szerzonymi w kanałach Mety i udowadniamy że się da!!! Już nie wystarczy drobna zmiana regulaminu i okragłe słówka »że robimy, co w naszej mocy« – ogłosił w sierpniu Rafał Brzóska. Metę do intensywniejszych działań wezwał też Revolut. W październikowym raporcie FinTech wskazał, że „na platformach Meta inicjowanych

było 62 proc. wszystkich scamów zgłaszanych przez klientów Revolut w pierwszym półroczu 2024”.

Fałszywe reklamy w mediach społecznościowych są też na celowniku władz Australii. Jej obywatele tracą z tego powodu miliony rocznie. Politycy chcą więc dużych kar za zbyt małe zaangażowanie w walce z oszustwami. Meta zadeklarowała zaś, że w 2025 r. zaostrzy na terenie Australii zasady weryfikacji reklamodawców na Facebooku i Instagramie. Czy nowy regulamin wystarczy, by poskromić oszustwa? Nie wiadomo. Na pewno jest to krok w dobrą stronę... ©



Z Karolem Mazurem, politologiem i badaczem praw amerykańskich stanów rozmawia Tomasz Cukiernik

Czy Polska jest jeszcze państwem czy już tylko prowincją UE?



FOT. ADBE STOCK

TOMASZ CUKIERNIK: Czy amerykańskie stany są suwerenne? Jaka jest dziś pozycja tych podmiotów federacji amerykańskiej?

KAROL MAZUR: Stany Zjednoczone to państwo federacyjne, w którym mamy do czynienia ze specyficzną formą federalizmu. Jest on dwustopniowy. Opiera się na władzy federalnej i stanowej. W zasadzie cała historia USA jest sporem kompetencyjnym pomiędzy nimi, tj. suwerennością stanów a władzą federalną. Od początku istnienia amerykańskiej republiki mamy do czynienia z różnymi wydarzeniami, które pokazują spór tej siły politycznej dążącej do centralizacji i oporu stanów. Mniej więcej do czasu wojny secesyjnej nikt nie kwestionował suwerenności

stanów w unii amerykańskiej. Pierwsze interpretacje konstytucji nie pozostawiają tu złudzeń (St. George Tucker, William Rawle czy Abel Upshur). Dzisiaj wszystkie spory rozpatruje się pod kątem zgodności z konstytucją, w formacie *judicial review*. Dawniej przykładem oporu stanów były kroki bardziej radykalne, jak *nullification* czy *interposition*.

Stawiam tezę, że Unia Europejska już jest państwem federalnym mającym wszystkie atrybuty państwa (ludność, terytorium, granice, władze, osobowość prawną, nadaje obywatelstwo, prowadzi politykę zagraniczną i symbole – flaga, hymn, a nieposiadanie wojska nie świadczy o tym, że nie jest państwem, bo istnieją państwa bez armii).

A jak wiadomo, żadna część państwa nie może być innym państwem. Jesteśmy unijnym województwem, prowincją. Co najważniejsze, nie tylko prawo unijne ma pierwszeństwo przed naszą konstytucją, lecz także musimy bezpośrednio stosować unijne rozporządzenia i do naszego systemu prawnego wdrażać wszystkie unijne dyrektywy, a jednocześnie nasze ustawy nie mogą być sprzeczne z prawem unijnym. W przeciwnym razie grożą nam polityczne naciski Komisji Europejskiej i kary finansowe Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Czy zgadza się pan z taką tezą?

W zasadzie na gruncie politologii trwa już spór o to, czym jest Unia Europejska: konfederacją, federacją, wspólnotą państw albo superpaństwem, jak twierdzą włoscy profesorowie Luigi Marco Bassani i Carlo



Lottieri. Amerykański filozof Donald Livingston uważa z kolei, że obecna debata w UE przypomina debatę amerykańską z lat 1787–1789 pomiędzy federalistami i antyfederalistami – i ja bym się z tym zgodził. Państwa członkowskie Unii Europejskiej mają jeszcze możliwość wystąpienia z tej struktury. Mieliśmy brexit. Taką możliwość mają suwerenne państwa.

Prawo wyjścia miały też republiki sowieckie, a przecież nie uznajemy ich za suwerenne państwa. Wielka Brytania dokonała brexitu, ale trzeba by zadać sobie inne pytanie: Czy nie było tak, że siły decyzyjne w UE na to pozwoliły, bo było im to na rękę? A może w przypadku Polski sytuacja byłaby odwrotna?

Ja bym się odniósł do Stanów Zjednoczonych. Historia pokazuje, że po burzliwych próbach osiągnięcia kompromisu secesja doprowadziła do wojny domowej. Mimo to w USA wciąż jest bardzo duża aprobata dla secesji, choć prawnie stan nie może opuścić unii. Teksas np. ma duże aspiracje do niepodległości. Orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie Texas vs. White z 1869 r. jest tutaj jednak punktem odniesienia. Sąd orzekł bowiem, że secesja jest niedopuszczalna. To według prawników zamyka sprawę. Choć z drugiej strony trudno mi wyobrazić sobie w obecnej chwili, że po ogłoszeniu secesji przez Teksas wkroczą doń wojska federalne w celu zaprowadzenia porządku. Po ostatnim zwycięstwie wyborczym Donalda Trumpa demokratyczny gubernator Kalifornii Gavin Newsom już ogłosił, że jego stan jest gotowy do walki. Podobne deklaracje padają z ust innych gubernatorów „niebieskich stanów”. Zapowiadają, że będą blokować rozwiązania administracji Trumpa, np. te dotyczące wyjścia z porozumień klimatycznych i zielonej energii. To de facto powrót doktryny praw stanowych. USA są zatem odnośnikiem do tego, przed jakimi wyzwaniem kraje członkowskie Unii Europejskiej będą stawać. Warto to śledzić, bo UE zmierza w kierunku pogłębienia federalizacji. Pytanie, do jakich instrumentów będą się odwoływać kraje członkowskie, żeby to blokować. W przypadku USA jest to odwoływanie się do doktryn politycznych, ustrojowych czy precedensów, które istniały w przeszłości. Tradycja niechęci do władzy federalnej jest tam bardzo bogata. W UE nie mamy do czynienia z czymś takim. Kraje członkow-

skie mogą odwoływać się jedynie do idei suwerennego państwa narodowego.

Nie ma federalnego obowiązku i władze każdego stanu amerykańskiego mogą zdecydować, czy wprowadzić system handlu emisjami dwutlenku węgla. Tylko 11 stanów USA (rządzonych przez demokratów) przystąpiło do amerykańskiego odpowiednika ETS – Regionalnej Inicjatywy na rzecz Gazów Ciężkich. W UE żaden kraj członkowski nie ma możliwości nienależenia do systemu handlu emisjami ETS. Podobnie w 18 amerykańskich stanach zakazano wprowadzania ESG. W UE muszą te regulacje realizować wszystkie kraje. W amerykańskich stanach różnie regulowana jest też kara śmierci, a Unia Europejska jednoznacznie uznaje ją za poważne naruszenie praw człowieka i godności ludzkiej. Czy można obronić tezę, że amerykańskie stany mają większą suwerenność – czy też autonomię – w ramach amerykańskiej federacji niż kraje członkowskie w ramach UE?

Tak. Istotnie wydaje się, że w USA w przypadku kształtowania polityki klimatycznej panuje większa swoboda dla poszczególnych stanów. Tę swobodę widać również w innych sprawach, tych mocno dzielących społeczeństwo. W zależności oczywiście od tego, który aspekt weźmiemy pod uwagę, na pewno wykazemy, że stany mają więcej kompetencji niż kraje członkowskie. Waszyngton poza prawem federalnym zajmuje się tylko sprawami zagranicznymi, wojnami, wojskiem i drukowaniem pieniędzy. Co do Trumpa, to jego mocnym atutem zdaje się właśnie poszanowanie praw stanów. Z kolei w UE trend jest niekorzystny dla państw narodowych. Będą one stopniowo odzierane z możliwości podejmowania suwerennych decyzji.

Bruksela wtrąca się nawet w sprawy obywatelskie. Na przykład zabrane zostały dotacje unijne po uchwaleniu tzw. uchwał prorodzinnych przez kilka polskich samorządów. W kwestii małżeństw homoseksualnych czy aborcji eurokraci dążą do tego,

żeby przejąć te kompetencje i nakazać pewne rzeczy krajom członkowskim, natomiast widzimy, że w USA to idzie w przeciwnym kierunku.

W USA klasycznym przykładem tego rodzaju sporu jest uchylene w 2022 r. wyroku w sprawie Roe vs. Wade, który utrzymywał dostęp do aborcji na poziomie federalnym. Teraz uprawnienie to jest cedowane na poziom stanowy. To uczciwe postawienie sprawy, bo tak naprawdę stany i ich społeczeństwa same decydują o tej kwestii.

W UE właściwie wydaje się całkowicie nierealne, żeby nagle Bruksela powiedziała, że chciałaby, aby jakieś sprawy wróciły do kompetencji krajów członkowskich...

W Unii Europejskiej dąży to do jakiegoś ujednolicenia w strukturze scentralizowanej.

Już z zapowiedzi Donalda Trumpa wynika, że po dojściu w styczniu 2025 r. do władzy chce on przeprowadzić dość głęboką decentralizację w różnych dziedzinach. A w UE to cały czas idzie w przeciwnym kierunku. Propozycje zmian traktatowych z końca 2023 r. to tylko jeden z przykładów. Wcześniej w tym samym kierunku centralizacyjnym szły wszystkie kolejne zmiany traktatowe czy tzw. Fundusz Odbudowy, który doprowadził m.in. do uwspólnotowienia długu.

Ta centralizacja w UE będzie postępowała. Pomijając aspekt ideologiczny, wynika to, jak sądzę, z przeświadczenia elit unijnych, że żeby być konkurencyjnym, trzeba być dużym. Musimy scentralizować władzę, żeby być konkurencyjnym w relacjach z USA czy Chinami. Za tym procesem opowiadają Niemcy i Francja. Grają one pierwsze skrzypce w Unii, więc im na tym najbardziej zależy. Pytanie, jaka będzie reakcja innych państw. Widzimy stanowisko Węgier, które od lat są stanowcze w tej kwestii. Część tzw. starej Unii jest bardziej przychylna pogłębieniu federalizacji też z racji określonego spektrum politycznego, które od dekad w niej rządzi. W krajach tzw. nowej Unii ten sceptycyzm jest jednak dostrzegalny. Być może wynika to z doświadczenia komunizmu, przez co wykazujemy sceptycyzm wobec wszelkich tego typu ponadnarodowych projektów, które z racji swojej utopijności nie zawsze prowadzą do tego, do czego mają w deklaracji prowadzić.

Czyli nie dość, że amerykańskie stany mają więcej kompetencji niż kraje członkowskie, to jeszcze

Centralizacja w UE będzie postępowała. Pomijając aspekt ideologiczny, wynika to, jak sądzę, z przeświadczenia elit unijnych, że żeby być konkurencyjnym, trzeba być dużym



► kraje unijne wkrótce stracą jeszcze więcej władzy na rzecz Brukseli...

Tylko utrzymanie prawa weta jest ochroną mniejszych, słabszych krajów w Unii. Słabsze, mniejsze stany amerykańskie mogą się bronić przed narzucaniem czegoś przez władze federalne: jest jakaś autonomia, jest też 10. poprawka do konstytucji, która mówi, że to, co nie zostało przekazane władzom federalnym, pozostaje w gestii stanów. Jest to istota amerykańskiego federalizmu: stany mogą blokować niekorzystne, niekonstytucyjne rozwiązania. W UE problem jest nieco inny, ponieważ nie wiadomo, do czego się odnieść. Poza prawem weta ciężko jest zastosować jakieś inne mechanizmy, które by blokowały postępującą centralizację. Proces dziejowy jest jednak zawsze podobny. Jak jest jakaś struktura federacyjna, to federalizacja będzie się pogłębiała. Proces jest jednokierunkowy. Taka struktura ma zatem dwa wyjścia: albo się rozpada, albo się cementuje w jedno. Pytanie, czy społeczeństwa europejskie to zaakceptują. W Stanach Zjednoczonych oprócz tej aprobaty dla secesji jako koncepcji w ogóle jest też bardzo duży sceptycyzm, niechęć wobec władzy federalnej. Natomiast w przypadku Unii Europejskiej siłą są odniesienia do idei państw narodowych, postrzeganie problemu przez pryzmat doświadczeń narodowych. W Stanach jest zupełnie inaczej, ale proces samej federalizacji wydaje się podobny.

Czy amerykańskie prawo federalne też jest tak obszerne jak prawo unijne?

Na pewno skomplikowane, jeśli chodzi o poziom relacji, są prawo stanowe i prawo federalne. Dlatego że ten spór kompetencji bardzo często się pojawia. Natomiast głównym aktem prawnym, do którego zawsze się odwołujemy, jest po prostu konstytucja. Jest dużo instytucji federalnych, które nadzorują poszczególne sprawy w całym kraju. Tworzy się rozwiązania, ale są one zdecydowanie prostsze niż w Unii Europejskiej. Choć według kryteriów rozwiązań amerykańskich są one archaiczne.

Czyli prawo unijne nie tylko dotyczy większej liczby obszarów, lecz także jest dużo bardziej kazuistyczne...

Na pewno jest bardziej płodne. UE produkuje tych zobowiązujących całą wspól-

Tylko utrzymanie prawa weta jest ochroną mniejszych, słabszych krajów w Unii. Mniejsze stany amerykańskie mogą się bronić przed narzucaniem czegoś przez władze federalne: jest jakaś autonomia

notę przepisów dużo więcej i w szybszym tempie.

Polityka handlowa i celna jest w gestii amerykańskiej federacji i brukselskiej centrali. Natomiast w kwestii podatków w USA nie obowiązuje podatek obrotowy na poziomie federalnym (w pięciu stanach: Alaska, Delaware, Montana, New Hampshire i Oregon w ogóle nie obowiązuje podatek obrotowy od sprzedaży), a w UE nie tylko jest obowiązkowy, lecz także ustalono minimalny poziom podatku VAT (15 proc.) i stawki obniżonej (5 proc.). Dodatkowo mamy całe mnóstwo europodatków. Amerykański system edukacji jest wysoce zdecentralizowany. Prezydent elekt Donald Trump zapowiedział, że władze centralne w ogóle mają przestać zajmować się edukacją. Tymczasem Parlament Europejski przyjął rezolucję w sprawie europejskiej świadomości historycznej. Widzimy ewolucyjny zanik suwerenności państwowej w UE.

Wszystko zależy od elit politycznych. Partie polityczne najpierw muszą mieć to na swoich sztandarach. A jeżeli tego nie ma, a jest tylko jeden kierunek, to trudno mówić o jakiejś alternatywie. Mamy wyjątkowo pogłębianie federalizacji i centralizacji. Bycie w danej strukturze wymusza osiąganie jakichś kompromisów, też za cenę części suwerenności. To jest istotą Unii Europejskiej, że te państwa, które nawet są sceptyczne wobec Unii, są w niej dalej, realizują swoje interesy. Czyli można prowadzić – albo przynajmniej starać się prowadzić – politykę na tyle suwerenną, żeby wyrwać jak najwięcej, a najmniej dać. To jest moim zdaniem istota suwerenności w Unii Europejskiej.

No dobrze, ale jeśli praktycznie w stu procentach musimy implementować unijne prawo, to jak możemy mówić o suwerenności, skoro o tym prawnie decyduje ktoś inny, ktoś spoza Polski?

Unioentuzjaści mówią: bo podpisaliśmy, bo się zgodziliśmy. I w każdej chwili możemy przestać się zgadzać. Wszystko zależy od tego, na jakiej płaszczyźnie byśmy to rozpatrywali. Jeżeli na płaszczyźnie kompetencji zarezerwowanych – bo tu znowu wracamy do tego, kto ma jakie kompetencje – to władze stanowe wiele rzeczy regulują na własną rękę. W przypadku Unii Europejskiej zależy, którą kwestię byśmy wzięli do rozpatrzenia.

Jednak Bruksela właściwie ingeruje prawie w każdy aspekt naszego życia, a na dodatek zmiana traktatów spowoduje, że będzie to jeszcze bardziej centralizowane.

Trend jest w jednym kierunku, ale warto jeszcze poruszyć taką kwestię, że środowiska uniosceptyczne, o ile kiedyś mówiły o wychodzeniu z Unii, o tyle dzisiaj mówią: „Spróbujmy inaczej, spróbujmy wygrać wybory i przejąć tę Brukselę”. Środowiska skupione wokół Marine Le Pen, Viktora Orbána, Santiaga Abascale z partii VOX w Hiszpanii przyjmują bardzo często w swojej taktyce politycznej podejście, żeby jednak te wybory wygrać. Mówią: „Może nie rozwalimy tej Unii od wewnątrz, ale spróbujmy wygrać wybory w poszczególnych krajach, zdobyć większość, a wtedy będziemy mogli coś luzować czy zmieniać prawo na korzyść, powiedzmy, wspólnoty suwerennych państw czy państw narodowych”. To mogłoby prowadzić do wycofania się Brukseli z wielu obszarów działania, zmniejszania jej kompetencji. Jeżeli ruchy uniosceptyczne będą zdobywały większość w krajach wiodących, takich jak Francja, Niemcy. No i oczywiście wsparte ze strony tych mniejszych państw, takich jak Polska, Słowacja czy Węgry.

Myśli pan, że byłoby to możliwe?

Wszystko zależy od samych państw europejskich i postawy ich polityków. Ostateczny kształt UE nie jest jeszcze znany ani przesądzony.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Karol Mazur – absolwent studiów podyplomowych Instytutu Studiów Politycznych PAN i Collegium Civitas, publicysta amerykańskich think tanków, aktualnie przygotowuje pracę doktorską na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego.



Maciej Pieczyński

Proza, dramaturgia i poezja stały się istotnymi narzędziami rosyjskiej propagandy wojennej. Z-literatura to z reguły siemienno „twórczość” żołnierzy, którzy nadal walczą na wojnie, tyle że zamienili karabin na pióro. W morzu grafomanii trafiają się teksty sprawnie napisane

Na wojnie każdy nowy dzień witasz, jakby był pierwszym, ponieważ może okazać się ostatnim. Negatywne emocje, urazy, którymi dosłownie przesiąknąłem przez półtora miesiąca przebywania w cywilu, już [po powrocie na front – przyp. red.] zniknęły. Serce wypełniło się szlachetnym światłem i miłością” – pisze Dmitrij Artis w swoim „Dzienniku ochotnika”, wydanym w 2024 r. Jak w przedmowie zapewnia najpopularniejszy rosyjski pisarz Zachar Prilepin, w książce można znaleźć „tuzin autentycznych portretów, jeśli chcecie się dowiedzieć, kto walczy na tej wojnie”, „dwa tuziny dokładnie podsłuchanych dialogów, jeśli chcecie się dowiedzieć, o czym myślą i mówią uczestnicy tej wojny”. Według Prilepina Artis pisze „o wojnie, o sile ducha i o miłości do ojczyzny”. „Z pewnością w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nie widziałem takiej liczby szlachetnych, wspaniałych ludzi, jakich spotkałem, znajdując się na linii rozgraniczenia, w okopach” – przyznaje autor. „Dziennik ochotnika” w sposób typowy dla Z-literatury łączy w sobie nadęty patriotyczny patos, naturalistyczne, choć czasem nazbyt szczegółowe, pełne żołnierskiego slangu i specjalistycznej terminologii, a przez to nudnawe opisy walk i życia codziennego w okopach oraz brutalny, często wulgarny język. Czytelnik zostaje ostrzeżony, że to „dzieło” zawiera „niecenzuralne przekleństwa”. Autor wyznaje miłość Rosji i nienawiść do Ukrainy, po czym dzieli się szczegółami swojego erotycznego snu o „nieziemsko pięknej Chince”, z którą zrobił „wszystko, o co poprosiła”.

Artis jeszcze przed wojną pisał wiersze, był laureatem nagród literackich. „Oni są takimi samymi Rosjanami jak wy. No, nazywa się ich chochłami albo Ukraińcami. Oni też jakby walczą o swoją ziemię. Ale jest ogromna różnica: jedni [Rosjanie – przyp. red.] walczą o swoją ziemię, o swoją ojczyznę, a drudzy [Ukraińcy – przyp. red.] – o prawo do sprzedawania tej ojczyzny” – tak portal niezależnej telewizji „Nastojaszczije wriemia” cytuje wypowiedź Artisa z jednego z licznych spotkań autorskich.

IDEOWI ROSJANIE VERSUS ZŁE ELITY

Z-literatura w dużej mierze wywodzi się z dwóch pokrewnych gałęzi prowojennej rosyjskiej propagandy – mediów społecznościowych oraz mediów tradycyjnych. Jej twórcami są bowiem często poczynni autorzy Z-kanalów na Telegramie czy korespondenci wojenni

to nie Rosja, tylko Ukraina odpowiada za zrównanie z ziemią ich domów. I dodaje: „Podziękujcie ukraińskiej władzy, że napakowała miasto nazistami i bronią”. Tę historię wojenkor „Komsomolskiej Prawdy” opisał w powieści „Niepokojący ogień” („Bespokojaszczij ogoń”).

Litera „Z” nie ominęła również dramaturgii. Jesienią 2022 r. Związek Pracowników Teatrów Rosji, przy wsparciu Ministerstwa Kultury, ogłosił konkurs sztuk prowojennych „Nowe czasy. Nowi bohaterowie”. Zwyciężył dramat „Pseudonim »Światło«” Michaiła Umnowa – opowieść o młodym malarzu, który jako wolontariusz zawozi pomoc humanitarną dla mieszkańców Donbasu. Robi to wbrew swojemu wielkomiejskiemu otoczeniu – zdemoralizowani artyści i zdegenerowani urzędnicy nie rozumieją tego szlachetnego postępowania. To typowy dla Z-literatury kontrast: prości, ideowi Rosjanie versus złe, bezideowe

Ofensywa Z-literatury

(tzw. wojenkorzy), a nierzadko propagandyści, występujący w obu tych rolach. Takim przypadkiem jest Dmitrij Sielezniow piszący dla „Komsomolskiej Prawdy”. „Nie jesteśmy bydłakami. Batalion „Azow” to bydłaki. Oni popierają Hitlera, kochają swastykę, ich prezydent Zełenski, ten przekłety narkoman (ros. narkoman czertow), pietruszka [postać z rosyjskiego teatru kukiełkowego – przyp. red.], sterowany przez Amerykosów [pogardliwie o Amerykanach – przyp. red.]. Swoim wyborcom obiecał, że zakończy wojnę, która w efekcie tylko rozgorzała” – w ten sposób Sielezniow przekonuje mieszkańców Mariupola, że

elity. Czytelnik sztuki czy widz spektaklu nie dowie się, kto tę wojnę wywołał. Igor Czerlak, autor sztuki „Dotąd, potem i teraz” (drugie miejsce), jako jedyny z trojga laureatów ma za sobą zarówno bogate doświadczenie literackie (uczestnik licznych prestiżowych festiwali dramatycznych), jak i militarne (służył w milicji tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej). Jego sztuka to przypowieść o rosyjskich kobietach, które od zawsze czekają na powrót z frontu swoich mężczyzn, którzy kiedyś walczyli z niemieckimi, dziś zaś – z ukraińskimi nazistami. Trzecie miejsce w konkursie zajęła sztuka „Klepsydra” Walerii Janyszewej. Akcja rozgrywa



■ się w „Donieckiej Republice Ludowej niedługo przed rozpoczęciem specjalnej operacji wojskowej”. Sztuka w sposób niezamierzenie karykaturalny przedstawia najbardziej rozpowszechnione antyukraińskie stereotypy. Jedną z głównych bohaterek, córką Polaka i Żydówki Sonia, zostaje zgwałcona przez członków nacjonalistycznej bojówki „Synowie Bandery”, która grasuje po ulicach małego donbaskiego miasteczka, prześladując wszystkie mniejszości narodowe. Bojówkarze podpalają domy, samochody, a nawet cerkwie, jeżdżą po ulicach z karabinami maszynowymi, wykrzykując: „Sława Ukrainie! Zdychajcie, Moskale!”. Ojciec Soni, Mateusz, to stereotypowy Polak, znany z rosyjskiej propagandy – zadufany w sobie szowinista, który gardzi Żydami i Cyganami, co ponad podziałami łączy go z ukraińskimi nacjonalistami.

PROROCSTWO PRILEPINA

Nieformalnym patronem Z-literatury jest wspomniany już Zachar Prilepin. Debiutował w 2005 r. powieścią „Patologie” o wojnie w Czeczenii, w której sam walczył. Pisarz realista, publicysta, polityk, żołnierz, narodowy bolszewik, który poparł Putina po aneksji Krymu. Jako bez wątpienia najwybitniejszy (i najstarszy stażem) Z-pisarz, niegdyś nawet chwalony przez liberalne salony literackie, ochoczo promuje twórczość młodszych i mniej uzdolnionych kolegów. Swoim nazwiskiem firmuje m.in. wydany jesienią 2024 r. tom „Poezja zimy rosyjskiej”. Co znamienne, ten zbiór wierszy, wychwalających „specoperację”, ukazał się pod redakcją redaktora naczelnej RT Margarity Simonian, bodaj najważniejszej propagandystki Kremla. Pierwszy tom – „Poezja lata rosyjskiego” – ukazał się już w 2022 r.

Prilepin sam jest weteranem zarówno literackiej, jak i militarnej walki z Ukrainą. Podczas hybrydowego etapu wojny był zastępcą dowódcy batalionu separatystów i doradcą lidera tzw. Donieckiej Republiki Ludowej Aleksandra Zacharczenki – tę „przygodę” opisał w autobiograficznej powieści „Niektoży nie trafią do piekła”. Przedstawił tam wyidealizowany obraz dyktatora DRL jako dobrego, choć surowego ojca narodu, między wierszami narzekając, że Moskwa za mało pomaga „donbaskim bohaterom”. 18 lutego 2022 r., w rocznicę śmierci



FOT. ADRIAN STOLCZYŃSKI / GREEK

Tulenkow przyznaje, że on i jemu podobni byli traktowani jak mięso armatnie

rodzonego ojca, Prilepinowi – jakoby – przyśnił się uśmiechnięty „ojciec narodu”. Według pisarza to było proroctwo – we śnie Zacharczenko cieszył się, bo już wiedział, że za parę dni Rosja ruszy na Kijów. Opis tego snu stanowi treść jednego z esejów, zebranych w książce „Koordynata Z”, wydanej akurat niedługo po nieudanym zamachu na Prilepina. To jednak nie tyle literatura (choćby najgorszego sortu), ile publicystyka. Zestaw dobrze znanych imperialnych tez o Ukraińcach, którzy zdradzili swoją rosyjską tożsamość i sprzymierzyli się ze złym, antyrosyjskim Zachodem.

Najciekawszym i najlepiej napisanym dziełem (w tym wypadku obejdzie się bez cudzysłowu) Z-literatury jest z pewnością „Sztorm Z. Nie macie innych nas” Daniły Tulenkowa – powieść o walkach pod Robotynem, w których uczestniczył autor.

Przed wojną Tulenkov był przedsiębiorcą. W kwietniu 2022 r. został skazany na siedem lat kolonii karnej za oszustwo, którego się notabene wypiera. Zza krat na własne życzenie trafił na front.

Tytułowy Sztorm Z to podległa Ministerstwu Obrony formacja, w której służą więźniowie – na wzór sowieckich batalionów karnych. Tulenkov przyznaje, że on i jemu podobni byli traktowani jak mięso armatnie. Ich powrót z frontu nie był dla władz pożądanym. Autor jednak zapewnia, że świadomie zgodził się na takie reguły gry, wiedząc, że to jedyna droga na wolność. W książce opisuje kontrast między szarym, monotonnym życiem więźnia a „fontanną emocji i barw”, które niesie ze sobą wojna. To jednak nie oznacza, że „Sztorm Z...” to kolejny patetyczny obraz propagandowy, z daleka epatujący sztucznością i szampą. Książka pełna jest gorzkiej autoironii. „Mówią o nas jak o superwojownikach, zdolnych czynić cuda. A jacy z nas superwojownicy? Zwykli przestępcy kryminalni, zwerbowani z różnych rosyjskich więzień, z dwutygodniowym przygotowaniem do walki” – pisze Tulenkov.

Samego siebie przedstawia jako „chudego okularnika”, który przed prostymi



żołnierzami popisywał się znajomością historii. Jednocześnie przyznawał: „Nie jestem żadnym bohaterem. Ale jestem prawdziwy”. Stąd podtytuł powieści: „Nie macie innych nas”. Czyli, innymi słowy: „Drodzy czytelnicy, my, żołnierze rosyjscy, nie jesteśmy idealni, ale innych, niż my, nie będzie”. Podobnie opisywał swoich towarzyszy broni. To barwna galeria złożonych, często nieoczywistych postaci. Sympatyczny alkoholik Wania siedział za pobiciem, a na froncie po pijanemu zgubił karabin maszynowy. Były milicjant mister Grozny brutalnie i z byle powodu bił poborowych, ale w okopach wykazywał się męstwem. Karykaturalnie przedstawiony mister Basmacz zagrzewał do boju młodszych kolegów i kazał im zabijać wroga bez litości, sam zaś ze strachu unikał udziału w walce i okradał poległych. Tulenkov jest wyrozumiały dla ludzkich słabości. Opisuje historię żołnierza, który, ciężko ranny na polu walki, dobrowolnie poddaje się Ukraińcom, ci zaś go dobijają. Siostra zabitego nie chce uwierzyć w tę wersję, to by bowiem oznaczało, że jej brat okazał się zdrajcą. Tulenkov gorzko stwierdził, że podczas gdy nikt z towarzyszy broni nie potępił zachowania rannego kolegi, tej ludzkiej słabości nie potrafiła zrozumieć

dziewczyna z wielkiego miasta, niemająca pojęcia o sytuacji na wojnie. Sam autor przyznaje zresztą, że zdarzało mu się, pod presją starszych kolegów, unikać wykonania zadania bojowego. Armia rosyjska, widziana oczami Tulenkowa, to armia pełna tchórzów, alkoholików, degeneratów, lawirantów, narkomanów, złodziei, a także zbrodniarzy wojennych, rozstrzeliwujących jeńców. Pod tym ostatnim względem autor niemalże stawia znak równości między Rosjanami a Ukraińcami. Jak podkreśla, jedyne całkowicie niewinne ofiary tej wojny to... zwierzęta. Książka Tulenkowa wzbudziła zachwyt „partii wojny”, wojenkorów, Z-bloggerów i Z-pisarzy.

GWIAZDA MEDIÓW

Autor, jak wielu jego towarzyszy pióra, stał się gwiazdą mediów. Co jednak symptomatyczne, na prośbę Ministerstwa Obrony musiał usunąć konto na Telegramie, gdzie publikował podobne treści co w książce. Możliwe, że również powieść trafiłaby na indeks, gdyby władze uważnie się nią wczytały. To w końcu w dużej mierze „dyskredytacja armii”. Jak słusznie zauważył jeden z recenzentów, Jegor Chołmogorow, „Sztorm Z” łączy w sobie elementy prozy wojennej i prozy łagrowej.

I to czyni tę książkę symbolem współczesnej oficjalnej kultury rosyjskiej, która fascynację przestępczością łączy z pochwałą inwazji na Ukrainę.

Tego ostatniego też u Tulenkowa znajdziemy mnóstwo. „U chochłów wszystko jest z gówna i patyków: kraj, naród, kultura, historia i oczywiście domy” – pisze autor, który czasem podziwia Ukraińców jako godnego przeciwnika, częściej jednak okazuje im pogardę, zarzucając m.in. tchórzostwo i cwaniactwo, które kazał jakoby chętnie oddawać się do niewoli (bo rzekomo Rosjanie rzadziej zabijają jeńców). A w Epilogu pisarz porzuca manierę ironicznego obserwatora i uderza w patriotyczny patos. Jak twierdzi, jego antyzachodnie poglądy ukształtowały się pod wpływem NATO-wskich nalotów na Jugosławię w 1999 r., które potraktował jako... atak na Rosję (zgodnie z kremłowską linią narracyjną). Kiedyś wszyscy Rosjanie „marzyli o pracy w McDonald”, ale na szczęście przyszło otrzeźwienie. Ukrainę, sprzymierzoną z Zachodem, Tulenkov nazywa „burdelem (ros. bladskij dom, dosłownie dom kurw), zamieszkałym przez wiedźmy”, w którym „na tapczanie leży pijany Taras bez spodni”. Gdy Rosjanie wyważyli drzwi, rzucił się do walki, myśląc, że broni własnej posesji. „Nie ma już twojego domu, wiedźmy go sprzedały Amerykanom – »zwraca się« autor do Tarasa. – I tak w ogóle to nie przyszliśmy do ciebie [...], tylko do (prawdziwych) gospodarzy tego burdelu”.

Tulenkov wprost pisze, że uważa cele „specoperacji” za nierealistyczne, że ma pretensje do rosyjskich polityków, którzy tylko czekają, aż będą mogli porozumieć się z Zachodem. A jednak zaznacza: „Nikt nie może zwątpić w armię i flotę”. Ostatecznie więc „Sztorm Z” może być o wiele bardziej skutecznym narzędziem wojennej propagandy niż patriotyczno-patetyczna grafomania innych Z-auto-rów. Paradoksalnie relatywnie szczerze opisane patologie armii agresora czynią przekaz Tulenkowa bardziej autentycznym. A kultura rosyjska na paradoksach i światłocieniach jest zbudowana. Jak zauważał Dostojewski, „trzeba zgrzeszyć, żeby się pokajać”. Zbrodnia i patriotyzm, przestępczość i wojna bynajmniej się wzajemnie nie wykluczają w tym konkretnym, rosyjskim przypadku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Odszkodowania za niewolnictwo?



Teresa Stylińska

Rozumiem, jaką siłę mają uczucia. My jednak chcemy patrzeć w przyszłość, a nie oglądać się za siebie – powiedział brytyjski premier, Keir Starmer, po niedawnym szczycie państw Commonwealthu. Aby sprawa była jasna, dodał, że podczas obrad „o pieniądzu w ogóle nie było mowy”.

Tą lapidarną wypowiedzią nie wprost, ale w sposób całkowicie czytelny premier, który po raz pierwszy uczestniczył w spotkaniu przywódców Wspólnoty Narodów, rozproszył nadzieje dawnych kolonii, które coraz usilniej domagają się odszkodowań za czasy niewolnictwa i kolonializmu. Nadzieje ożywiła niedawna zmiana rządu, można było bowiem zakładać, że Partia Pracy na tym arcytrudnym polu okaże się bardziej ustępliwa niż konserwatyści. To laburzystowski premier Tony Blair w 2007 r. wyraził ubolewanie z powodu niewolnictwa (co skądinąd pozostało bez wymiernych skutków), a w obecnym rządzie Starmera eksponowane stanowisko ministra spraw zagranicznych zajmuje David Lammy, potomek niewolników z Gujany.

Nadzieje okazały się płonne. Rząd Wielkiej Brytanii może się zmienić, ale w niczym nie zmienia to linii, którą władze brytyjskie przyjęły w sprawie odszkodowań. Mieszkańcy dawnych brytyjskich kolonii nie mają co liczyć na to, że wyzysk, którego doświadczali ich przodkowie, na czele z pracą niewolniczą, zostanie im wynagrodzony. Z całą pewnością – co podczas swej niedawnej wizyty w Nigerii podkreślił właśnie David Lammy – „nie może być mowy o żadnych transferach pieniężnych”. Na tę kwestię laburzyści zapatrują się dokładnie tak samo jak konserwatyści.

Jest jednak także druga strona medalu. Czy kolonie, z punktu widzenia metropolii, to tylko miejsce eksploatacji i cierpień czy może także przedmiot misji cywilizacyjnej? Robert Jenrick, eksminister i jeden z czołowych polityków Partii Konserwatywnej, podniósł tę kwestię ostatnio, gdy starał się o funkcję lidera swej partii. Dzięki brytyjskiemu impe-

rium napisał w dzienniku „Daily Mail”, że kraje Commonwealthu mają instytucje demokratyczne. Zamiast domagać się odszkodowań za niewolnictwo, winne są Wielkiej Brytanii wdzięczność.

100 BLN FUNTÓW

Nie tylko partie są zgodne. Identyczne stanowisko zajmują wszystkie dawne mocarstwa kolonialne: Wielka Brytania, Francja, Hiszpania, Portugalia, Holandia i Belgia. Jakież pieniądze dla współczesnych potomków niewolników może wysupłać ta czy inna instytucja – np. Kościół Anglii, który przeznaczył na ten cel 100 mln funtów, czy uniwersytet w Glasgow z 20 mln funtów. Żadne państwo nie zamierza tego robić. Również dlatego, że żadne nie byłoby w stanie udźwignąć ciężaru roszczeń, których łączna suma przekracza 100 bln funtów! Żadne też, poza Holandią, nie przeprosiło oficjalnie za niewolnictwo – właśnie dlatego, że przeprosiny można uznać za formalne uznanie swej winy, a to mogłoby stanowić punkt wyjścia do formułowania żądań.

Niemniej temat reparacji staje się coraz bardziej gorący. Na próżno rząd brytyjski starał się podczas wspomnianego szczytu Commonwealthu na Samoa trzymać bezpiecznych kwestii współpracy gospodarczej i – jakżeby inaczej? – zmian klimatycznych. Państwa karaibskie, najbardziej aktywne, przeforsowały umieszczenie w końcowym komunikacie szczytu wzmianki o odszkodowaniach. „Nadszedł czas, by wreszcie się tym zająć” – uważają. Z samego tego stwierdzenia na razie praktycznie nic nie wynika, widać jednak, jak bardzo zdeterminowane są dawne kolonie.

Przedstawiciele CARICOM, Wspólnoty Karaibskiej, nie pomijają więc żadnej okazji, by upomnieć się o reparacje. Na poparcie swych oczekiwań przedstawiają z jednej strony oczywiste argumenty moralne, z drugiej zaś odwołujące się do nie mniej oczywistych korzyści gospodarczych. Praca niewolników, przewożonych z Afryki do kolonii w obu Amerykach i w strefie Oceanu Indyjskiego, stworzyła podwaliny potęgi gospodarczej i handlowej mocarstw kolonialnych. To niewolnicy – przypominają – zbudowali bogactwo narodów, kompanii handlowych prowadzących interesy w zamorskich krainach,

plantatorów i przedsiębiorców, a także, rzecz jasna, zachodnich monarchii.

W jakim stopniu? To według specjalistów da się wyliczyć. Raport opracowany niedawno przez badaczy holenderskich stwierdza np., że w samej tylko prowincji Holandii aż 40 proc. wzrostu w ciągu XVIII w. uzyskano dzięki pracy niewolniczej. Holandia – jak w rozmowie z BBC zauważył Pepijn Brandon, profesor historii gospodarczej na Wolnym Uniwersytecie w Amsterdamie – jest jednym z tych krajów Europy, które najwięcej zyskały na pracy niewolniczej.

12 MLN NIEWOLNIKÓW

W ciągu ponad trzech stuleci, od XV w. do połowy XIX w., statki handlarzy niewolników wywoziły z Afryki ok. 12 mln ludzi. Na tym szczególnym polu Brytyjczy, chociaż to oni stworzyli najpotężniejsze imperium kolonialne, zajmują dopiero drugie miejsce, z 3,2 mln przewiezionych. Rekordzistami są Portugalczycy, którzy wywieźli 6 mln Afrykanów. Francuzi mają na sumieniu 1,3 mln, Holendrzy „tylko” 600 tys.

Ile zatem powinny dzisiaj zapłacić dawne państwa kolonialne? Wspomniana kwota 100 bln funtów – jak niektórzy oceniają, absolutne minimum – jest efektem szacunków dokonanych przez amerykańską firmę konsultingową Brattle Group. Pod uwagę wzięto rozmiary handlu niewolnikami, straty i cierpienia jednej strony, nie tylko wywiezionych, lecz także ich potomków w kolejnych pokoleniach, wreszcie zyski, które metropoliom kolonialnym przynosiła niewolnicza praca na plantacjach bawełny, kawy, tytoniu, trzciny cukrowej czy przy wydobywaniu bogactw naturalnych.

Wśród państw europejskich najwięcej według tych wyliczeń powinna zapłacić Wielka Brytania – ponad 20 bln, następnie Hiszpania – prawie 18 bln, Portugalia – 17,5 bln i Francja – prawie 9 bln. Wszystkich jednak zdystansowały Stany Zjednoczone z kwotą blisko 29 bln. Te kwoty robią wrażenie, tym bardziej że – na pewno dzisiaj, a pewnie i w przyszłości – są nie do wygłaskiwania. Bo żadne państwo nie widzi pola ani powodu do ustępstw.

Rzecz nie tylko w tym, że odszkodowania na tak astronomiczną sumę przekraczają możliwości finansowe nawet najbogatszych krajów. Wypłacenie



■ ogromnych reparacji, nawet rozłożone w czasie, musiałyby odbyć się kosztem własnych obywateli; konieczne byłoby ograniczenie przeznaczonych dla nich usług i świadczeń. Dla polityków to wielkie ryzyko i nic dziwnego, że nikt nie chce go podjąć.

Brytyjczycy natomiast chętnie przypominają, że jako pierwsi położyli kres niewolnictwu – co poniekąd równoważy przeszłe grzechy. Uczynili to z własnej woli, bez żadnych nacisków z zewnątrz (o co zresztą na przełomie wieków XVIII i XIX byłoby trudno), wyłącznie pod wpływem impulsu moralnego, który kazał świadomym obywatelom domagać się, by nieludzka praktyka niewolenia innych została zakazana. W 2007 r. bardzo uroczystie obchodzono 200. rocznicę uchwalenia zakazu handlu niewolnikami w imperium brytyjskim i przewożenia ich brytyjskimi statkami. Inicjator tego aktu, William Wilberforce, jest powszechnie uważany za jedną z najbardziej zasłużonych postaci w historii Wielkiej Brytanii.

Owa pierwsza ustawa utorowała drogę ostatecznemu zakazaniu niewolnictwa, co nastąpiło w 1833 r. W 1848 r. w ślady Wielkiej Brytanii poszła Francja.

PRZEPROSINY RZADKO PRAKTYKOWANE

Przeprosiny za niewolnictwo są mile widziane i oczekiwane, jednak z uwagi na możliwe finansowe konsekwencje mało praktykowane – nawet jeśli z ust części działaczy i polityków padają słowa o powinnościach moralnych.

Przedstawiciele dawnych metropolii kolonialnych starannie dobierają więc słowa, starając się raczej wyrażać żal i współczucie dla ofiar i potępiając niewolnictwo jako praktykę nieludzką – jak to uczynili król Karol, gdy jeszcze jako następca tronu uczestniczył w szczycie Commonwealthu, i książę William podczas ubiegłorocznej oficjalnej podróży do krajów karaibskich. Ich deklaracje nie miały charakteru formalnych przeprosin i nic z nich konkretnego nie wynikało – bo też nie miało wynikać. Podobnie jak z tego, że we Francji od 2001 r. niewolnictwo jest uznawane za zbrodnię przeciwko ludzkości, a 10 maja jest narodowym dniem upamiętnienia niewolnictwa.

Na formalne przeprosiny jak dotąd zdobyli się jedynie Holendrzy – król

Wilhelm Aleksander i Mark Rutte, do niedawna premier. I król, i rząd złożyli również solenne obietnice, które mają choć trochę zaspokoić oczekiwania mieszkańców holenderskich kolonii. Przewiduje się upamiętnienie cierpień niewolników, prowadzenie badań i wyasygnowanie środków na stworzenie muzeum niewolnictwa. O reparacjach oczywiście nie ma mowy.

Istnieją jednak pewne formy materialnego zadośćuczynienia, bardziej realne, po które może sięgnąć każde z mocarstw kolonialnych. W grę wchodzi np. umorzenie całości lub części zadłużenia dawnych kolonii bądź też rozłożenie jego spłaty na dłuższy czas. Rozważane są także rozmaite formy konkretnej pomocy na cele społeczne, takie jak edukacja czy ochrona zdrowia.

Ta ostatnia zwłaszcza przedstawiana jest jako wyjątkowo ważna. Jak bowiem twierdzą współcześni potomkowie niewolników, jeszcze dzisiaj na ich zdrowiu fatalnie odbijają się skutki nędzy, złego odżywiania i pracy ponad siły, skumulowane przez kolejne pokolenia. Tego rodzaju poglądy nie zawsze jednak są traktowane z należytą powagą. Oto francuskie sądy w kolejnych instancjach odrzuciły zbiorowy wniosek 26 osób i trzech organizacji pozarządowych z Martyniki domagających się odszkodowania za zły stan zdrowia odziedziczony po przodkach niewolnikach. Sąd kasacyjny, najwyższa instancja odwoławcza Francji, orzekł, że nic na to nie wskazuje.

GEST IDEOWO SŁUSZNY

Realnie natomiast wygląda sprawa obietnic z dziedziny szeroko pojętej kultury i nauki. Mieszczą się w nich prowadzenie badań nad niewolnictwem, popularyzacja tego tematu w formie prelekcji, konferencji naukowych i wystaw, miejsce dla niewolnictwa i kolonializmu w programach szkolnych, uroczystości upamiętniające niewolnictwo plus wspomniane tworzenie muzeów. Król Karol obiecał, że przebadana zostanie kwestia, jak na niewolnictwie mogła zyskiwać brytyjska monarchia, a paryski Luwr zapowiedział, że będzie się starał pokazać, jaki wpływ na sztukę francuską miało niewolnictwo.

Wszystko to nie pociąga za sobą wielkich kosztów, a daje efekty, jest dobrze widoczne i powinno zadowolić potomków

niewolników. Jest tylko jedno ale: takie poczynania, obliczone na zaspokojenie oczekiwań kolonii, w Europie niekoniecznie muszą się podobać. Niejeden uzna, że tego rodzaju zabiegi to gruba przesada. Holandia uchodzi za kraj aż nadto postępowy i otwarty, a mimo to większość Holendrów źle odebrała przeprosiny ze strony króla i premiera. Aż połowa nie zaakceptowała ich pojednawczych gestów.

Można tu jednak nieco przewrócić nie postawić pytanie: Czy odrzucanie wszystkiego, co w jakiś sposób wiązało się z koloniami i niewolnictwem, było przejawem sprzeciwu czy może raczej zacierania niemiłych śladów? Oto złota kareta, którą holenderscy królowie od ponad 100 lat udawali się do parlamentu, została odstawiona do muzeum. Król nie będzie już z niej korzystać, ponieważ złoto, którym została pokryta, pochodziło z Surinamu, dawnej Gujany Holenderskiej, na domiar złego zaś zdobiące ją dekoracje przedstawiają sceny z kolonii. W Wielkiej Brytanii z kolei budynki użyteczności publicznej, sale uniwersyteckie czy szpitale ufundowane niegdyś przez bogatych filantropów, którzy dorobili się majątku w koloniach, nie będą już nosić imion fundatorów. Słynna ulica Penny Lane w Liverpoolu uratowała się wyłącznie dzięki Beatlesom, którzy ją rozstawili. Kojarzy się dziś bardziej z piosenką niż z Jamesem Pennym, handlarzem niewolników i właścicielem statków, które przewoziły ich do Ameryki.

Tymczasem premier Keir Starmer, choć reparacje wyklucza – a może właśnie dlatego? – zdobył się na słuszny ideowo gest sprzeciwu wobec niewolnictwa: tuż po objęciu stanowiska kazał usunąć portret Williama Gladstone'a ze swego biura na Downing Street. Gladstone jest uważany za jednego z najwybitniejszych brytyjskich premierów. Cóż z tego jednak, skoro rodzina Gladstone'ów posiadała na Karaibach plantacje i niewolników?

Odnötujmy na koniec słowa premiera Bahamów Philipa Davisa, który przy okazji szczytu Commonwealthu wyjaśniał, na czym najbardziej zależy dawnym koloniom: – Nie chodzi nam o przeprosiny. Nie chodzi nam o pieniądze. Chodzi nam o to, by nas rozumiano. By pojęto, co spotkało naszych przodków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Miałem sen

Miałem sen. Wreszcie – na gruzach zmiecionej z powierzchni ziemi przez wolnych Europejczyków Unii Europejskiej – powstała Unia Wolnych Państw Europy.

Wszyscy – co do jednego – unijczyzy oraz wszyscy – co do jednego – eurokraci zostali przegnani z Brukseli na cztery wiatry – przy aplauzie setek milionów Europejczyków.

Przegnani na cztery wiatry i oczywiście pozbawieni wszystkich swoich unijnych apanaży – ogromnych europensji i eurodotacji, w tym eurokilometrówek oraz nie mniejszych euroodpraw i euroemerytur. Wszystko zostało im odebrane w majestacie prawa.

A w budynkach po Komisji Europejskiej i tzw. Parlamencie Europejskim jak grzyby po deszczu powstają jedna po drugiej prywatne firmy. Powstało tam też – w jednym z gmachów – Muzeum Koszmaru Zielonego Ładu, w tym sala strachów im. Fransa Timmermansa, gdzie z najmniejszymi szczegółami obliczono i zobrazowano, do jakiej to hekatombi zamierzali doprowadzić Europę działający wspólnie i w porozumieniu – jako zorganizowana grupa przestępcza – Frans Timmermans i jego współpracownicy od tzw. Zielonego Ładu. A także kto – czyli jakie firmy: niemieckie, francuskie, belgijskie, holenderskie, włoskie – i o ile setek miliardów euro już się wzbogaciły i jeszcze miały się wzbogacić na pogłębiają-

cej się przez tzw. Zielony Ład nędzy obywateli państw UE – oczywiście głównie państw ze środkowej Europy.

Przekręt ten – doskonale już rozszyfrowany – znany (i tak właśnie przedstawiany w Muzeum Koszmaru Zielonego Ładu) jako największa od czasów kolonializmu próba wyłączenia przez państwa Europy Zachodniej innych narodów i państw – tym razem nie z Azji, nie z Afryki i nie z obu Ameryk, lecz z Europy Środkowej.

To bowiem właśnie państwa tzw. starej Unii, czyli z Europy Zachodniej, zmówiły się, że zmuszą państwa tzw. nowej Unii, czyli z Europy Środkowej, najpierw do zamknięcia wszystkich kopalni węgla i zasilanych nim elektrowni i ciepłowni, a potem do kupowania od firm z państw tzw. starej Unii nowych źródeł zasilania w energię elektryczną i grzewczą oraz materiałów do ocieplenia domów. A także do wydawania kolejnych kroci na zakup od firm z Europy Zachodniej aut elektrycznych – zamiast spalinowych, których będą zmuszeni się pozbyć.

Na szczęście – miałem sen! – plan ten kolonizatorom z Europy Zachodniej się nie powiódł, bo obywatele państw Europy Środkowej zbuntowali się i odrzucili ich neokolonialny dyktat. A korzystając ze wsparcia części narodów tzw. Starej Europy, udało się im odrzucić cały neokolonialny porządek Unii Europejskiej. I nareszcie zamienić ją w Unię Wolnych Państw Europy. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Putin nade wszystko

Premier Donald Tusk piszący z nieukrywanym zachwytem o sukcesie syryjskiej, islamistycznej Hajat Tahrir asz-Szam to nie tylko absurdalny skręt historii. To także świadectwo całkowitego odejścia od jakiegokolwiek merytoryki w przekazie współczesnych postpolityków. W głośnym wpisie Donalda Tuska na X, poczynionym zresztą tylko po angielsku, mowa jest przede wszystkim o tym, że sukces HTS uświadamia nam, że „Rosja i jej

dla wszystkich”, ale trzeba być kompletnym ignorantem, żeby w takie zapewnienia ze strony islamisty uwierzyć.

Nie ma oczywiście problemu traktowania chrześcijan, bo ci pana Tuska w ogóle nie obchodzą. W tym kontekście w rozmowie z „Rzeczpospolitą” prof. Jean-François Colosimo, ekspert od tych spraw, powiedział: „Nie ma umiarkowanych islamistów”.

Nie ma problemu powstającej próżni po upadku reżimu Asada, w którą wjechały już wojska izraelskie, USA uznały zaś – o czym bardzo oszczędnie wypowiedział się prezydent Joe Biden – że trzeba było zaatakować cele Państwa Islamskiego w Syrii, aby nie odniosło sukcesu w próbach odbudowania się wobec upadku władzy.

Żadna z tych spraw nie ma dla polskiego premiera znaczenia. Donald Tusk nie przyjmuje nawet postawy neutralnej, jak zrobił to prezydent elekt Donald Trump. Najważniejszy jest bowiem Putin. W tym sensie rosyjski przywódca odnosi w Polsce olbrzymi sukces: jego decyzje i strategia stają się dla większości polskiej klasy politycznej wyrocznią ostateczną. Gdyby Władimir Putin oświadczył, że niezdrowo jest trzymać głowę pod wodą przez 10 minut, mielibyśmy wśród polskich polityków falę utonąć. Z panem premierem na czele. ©©

**Donald Tusk
nie przyjmuje nawet
postawy neutralnej,
jak prezydent
elekt Donald Trump**

sprzymierzeńcy mogą zostać pokonani”. Innymi słowy – liczy się tylko Putin i jest to jedyny wektor, którym należy się we wszystkim kierować. Inne względy w ogóle nie istnieją.

Nie ma więc przede wszystkim problemu z tym, że choć HTS jest uznawana za bardziej umiarkowaną niż ISIS, to jednak jest to organizacja zdecydowanie islamistyczna, której przywódca, Abu Muhammad al-Dżaulani, deklaruje, że chce zamienić Syrię w islamski kalifat. Dodaje oczywiście, że „Syria będzie

Chińsko-zachodnie grzechy gospodarcze



Agnieszka Couderq

Problemy Chin, które miałyby doprowadzić to państwo do upadku, występują także na Zachodzie. Jeżeli Chiny miałyby rychło runąć, to nie spadną w przepaść same

W niedawnym artykule na portalu Epoch Times dla Hongkongu amerykański dziennikarz James Gorrie wyliczył siedem grzechów gospodarki Chin Ludowych, które według ekspertów spowodują jej ruinę. Według nich proces rozkładu już się zaczął, a jego oznakami są bankructwo w USA oraz niewypłacalność w Chinach jednego z największych na świecie deweloperów nieruchomości –

China Evergrande Corporation. Gospodarcze ramifikacje mają objąć cały glob, a polityczne będą oznaczać gigantyczne problemy dla Komunistycznej Partii Chin. Media światowe donoszą o licznych protestach oszukanych klientów firmy.

Czytając ów artykuł, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że wszystkie ze wspomnianych problemów są mi znane z zachodniego podwórka. Jeśli mają doprowadzić do upadku Chin, to czyż nie do-

prowadzą tak samo do upadku Zachodu? Zobaczmy zatem, jak daleko USA i Polska wraz z Europą znajdują się od krawędzi, za którą czeka je ekonomiczna czeluść.

GRZECH PIERWSZY – NIEEFEKTYWNOŚĆ PRODUKCJI

Przytacza się dane, z których wynika, że produkcja danego produktu w Chinach zużywa 10-krotnie więcej surowców niż w USA. Stąd wysnuty jest



ok. 18 proc. PKB, w Chinach zaś w 2022 r. wynosił ponad 27 proc. – tyle, ile w starych dobrych czasach przemysłowej dominacji Ameryki. Deindustrializacji towarzyszy proces automatyzacji prowadzący do drastycznej redukcji zatrudnienia w przemyśle – w USA to czterokrotny spadek w ciągu dwóch pokoleń.

I o ile postęp technologiczny posuwa się z zawrotną prędkością, o tyle zdolność człowieka i społeczeństwa do niezbędnej adaptacji nie dotrzymuje mu kroku. Przykładami są adwent technologii IT, a ostatnio też AI i wyniki z tego problemy prawne, wychowawcze i psychiczne. Nierealna jest wiara, że w obrębie jednego pokolenia wszyscy pracownicy będą w stanie się przestawić z młotkowych na techników AI. Oznacza to, że obecny model rozwoju gospodarczego na Zachodzie z założenia przyjmuje wyrzucanie rzesz ludzi do kosza. Rodzi się pytanie o celowość takiego rozwoju i jego etyczność. A więc być może Chiny grzeszą nieefektywną produkcją, Zachód zaś jej likwidacją i bezwzględnością tego procesu.

GRZECH DRUGI – INTERWENCJONIZM PAŃSTWOWY

Tutaj chodzi o ręczne sterowanie gospodarką na rzecz celów dyktowanych przez władze lub przez wzgląd na korzyści prywatne jej przedstawicieli. Każdy, kto słyszał o zideologizowanym Zielonym Ładzie i dyrektywie unijnej „Fit for 55”, może śmiało powiedzieć: „A takowe u nas toż jest”.

Pamiętamy akcje ratunkowe z pieniędzy podatników dla banków „too big to fail” upadających w 2008 r. wskutek kryzysu, który same swą chciwością spowodowały (przy wydatnej pomocy rządów). Ostatnio, również w Polsce, nowe „zielone” technologie są ochoczo subsydiowane na koszt zachodniego podatnika, co często prowadzi do wzrostu ich cen w stosunku do tych, które poddyktowałby wolny rynek. Jak chociażby „piece zgazowujące drewno” w programie „Czyste Powietrze”.

O firmach farmaceutycznych, które przytuliły miliardy zielonych na poczet tzw. szczepionek bez gwarancji ich skuteczności, nie będę się rozpisywać. Zresztą od lat w USA funkcjonuje zasada drzwi obrotowych, dzięki której członkowie

wniosek o braku wydajności tamtejszych procesów wytwórczych. Wierzę, że to prawda. Tym niemniej nasuwa się pytanie: Jak to możliwe, że przy kosztach surowców zbliżonych w obydwu krajach to firmy amerykańskie (a także polskie) przenosiły produkcję swych towarów do Chin, a nie na odwrót?

Pomijając racjonalność ekonomiczną (według definicji ekonomia zajmuje się problemem zaspokojenia

nieograniczonych potrzeb ludzi przy jak najmniejszym zużyciu surowców), konflikt etyczny (eliminacja prac we własnym kraju) oraz błąd strategiczny – uzależnienie się od jednego kraju dostawcy – proceder ten doprowadził do deindustrializacji USA. Udział produkcji dóbr trwałych spadł tam ponad dwukrotnie z ok. 28 proc. PKB w 1960 r. do nieco ponad 11 proc. w 2022 r. W Polsce przemysł wytwórczy reprezentuje



■ zarządu korporacji pojawiają się okazjonalnie w roli szefów instytucji je nadzorujących po to, by potem ponownie i „zasłużenie” wrócić na swoje ciepłutkie miejsca w zarządzie.

GRZECH TRZECI – ELIMINACJA KLASY ŚREDNIEJ I MŚP

Duszenie klasy średniej i mord na sektorze małych i średnich przedsiębiorstw bynajmniej nie są jedynie chińską specjalnością. Wręcz przeciwnie, jest to trend obserwowany też na Zachodzie, w tym w USA – kraju będącym ikoną wolnego rynku.

Dziś Stany Zjednoczone są w znacznie mniejszym stopniu narodem przedsiębiorców niż w zeszłym pokoleniu. Nie tylko obserwuje się spadek liczby małych, niezależnych firm, lecz także ich udziału w rynku. Liczba lokalnych banków i unii kredytowych spadła o połowę. Rozpoczęcie nowej działalności stało się trudniejsze. Roczna liczba start-upów obniżyła się o 50 proc. od lat 70. Wraz z eliminacją małych lokalnych banków pogorszył się dostęp MŚP do źródeł kredytu, coraz mocniej kontrolowanych przez finansową oligarchię. Nic dziwnego więc, że większość przedsiębiorców zatrudniających mniej niż 10 osób i reprezentujących ponad 70 proc. liczby firm w Ameryce podaje jako główne źródła finansowania własne oszczędności i wysoko oprocentowane karty kredytowe.

otwartych supermarketów w okresie covidowego szaleństwa z pewnością ma coś z tym wspólnego. Wobec rekordowych kosztów energii, inflacji, podwyżek stóp procentowych oraz zawirowań geopolitycznych raczej nie ma co się spodziewać odwrótu od tej tendencji.

Na marginesie: jeśli chodzi o kondycję klasy średniej mierzoną podziałem dochodów na gospodarstwa domowe (wskaźnik GINI), to z wartością 39,8 za rok 2021 USA nie są lepsze od Chin (37,1). Według badań statystycznych 1 proc. najlepiej zarabiających Amerykanów zgarnia teraz ok. 20 proc. PKB (w 1978 r. było to 11 proc.). W Chinach górny 1 proc., acz podwoił swój udział, zgarnia jeszcze „tylko” 12 proc. PKB. Dodatkowo w latach 1978–2015 Ameryka doświadczyła całkowitego załamania udziału dolnych 50 proc. społeczeństwa w dochodzie narodowym, podczas gdy w Chinach udział w PKB mniej zamożnej połowy społeczeństwa nadal pozostaje wyższy niż górnego 1 proc.

GRZECH CZWARTY – BRAK NADZORU

Zarzut kolejny to brak nadzoru nad jakością produktów. Doprawdy nie rozumiem, o co chodzi. Czy to sugestia, że w Chinach również funkcjonuje ekwiwalent wspomnianych już wyżej „drzwi obrotowych”? A może tam też „publiczne” instytucje nadzoru, takie jak FDA

w 2005 r. ustawy PREP pozwalającej na uznaniowe udzielenie im przez rząd immunitetu od roszczeń z tytułu odpowiedzialności deliktowej. Ustawa ta przydała się niezwykle w okresie COVID-19 i w połączeniu ze zwolnieniem ich z obowiązku dokończenia wymaganych badań klinicznych skutecznie uwolniła te firmy od roszczeń także z tytułu post factum udokumentowanych efektów ubocznych, np. zapalenia mięśnia sercowego lub zakrzepicy. Notabene, niedawno stan Kansas wystąpił z pozwem przeciwko Pfizerowi za „okłamywanie społeczeństwa w sprawie bezpieczeństwa preparatu na COVID-19”. W Europie zabrakło takiej ustawy, ale nic – tutejsza egzekutywa uznaniowo przyznała firmom farmaceutycznym podobne zwolnienia za pomocą SMS-ów.

GRZECH PIĄTY – ZADŁUŻENIE GOSPODARKI

Śmiertelnym przewinieniem z pewnością jest oparcie gospodarki chińskiej na fundamencie długu publicznego i prywatnego. Jest on możliwy dzięki tak popularnemu także na postępowym Zachodzie dodrukowi pustego pieniądza celem łatania dziur powstałych w skutkach złej polityki rządowych „drukarzy”.

Już w 1922 r. „Wiadomości Mławskie” pisały, że „jedyna rada na drożenie towarów to niedopuszczanie do tanienia pieniędzy, a na to znów rada jedyna, aby ich łatwo nie można było od rządu dostać. A i to dużo ludzi wie, że od rządu będzie trudno marek dostać, jeżeli nie wolno będzie nowych drukować...”. Gołym okiem widać, że nic się nie zmieniło tak w Polsce, jak w bratnich krajach zachodnich.

Dług publiczny Stanów Zjednoczonych jest dziś na cztery razy wyższym poziomie niż w 1980 r. i wynosi ponad 120 proc. PKB. W strefie euro zadłużenie publiczne podwoiło się do prawie 90 proc. PKB, a w niektórych jej krajach przewyższa 110 proc. W zagrożonych ponoć rychłą upadłością Chinach wynosi ono nieco ponad 80 proc.

Wzrostowi zadłużenia towarzyszy niefrasobliwa produkcja pieniądza. I tak o ile wzrost podaży pieniądza M1 (gotówki w obiegu poza sektorem bankowym oraz depozyty bieżące) w USA od końca lat 50. do niedawna wynosił prze-

Duszenie klasy średniej i mord na sektorze małych i średnich przedsiębiorstw bynajmniej nie są jedynie chińską specjalnością. Wręcz przeciwnie, jest to trend obserwowany też na Zachodzie, w tym w USA

W naszym kraju 92 proc. firm to mikropresiębiorstwa zatrudniające mniej niż 10 osób, wytwarzające ok. 30 proc. PKB. To właśnie w tej grupie rekordowo wzrasta liczba niewypłacalności – o oszałamiające 1,7 tys. proc. w przeciągu ostatnich sześciu lat. Największy wzrost nastąpił spodziewanie w latach 2021–2023. Sektor spółek akcyjnych, często zagranicznych, takiego zjazdu nie zaliczył. Polityka zamykania sklepików osiedlowych przy jednoczesnym pozostawianiu

w USA lub EMA w UE, dawno przestały być publiczne, utrzymując się w istotnym stopniu (40 proc. – FDA, 80 proc. – EMA) z pieniędzy otrzymanych od nadzorowanych przez nie podmiotów?

Może w Chinach władze także patrzą przez palce na udokumentowane nieuczciwe praktyki marketingowe firm farmaceutycznych – takich chińskich „Pfizerów”? Tak, jak to dzieje się w Stanach, gdzie istnieje dla nich parasol ochronny na mocy uchwalonej przez Kongres



ciętnie 10 proc. rocznie, o tyle w okresie od 2020 do połowy 2023 r. zaliczył nieprawdopodobny skok o 120 proc. Dla porównania: w Polsce w okresie dwuletnich lockdownów dodruk M1 wyniósł ok. 50 proc. We wszystkich tych krajach wzrósł dług publiczny, a wskaźniki inflacji dziś dają o sobie znać.

Od 1960 r. ponad trzykrotnie wzrosło w Stanach zadłużenie rodzin w stosunku do PKB do ponad 73 proc. w 2023. Trochę lepiej, choć także ze stałą średnią tendencją wzrostową, jest w strefie euro – 57 proc. Z długiem gospodarstw domowych na poziomie 62 proc. Chiny jawią się w zadłużeniowej „normie”.

O zadłużeniu przedsiębiorstw tak w Chinach, jak w krajach zachodnich można tylko powiedzieć, że urosło już do takich poziomów, iż zaczyna stanowić dziś kajdany dla ich możliwości rozwojowych. Od lat mamy do czynienia z ucieczką do przodu, gdzie przy każdym kolejnym kryzysie stare zadłużenie zastępuje się jeszcze większym nowym długiem. Jeżeli dług ma zatem doprowadzić Chiny do rychłego upadku, to najwyraźniej widać, że Chiny nie runą w przepaść same.

GRZECH SZÓSTY – ZANIECZYSZCZENIE

Zarzuca się chińskiej gospodarce niszczenie środowiska. Absolutnie słusznie, tyle że mówimy o państwie, które najpierw wskutek własnych błędów, a następnie w wyniku zastoju w XIX w. w okresie rządów zachodnich imperialistów musiało szybko nadrabiać zaległości. Stawką były przeżycie i niezależność tego ambitnego mocarstwa oraz jego mieszkańców.

Brak chęci współpracy USA z nową chińską władzą, która ten kierunek współpracy preferowała, skazały Chiny na współpracę z ZSRS. W rezultacie Chiny dostały znacznie gorsze technologie. Jednak nie gorsze niż stosowane w krajach zachodnich w okresie rewolucji przemysłowej. W 1886 r. władze miasta Chicago zdecydowały się na radykalny krok odwrócenia biegu rzeki Chicago, by nie zanieczyszczać miejskimi odpadami jeziora Michigan – źródła wody pitnej dla mieszkańców. W latach 60. to samo jezioro zostało śmiertelnie zatrute pestycydem DDT.

O zadłużeniu przedsiębiorstw tak w Chinach, jak w krajach zachodnich można tylko powiedzieć, że urosło już do takich poziomów, iż zaczyna stanowić dziś kajdany dla ich możliwości rozwojowych

W momencie otwarcia się Chin z początkiem lat 80. zawitał tam zachodni model rozwoju. Oprócz przenoszonych z Zachodu nieekologicznych linii produkcyjnych, których w kraju pochodzenia nie dało się dalej używać, wraz z nimi trafiły inne problemy zachodniej cywilizacji – plastiki i inne śmiecie. „Ekologia” Zachodu bowiem polega na eksporcie zanieczyszczeń generowanych przez własny model produkcji i dystrybucji do krajów Trzeciego Świata. Wtedy właśnie główną destynacją były Chiny, które w roku 2016 powiedziały „stop”.

Obecnie coraz to nowe kraje rozwijające się robią za frajera, służąc jako odbiorcy zachodnich odpadów. A że i tak pozostają nadal problemem w krajach je wytwarzających, za dowód niech świadczą kolejne perypetie ekologiczne jeziora Michigan zagrożonego śmiercią biologiczną wskutek zanieczyszczeń plastikiem. Doprawdy trudno uznać to jako „ekologiczny” model konsumpcjonizmu zaproponowany światu przez Zachód. Gospodarka oparta na corocznym kupowaniu nowego i-Phone’a zamiast na konstruowaniu takich urządzeń, które można by było wykorzystywać latami, nie zasługuje na miano ekologicznej, a jej orędownicy nie mają prawa narzekać na brak ochrony środowiska w Chinach.

GRZECH SIÓDMY I OSTATNI – ZŁY STAN MENTALNY SPOŁECZEŃSTWA

Ostatnim problemem w Chinach jest ponoć depresja młodego pokolenia prowadząca do spadku innowacyjności i kreatywności. I tu może najlepszym komentarzem jest napis na koszulce, który ostatnio zobaczyłam na torsie postawnego nastolatka w Warszawie: „Modernity has failed us”, a po polsku: Nowoczesność nas zawiodła.

Żyjemy w świecie, w którym stale rośnie odsetek samobójczych śmierci mło-

dzieży w wieku od 10 do 24 lat – w USA podwoił się od 2010 r. W 2017 r. jeden Amerykanin na ośmiu zaliczył załamanie psychiczne, a ponad 20 proc. rozważało popełnienie samobójstwa. Przyczyny są zawsze podobne: poczucie beznadziei, samotność, no i brak perspektyw.

Nie lepiej jest u nas. Od 2013 r. liczba prób samobójczych wśród dzieci i młodzieży wzrosła sześciokrotnie. Rośnie liczba samobójstw wśród kobiet. I coraz trudniej jest za to winić mężczyzn. Wydaje się jednak, że feminizm jakoś nie zdał egzaminu, ponieważ przyczynami prób samobójczych często nie są faceci, lecz wręcz przeciwnie – ich brak. Jak widać, samotny płacz do poduszki ma swoje ograniczenia.

Okazało się, że na Zachodzie ogarniętym walką o prawa wszelkich mniejszości im większe ta walka osiąga nominalne sukcesy, tym gorzej się z nimi czują ludzie, których praw się broni. Kulturowanie roszczeniowości w ludziach nie może się bowiem inaczej skończyć. Bez względu na położenie geograficzne.

To powszechne rozczarowanie ludzi na Zachodzie znalazło swój wyraz w utworze Olivera Anthony’ego „Rich Men North of Richmond”, który zaledwie w ciągu kilku dni stał się hymnem zwykłych zjadaczy chleba, i to nie tylko w USA. Słowa mówią same za siebie:

*Sprzedaję duszę, po zmierzchu pracując,
za gówniany pieniądź życie marnując
a w domu, w wódrze zatapiając smutki.
To wstyd, do czego doszedł dziś świat
dla ludzi jak ty, dla ludzi jak ja
Tak bardzo chciałbym obudzić się
lecz to prawda jest, a nie zły sen.*

Trudno powyższe nazwać słowami przepełnionymi nadzieją. A więc co? Przyganiał kocioł garnkowi? Parafrazując Biblię (Mt 7, 3–5):
A czemu widzisz belkę w oku brata swego, a belki w oku swoim nie dostrzegasz?

Tylko pytam...



Rewolucja zdrowotna Kennedy'ego



Kiedy tuż przed zakończeniem kampanii prezydenckiej Robert F. Kennedy Jr. poparł kandydaturę Donalda Trumpa, zadeklarował, że pomoże mu uczynić Amerykę zdrową. W wywiadach ujawnił, że Trump poprosił go o trzy rzeczy: o zlikwidowanie korupcji w rządowych agencjach zdrowia, w szczególności wyeliminowanie konfliktów interesów, które przekształciły te agencje w organy całkowicie zależne od przemysłu farmaceutycznego, spożywczego – branż, które powinny regulować; o przywrócenie w tych agencjach bogatej tradycji złotego standardu nauki opartej na dowodach oraz o zakończenie pandemii chorób przewlekłych wśród dzieci, oczekując w tym przypadku wymiernych wyników w przeciągu dwóch lat.

Gdy po wygranych wyborach Donald Trump oficjalnie ogłosił nominację Roberta F. Kennedy'ego Jr. na stanowisko sekretarza zdrowia i opieki społecznej



Mariusz Jagóra

Jeśli traktować obietnice wyborcze Trumpa serio, to Robert F. Kennedy Jr. może doprowadzić do tak głębokich zmian systemowych, że będą one rzutowały na badania naukowe, działalność agencji rządowych, opiekę zdrowotną czy produkcję żywności i mogą wywołać wstrząs na rynku mediów. Nie tylko w Ameryce. Zastanówmy się, co może się wydarzyć

Stanów Zjednoczonych (HHS), media głównego nurtu jednogłośnie skrytykowały tę nominację w tonie alarmistycznym, ostrzegając przed potencjalnymi zagrożeniami dla polityki zdrowia publicznego, reakcjami społeczności naukowej i politycznymi konsekwencjami tak „kontrowersyjnego” wyboru. Stacja MSNBC donosiła, że Trump wybrał na stanowisko sekretarza zdrowia

„antyszczepionkowca”, który dodatkowo nie ma doświadczenia w polityce zdrowotnej (takiego doświadczenia nie ma też obecny sekretarz zdrowia Xavier Becerra, który jest prawnikiem i politykiem, a przed powołaniem na stanowisko pełnił funkcję prokuratora generalnego Kalifornii i kongresmena). W sieci pojawiły się doniesienia o negatywnych skutkach rynkowych tego wyboru, takich



Robert F. Kennedy Jr. jest znany z aktywności prawniczej w zakresie ochrony środowiska i zdrowia publicznego, szczególnie z podejmowania legalnych działań przeciwko dużym korporacjom

FOT. DARRYL WEBB/AP/EAST NEWS



jak spadek akcji firm farmaceutycznych, odzwierciedlający obawy inwestorów o potencjalne zmiany w polityce lub regulacjach dotyczących szczepionek.

Czy ta panika ma uzasadnienie?

Wydaje się, że tak, bo jeśli traktować obietnice wyborcze Trumpa serio, to Kennedy może doprowadzić do tak głębokich zmian systemowych, że będą one rzutowały na badania naukowe, działalność agencji rządowych, opiekę zdrowotną czy produkcję żywności i mogą wywołać wstrząs na rynku mediów. Nie tylko w Ameryce. Zastanówmy się, co może się wydarzyć.

FINANSOWANIE BADAŃ NAUKOWYCH

Sekretarz zdrowia i opieki społecznej Stanów Zjednoczonych odgrywa kluczową rolę w zarządzaniu systemem ochrony zdrowia i opieki społecznej na poziomie federalnym. Jego obowiązki

i uprawnienia są bardzo szerokie i obejmują zarządzanie polityką zdrowotną, nadzorowanie programów społecznych oraz regulację sektora opieki zdrowotnej. Jest odpowiedzialny za zarządzanie kluczowymi agencjami, które realizują programy zdrowotne i społeczne, takimi jak: Centra Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC), Agencja do spraw Żywności i Leków (FDA), Centra Opieki Medycznej i Usług Medycznych (CMS) czy Narodowe Instytuty Zdrowia (NIH). Tej ostatniej agencji podlega Narodowy Instytut Alergii i Chorób Zakaźnych (NIAID), do zeszłego roku kierowany przez Anthony'ego Fauciego.

Budżet Departamentu Zdrowia i Usług Społecznych jest olbrzymi. Według oficjalnych danych za rok fiskalny 2024 HHS dysponuje 144,3 mld dol. na wydatki uznaniowe (w tym na badania naukowe) oraz 1,7 bln dol. na wydatki obowiązkowe (co obejmuje takie programy jak Medicare, Medicaid, Social Security). Podległe agencji Narodowe Instytuty Zdrowia (NIH) dysponowały w 2024 r. środkami w wysokości 47,1 mld dol. z czego ok. 83 proc. przeznaczonych jest na badania zewnętrzne w formie dotacji dla uniwersytetów, szkół medycznych i innych instytucji badawczych, wspierając badania w całym kraju i na arenie międzynarodowej. Z tych funduszy NIAID, pod rządami Fauciego, finansowało badania gain-of-function w laboratorium w Wuhan w Chinach.

To, że Stany Zjednoczone mają potężny wpływ na naukę i medycynę na całym świecie, jest oczywiste. Amerykańskie agencje federalne wyznaczają standardy zdrowotne nie tylko w Stanach. Jak zmienia się nauka i obowiązujące protokoły leczenia, jeśli połowa budżetu NIH przeznaczonego na badania naukowe zostanie skierowana na badania dotyczące leczenia prewencyjnego czy holistycznego lub na duże randomizowane badania kontrolowane dotyczące leków generycznych użytych w nowych zastosowaniach? Krytyków Kennedy'ego przeraża, że ta rzeka pieniędzy może trafić do naukowców spoza głównego nurtu, do tych, którzy do tej pory pozbawiani byli możliwości zdobycia funduszy. Jeśli do tego wprowadzona zostanie zasada, że środki NIH nie mogą być przeznaczone na badania prowadzone przez naukow-

ców, którzy posiadają konflikt interesów – no to jest się czego bać.

PONOWNA ANALIZA DANYCH

Jako szef rządowych agencji regulacyjnych Kennedy może ujawnić ukrywane bądź ignorowane dane z badań i doprowadzić do ich ponownej, rzetelnej analizy. W 2014 r. czasopismo „Biochemistry Research International” opublikowało analizę „Kwestie metodologiczne i dowody nadużyć w badaniach mających wykazać, że tiomersal w szczepionkach jest bezpieczny”. Z badania wynikało, że sześć prac, na które powołuje się CDC, twierdząc, że nie ma zwiększonego ryzyka autyzmu w wyniku narażenia na obecność organicznej rtęci w szczepionkach, stoi w ostrej sprzeczności z 165 badaniami przeprowadzonymi przez niezależnych naukowców w ciągu ostatnich ponad 75 lat, które konsekwentnie wykazały szkodliwość tiomersalu i jego związek z zaburzeniami neurorozwojowymi, ryzykiem opóźnienia mowy, zaburzeń koncentracji uwagi i autyzmu. Aż pięć z tych sześciu publikacji zostało bezpośrednio zleconych przez CDC, co podnosi możliwą kwestię konfliktu interesów lub stronniczości badań, ponieważ promocja szczepionek stała się główną misją CDC: „Można sobie wyobrazić, że jeśli okaże się, iż poważne zaburzenia neurologiczne są związane z obecnością tiomersalu w szczepionkach, to takie odkrycia mogą być postrzegane jako szkodliwe dla programu szczepień” – twierdzą autorzy analizy.

W styczniu 2017 r., w kontekście kontrowersji dotyczących szczepień i bezpieczeństwa, Robert F. Kennedy Jr. oraz Aaron Siri, szef organizacji ICAN, weszli w spór prawny z Departamentem Zdrowia i Opieki Społecznej, domagając się dostarczenia badań klinicznych dotyczących bezpieczeństwa i skuteczności szczepionek. W odpowiedziach, po roku sporów, HHS stwierdziło, że nie może dostarczyć żadnych badań klinicznych bezpieczeństwa przeprowadzonych przed udzieleniem licencji dla szczepionek znajdujących się w harmonogramie dla dzieci. Jako szef HHS Kennedy będzie mógł wprowadzić obiecywaną transparentność danych i podać do publicznej wiadomości wszystkie tego typu skrywane dane, będzie mógł ujawnić



■ bazy danych dotyczące bezpieczeństwa i skuteczności leków i szczepionek. A jeśli do analizy tych danych zatrudnieni zostaną najlepsi analitycy, bez istniejących konfliktów interesów, uczciwi lekarze i naukowcy, którym nie postawi się tezy do udowodnienia – to czy ta perspektywa jest przerażająca czy obiecująca?

KONFLIKT INTERESÓW

Kennedy jest postrzegany jako zagrożenie zarówno przez biurokratów, pracowników federalnych agencji zajmujących się zdrowiem, jak i przedstawicieli firm regulowanych przez te agencje. Z kilku powodów. Po pierwsze, chce zająć się powszechną korupcją istniejącą w opiece zdrowotnej i w rządowych agencjach zdrowia. W 1992 r. Kongres USA uchwalił ustawę o opłatach za leki na receptę (Prescription Drug User Fee Act), która umożliwiła firmom farmaceutycznym bezpośrednio finansowanie amerykańskiej Agencji do spraw Żywności i Leków. Dzięki tej ustawie FDA zmieniła się z podmiotu w pełni finansowanego przez podatników w podmiot dotowany pieniędzmi przemysłu – a przez lata wpłaty netto wzrosły 30-krotnie – z ok. 29 mln dol. w 1993 r. do 884 mln dol. w 2016 r. Obecnie FDA otrzymuje 65 proc. środków potrzebnych do funkcjonowania od firm, których produkty wprowadza na rynek. Finansowanie organów regulacyjnych przez firmy farmaceutyczne przyczynia się do obniżenia standardów naukowych, co szkodzi pacjentom z powodu takich praktyk jak tworzenie „szybkich ścieżek” w celu przyspieszenia wprowadzania leków na rynek, co jest praktyką, która stała się „globalną normą”. To, że agencje rządowe są w tak dużej mierze finansowane z opłat od firm, których produkty mają obowiązek oceniać, stanowi konflikt interesów i jest przykładem korupcji instytucjonalnej.

Innym przykładem ukrytej korupcji jest zjawisko tzw. drzwi obrotowych (z ang. revolving doors) – przechodzenia specjalistów z rządowych agencji regulujących do firm z branży farmaceutycznej. Często tych, których produkty z powodzeniem wprowadzali na rynek. Trudno oprzeć się wrażeniu, że to przechwytywanie jest formą nagrody za wywiązanie się z wykonanego zlecenia. Ale „drzwi

obrotowe” działają w obie strony, czasem osoby związane z firmami farmaceutycznymi przechodzą do rządowych agencji regulujących lub zajmują inne eksponowane stanowisko związane z wprowadzaniem leków na rynek. W przypadku FDA – dziewięciu z dziesięciu byłych komisarzy z lat 2006–2019 objęło stanowiska związane z firmami farmaceutycznymi, jak np. Scott Gottlieb, który pełnił funkcję szefa FDA w latach 2017–2019, a kiedy zrezygnował ze stanowiska najwyższego federalnego regulatora do spraw leków, objął stanowisko w Radzie Dyrektorów firmy Pfizer, czy Stephen Hahn, który zastąpił na stanowisku Gottlieba i był komisarzem FDA w latach 2019–2021, a obecnie jest dyrektorem medycznym w założonej przez Modernę spółce Flagship Pioneering, która działa jako inkubator dla nowych firm biofarmaceutycznych.

Jednak to przypadek obecnego szefa FDA, dr. Roberta Califfa, jest idealnym przykładem działania „drzwi obrotowych”. Califf, powołany na stanowisko w lutym 2022 r., zarobił 2,7 mln dol., pracując dla firmy Verily Life Sciences (spółka zależna Alphabet Inc., firmy macierzystej Google, specjalizująca się w połączeniu technologii i opieki zdrowotnej), a w 2021 r. zasiadał w zarządach dwóch firm farmaceutycznych: Amyriad i Centessa Pharmaceuticals. Jeszcze wcześniej, za czasów administracji Obamy, Califf pełnił już funkcję komisarza FDA, skąd odszedł do przemysłu. Według „British Medical Journal” ponad jedna czwarta pracowników FDA, którzy w latach 2001–2010 zatwierdzali leki na raka i hematologiczne, opuściła agencję i pracuje lub udziela konsultacji firmom farmaceutycznym.

Jeśli Kennedy wprowadzi w życie zapowiadany przez Trumpa siedmioletni zakaz zatrudniania pracowników federalnych w firmach, które regulowali, i zlikwiduje patologiczny układ finansowania przez przemysł agencji rządowych, to może zacząć one robić to, do czego zostały powołane – dbać o zdrowie ludzi?

ZAKAZ REKLAMY LEKÓW

W Stanach Zjednoczonych reklamy leków na receptę stanowią znaczącą część przychodów z reklam w mediach,

zwłaszcza w telewizji. USA są jednym z niewielu krajów na świecie (obok Nowej Zelandii), które zezwalają na bezpośrednią reklamę leków na receptę skierowaną do konsumentów (tzw. Direct-to-Consumer Advertising). Firmy farmaceutyczne, takie jak Pfizer, często sponsorują programy telewizyjne, zwłaszcza te o dużej oglądalności – komunikaty typu „Brought to you by Pfizer” (dostarczone przez Pfizer) wyświetlane przed programem lub po nim są normą. Główne wydanie wieczornych wiadomości w największych sieciach telewizyjnych w USA, takich jak ABC, CBS i NBC, jest sponsorowane przez firmy farmaceutyczne. Szacuje się, że ok. 75 proc. przychodów reklamowych w korporacyjnych mediach w USA pochodzi z branży farmaceutycznej. Kennedy twierdzi, że prezydent może jednym pociągnięciem pióra zmienić regulację, która pozwala reklamodawcom farmaceutycznym na bezpośrednie reklamy konsumenckie w telewizji. Być może wtedy media, które przetrwają taki armagedon, wrócą do walki o klienta jakością podawanych informacji i ponownie zaczną patrzeć władzy na ręce.

MAKE AMERICA HEALTHY AGAIN

Amerykanie to najbardziej schorowana nacja na świecie – ok. 60 proc. Amerykanów cierpi z powodu jakiejś formy choroby przewlekłej. Prawie dwie trzecie populacji USA mają do czynienia ze schorzeniami, które wymagają długotrwałej opieki medycznej, monitorowania lub leczenia, takimi jak cukrzyca, choroby serca, rak, astma czy choroby autoimmunologiczne. Według Amerykańskiego Kolegium Kardiologicznego źródłem epidemii chorób przewlekłych jest dysfunkcja metaboliczna, która jest spowodowana toksyczną, ultraprzetworzoną żywnością przemysłową, toksycznymi chemikaliami używanymi jako środki ochrony roślin oraz toksycznymi lekami.

Agencją odpowiedzialną za dopuszczenie do użycia dodatków do żywności, które nadają im właściwości sensoryczne podobne do tych występujących w naturalnej żywności, jest Amerykańska Agencja do spraw Żywności i Leków. Na podstawie dostępnych danych FDA zatwierdziła w Stanach Zjednoczonych



ponad 3 tys. różnych dodatków do żywności, liczba ta obejmuje nie tylko substancje dodawane bezpośrednio do żywności – jak stabilizatory, zagęszczacze, barwniki, aromaty, emulgatory, wzmacniacze smaku i zapachu czy środki konserwujące – lecz także te używane w produkcji i przetwarzaniu żywności, które mogą mieć kontakt z jedzeniem (jak np. dodatki do opakowań). Wiele z tych dodatków, które agencje regulujące rynek leków i żywności dopuszczają do używania w produkcji ultraprzetworzonych produktów udających jedzenie, to trucizny chemiczne, które mogą powodować opóźnienia rozwojowe, uszkodzenia neurologiczne, ADD, ADHD, zaburzenia hormonalne, uszkodzenia genów, niepokój, depresję i mają potencjał onkogenny, a nikt nigdy nie zbadał, jak mogą wpływać na zdrowie w połączeniu ze sobą. Jeśli Robert F. Kennedy Jr. wycofa ich autoryzację do użycia w przemyśle spożywczym, to czy to może zaszkodzić Amerykanom czy wręcz odwrotnie?

Robert F. Kennedy Jr. jest znany z aktywności prawniczej w zakresie

ochrony środowiska i zdrowia publicznego, szczególnie z podejmowania legalnych działań przeciwko dużym korporacjom. W latach 80. założył organizację Riverkeeper, która walczyła z zanieczyszczeniami rzeki Hudson. Jednym z najbardziej znanych zwycięstw prawnych było zmuszenie General Electric do oczyszczenia rzeki z polichlorowanych bifenyli, które firma zrzuciła przez dziesięciolecia. To doprowadziło do jednego z największych projektów oczyszczania środowiska w historii USA. RFK Jr. był aktywnie zaangażowany w sprawy prawne przeciwko Monsanto, producentowi środków ochrony roślin, w tym glifosatu, który jest głównym składnikiem ich herbicydu Roundup. Angażował się w walkę prawną przeciwko DuPont za zanieczyszczenie środowiska. Założył organizację Children's Health Defense, która podważa niektóre praktyki i polityki dotyczące szczepionek, a jej działania prowadziły do zmian w regulacjach i podniesienia świadomości na temat odpowiedzialności korporacji farmaceutycznych.

Czy uda mu się pokonać potężne wpływy bogatych korporacji, opór urzędników agencji federalnych, niechęć mediów zagrożonych utratą wpływów, obstrukcję skorumpowanych naukowców czy pracowników uczelni wyższych i przeprowadzić głębokie reformy polegające na odebraniu producentom żywności i leków prawa do prowadzenia badań nad bezpieczeństwem preparatów? Takie badania powinny być prowadzone przez niezależnych, niezwiązanych z branżą naukowców. Czy uda mu się zabronić przyjmowania jakichkolwiek korzyści finansowych przez agencje regulujące od przemysłu? Czy uda mi się zastopować przechodzenie, na zasadzie „drzwi obrotowych”, urzędników do przemysłu? Czy uda się sprawić, że ponownie zdrowie publiczne będzie ważniejsze niż zysk inwestorów firm farmaceutycznych, które przestaną wpływać na politykę opieki zdrowotnej? I czy wywoła to „efekt domina” w Unii Europejskiej? Miejmy nadzieję, że tak się stanie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

SPRAW IDEALNE PREZENTY

ANDRZEJ NOWAK
PATRIOTYZM I ZDRADA
WYKŁADY Z HISTORII POLSKI

JACEK KOMUDA
JACEK BARTOSIAK
MAREK BUDZISZ
ROZMOWY O PIERWSZEJ RZECZYPOSPOLITEJ

RABAT 10%
Dla czytelników DORZECZY na HASŁO: **DORZECZY**

ZAMÓW ONLINE W KSIĘGARNI XLM.PL



Kadr z filmu „Bulion i inne namiętności” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Opowieść dla kucharek

Seksowna Nigella Lawson pornograficznie obliżywała palce po sosach. Wesoły blondyn Jamie Oliver z równą sprawnością przygotowywał obiad dla dzieci, jak wieczorne przyjęcie dla dorosłych i w dodatku rewolucjonizował szkolne stołówki. Nie wiadomo, czy z dobrym skutkiem, bo angielskie dzieci mówią, że wciąż żarcie w szkołach jest wstrętne. W wykonaniu Marthy Stewart nawet kotlet schabowy uwodził wdziękiem. Robert Makłowicz potrafił zatrzymać przed ekranem nawet intelektualistę i przeciwnika telewizji.

Sądząc po liczbie programów kulinarnych w ostatnich dwóch dekadach, można było odnieść wrażenie, że głównym zajęciem ludzkości jest gotowanie. Dziś to się zmieniło. Kuchnia wciąż jest na ekranie popularna, ale widz bombardowany informacjami nie ma czasu siedzieć godzinę przed telewizorem. Dziś współczesnym odpowiednikiem akademii Cordon Bleu jest Internet, a w nim krótkie filmiki – rolki. O kotkach, psach, dzieciach, modzie, makijażach, o szcziu, wygłupach, śmiesznych zdarzeniach.



Joanna Bojańczyk

Naukowcy chcieli zorganizować kobietom kuchnię precyzyjnie, żeby nauczyć je zasad metodycznej pracy domowej. Jednak życie urządziło to po swojemu. Za to w filmach możemy oglądać spektakle liturgii kulinarnej. Widz zmęczony sztucznym blaskiem ekranów i nieskazitelną celebrytów w programach telewizyjnych zatęsknił za gotowaniem pierwotnym, naturalnym

I naturalnie o kuchni. Rolki to współczesna akademia kulinarna w pigułce. Trzy minuty i zrobione. Dzisiejszy konsument Internetu nie ma czasu – godzina patrzenia na to, jak robić zupę, to za dużo.

Jest także inna zmiana. W kulinarnych scenkach na filmikach pojawiają się sceny z całkiem innej niż dotychczasowa bajki. Zamiast lśniących kuchni, przygotowanych porcji składników uwodzą obrazki egzotyczne i jakby niedzisiejsze. Babina w chustce i brudnym fartuchu miesza coś wielką łyżką w wielkim garze

na ognisku. Płoną drwa, gdaczą kury, pieje kogut, szczeka pies, dziadek rąbie drewno. Zamuczy krowa, zabeczy koza. Nikt się nie spieszy. Pomagają dzieci, umorusane i wesołe, a widz nie może oderwać oczu od barana pieczonego na ogniu, z którego ściekają smakowite soki. Albo od kawałków mięsa duszonego z warzywami i przyprawami. Gdzie to się dzieje? Gdzieś w wiejskim krajobrazie. W tle góry i żadnych domostw, jesteśmy w jakiejś samotni, może gdzieś na stepach Azji.



Czyżby widz zmęczony sztucznym blaskiem ekranów i nieskazitelną otoczenia w programach telewizyjnych celebrytów zatęsknił za gotowaniem pierwotnym, naturalnym? Choćby było niezbyt higienicznie, to są tu przyroda i autentyczność. Czy rzeczywiście autentycznie, nie wiadomo, ale nastrój jest. Zjeść udziec z barana upieczony na ognisku! Kto by nie chciał?

Nie rozmarzajmy się. Większość z nas może upiec co najwyżej karkówkę na grillu w ogródku.

Czasu nie spędzamy w Tybecie, tylko w kuchni. Tu znajduje się centrum gotowania i ośrodek życia rodzinnego. Kuchnia niekoniecznie wygląda jak na telewizyjnej reklamie – lśniąca czystością i nowością naczyń, nowe meble i sprzęty AGD. Zwykła, domowa kuchnia, najważniejsze miejsce w domu. Niepotrzebna tylko miejskim singlom, którzy jedzą na mieście, jak w Nowym Jorku.

GÓRKA CIEŁĘCA PREMIUM

„To nie spalony stanik, antykoncepcja, krótkie włosy i praca zawodowa, lecz zmiany funkcji i pozycji, w największym stopniu kuchni, wpłynęły na domowe równouprawnienie kobiet” – pisze historyczka designu Katarzyna Rzehak.

To nie wydarzyło się nagle. Rzehak przytacza filmową anegdotę z początku XX w. W drugim sezonie serialu „Downton Abbey” lady Sybil, córka hrabiego Granthama, postanawia nauczyć się gotować. Schodzi na dół, do zamkowej kuchni, która w porównaniu z przestronnymi salonami zamku Highclere Castle jest małą i ciemną kłitką z uwijającą się w niej służbą i biegającymi pod stołami kotami i psami. Drżąc z przejęcia lady Sybil staje przed majestatyczną kucharką, miss Patmore. Zapytana, czego chciałaby się nauczyć, odpowiada: „Parzyć herbatę”.

Gotowanie tak piękne, tak malownicze jak martwe natury na holenderskich obrazach oglądamy przez dwie godziny filmu „Bulion i inne namiętności” (reż. Tran Anh Hung). Odbывa się tu prawdziwe nabożeństwo gotowania: długie, statyczne ujęcia, krojenie, dodawanie składników i przypraw, mieszanie, próbowanie. Gotowanie na kuchni opalanej drewnem w miedzianych i mosiężnych, lśniących rondlach, których zestaw wisi nad rozżarzonymi fajerkami. Dekorowanie deserów przed wysłaniem ich na stół do gości, którzy nawet po zjedzeniu kilkunastu dań mają siłę na kolejne.

Seans odbywa się z użyciem surowców, o których zapomnieliśmy albo – co bardziej prawdopodobne – o których w ogóle nie słyszeliśmy. Jarzyny zerwano w zamkowym warzywniku, drób, dziczyznę, mięso i – o zgrozo! ptactwo przynieśli stali dostawcy. Trznadłe, ortolany – kto słyszał? Nawet górką ciełęcą, kawałek mięsa, nabiera tu cech czegoś archaicznego i wykwintnego.

W tym filmie gotowanie staje się rodzajem liturgii. Wykonywane jest z namaszczeniem, potrawy są tak wyszukane, że cały spektakl wydaje się kulinarną fantazją. Tym bardziej że zaplecze tego wszystkiego jest poza zasięgiem wzroku. Nie ma obierania, przygotowywania, nie ma resztek, śmieci, nie ma zmywania. Tego wszystkiego, co kiedyś robiła służba, a z czym we współczesności mierzy się każda kobieta, która po przyjeździe z pracy zabiera się do przygotowania obiadu.

Zmywanie było problemem Josephine Cochrane, zamożnej żony amerykańskiego inżyniera. Wściekała ją, że służba po każdym przyjęciu tłucze połowę porcelany. W 1886 r. skonstruowała więc prototyp maszyny do zmywania. Patent rozwinął się błyskawicznie, zmywarkę początkowo kupowały hotele, kluby i restauracje. Ale już w latach 50. XX w. nie była luksusem w amerykańskim domu.

Musiało minąć parę dekad, zanim ta nowoczesność dotarła do nas. Pierwsze

lodówki wprowadziły się jeszcze przed drugą wojną, bardziej dostępne stały się w latach 60., masowe dopiero 10 lat później. Do dziś w wielu domach stoją jeszcze silesie, niezniszczalne polary i sowieckie minski. Warkot tych ostatnich mógł zerwać z grobu nawet umarłego, ale z ich trwałością nie mogą się równać współczesne samsungi, produkowane w duchu „planned obsolescence” – praktyce produkowania przedmiotów tak, żeby zepsuły się zaraz po upływie gwarancji. Zabawne, że ciężkawe, obłe kształty tych pierwszych lodówek wyglądają dziś całkiem awangardowo i są naśladowane przez marki takie jak włoski Smeg.

NA MIEJSCU I NA WYNOS

„W dwudziestoleciu międzywojennym na fali praktyk modernizacyjnych architektki proponowali rozwiązania przestrzeni kuchennej i jej zabudowy skracające czas pracy, czyniące ją efektywniejszą i bardziej higieniczną” – piszą kuratorzy wystawy „Na miejscu i na wynos” w Muzeum Warszawy. Było to pokłosie tzw. kuchni frankfurckiej, projektowanej we Frankfurcie w ramach rewolucyjnego programu budownictwa socjalnego Nowy Frankfurt, organizowanego przez architekta Ernsta Maya. Miała ona stworzyć pomieszczenie zaplanowane tak precyzyjnie, by nauczyć użytkowniczkę zasad zorganizowanej pracy domowej. Dziś powiedzielibyśmy – ergonomicznej. Kuchnia była długa i wąska, szafki z blatami ustawiono w jednym płynnym ciągu w kształcie litery L. Takie kuchnie pokazywano w czasopiśmie i w hollywoodzkich filmach z lat 50. Eleganckie kobiety na obcasach poruszały się w przestrzeni kuchennej wyposażonej w nowoczesny sprzęt. Trudno było zgadnąć, że przy okazji coś gotują. Zresztą założenia socjalizmu przewidywały, że rola kobiety ograniczy się do podgrzewania gotowych dań. Ale półprodukty, konserwy i dania gotowe dostępne stały się dopiero w latach 70., kiedy za Gierką powstały zakłady Hortex. W każdym razie idea nowoczesnej kuchni czyniła z niej miłe, jasne pomieszczenie, w którym pani domu może przebywać bez przykrości i bez wstydu przed gośćmi.

Idea była piękna. U nas jeszcze na początku XX w. pionierscy architekci



Reklama zmywarki, lata 50. XX w.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



■ Barbara i Stanisław Brukalscy, projektując IV Kolonię Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, stworzyli wzorcową kuchnię. Zastosowali rozwiązanie na owe czasy niezwykle radykalne – otworzyli ją na salon. Żadnych drzwi, nawet suwanych, żadnej kotary. „Trudno sobie wyobrazić, jaka to była w latach 20. rewolucja i jaka obraza dla hierarchii domu. Zwłaszcza że IV Kolonia była projektowana dla inteligencji wywodzącej się najczęściej z warstwy ziemiańskiej, wychowanej w dworach, gdzie kuchnia, jak w »Downton Abbey« była miejscem gorszego gatunku” – pisze Katarzyna Rzehak.

SIEDEM METRÓW NA ŁEB

W domu moich rodziców lodówka Silesia pojawiła się pod koniec lat 60. – sensacyjnej na tamten czas nowości musiała ustąpić miejsca szafka biedermeier. Na jedno i drugie nie było miejsca, chociaż mieszkaliśmy nie w bloku, ale w starej willi przerobionej na mieszkanie.

Pojawiła się lodówka, ale kuchnia wciąż była węglowa. Tak jak zresztą w większości polskich domów, zwłaszcza poza wielkimi miastami. Gotowało się na węglu, kuchenki gazowe zaczęto produkować masowo dopiero na początku lat 60. Ale co z tego, skoro z gazem kłopoty w Polsce trwały aż do transformacji? A węgiel, brudny i także niełatwy do zdobycia, był niezawodny. Na obrazku Mrożka z cyklu „Polska w obrazach” widać zgietą wpół kobiecinę zbierającą węgiel, który spadł z furmanki. Podpis: Węgiel „polskim bogactwem narodowym”.

Kolonia IV była tylko pierwszą jaskółką. Realizacja wizjonerskiego pomysłu musiała poczekać.

Pomysły Brukalskich zaczęły być wcielane w życie w blokach budowanych dopiero po wojnie, w osiedlach, które powstawały w latach 60. i 70. Potrzeby mieszkaniowe były ogromne, trzeba było budować szybko, więc nie było czasu na luksus. Normatywy z 1959 r. przewidywał, że jednej osobie w mieszkaniu przysługuje ok. 11 mkw. powierzchni użytkowej. Jeszcze w 1974 r. norma powierzchni mieszkalnej przysługującej jednej osobie wynosiła 7–10 mkw.

Mieszkania były małe, kuchnie także; cieszyli się ci, którym trafiła się „kuchnia z oknem”, ponieważ w dużej

części oddawanych mieszkań kuchnie były „ciemne”.

Jak widać, okno w PRL było zdobyczą cywilizacyjną. W małej klitce, która pełniła funkcję kuchni, z trudem mieściły się dwie osoby. Za to w nowo oddawanych mieszkaniach kuchnia była wyposażona w sposób, który dziś wydałby się siemniężny, ale lokatorzy byli szczęśliwi. Czekali na nich kuchenka gazowa z piekarnikiem oraz szafka, które instalowano, nie pytając przyszłych mieszkańców o zdanie. Wszędzie były identyczne w dwóch kolorach „popiel jasny” lub „popiel ciemny”, bo tylko takie produkowano. Każdy brał, co było, szczęśliwy, bo mieszkanie było największą zdobyczą w jedynej słusznym ustroju. Kiedy w serialu „Czterdziestolatek” Magda Karwowska szła do kuchni, tysiące Polek patrzących w telewizory wołało do mężów: „Popatrz, mamy taką samą kuchnię, szafki i kuchenkę”.

W latach 80., kiedy normatyw przestał obowiązywać, a metraże stały się znośniejsze, masowo pozbywano się ściany dzielącej kuchnię od niewielkiego pokoju. Uzyskiwano w ten sposób kuchnię otwartą, taką jak widzimy ją dziś.

Otwartą nie tylko dla pani domu, lecz także dla wszystkich domowników, a nawet dla gości, bo modne jest wspólne gotowanie. Jedzenie w roku 2024 r. stało się czynnością ludyczną, zaspokajającą potrzebę kontaktów i zabawy bardziej niż głodu. Statystycznie Polacy spędzają w kuchni 6,1 godziny tygodniowo. To niewiele, szczególnie że w tym wyliczeniu występuje spora dysproporcja – kobiety deklarują, że spędzają w kuchni 7,6 godziny, podczas gdy mężczyźni jedynie 4,5. Liczba godzin zwiększa się także wraz z wiekiem – od 3,8 godziny wśród młodzieży do 9,3 godziny w przedziale wiekowym 50–59 lat.

THERMOMIX I JEGO ZALETY

W budowanych obecnie mieszkaniach kuchnia praktycznie przestała istnieć jako osobne pomieszczenie. To się nazywa: salon z aneksem kuchennym. I ten aneks często pozbawiony jest okna, czyli zarówno naturalnego światła, jak i wietrzenia. Ponury standard gomułkowski powrócił zatem po półwieczu, ale dziś nikt nie protestuje. Takie rozwiązanie występuje zarówno w kawalerkach,

jak i w 100-metrowych mieszkaniach; wydaje się, że oddzielenie kuchni, czego czasem można sobie zażyczyć indywidualnie, to dziwactwo albo archaizm. Faktem jest, że kobiety nie tkwią już samotnie „przy garach”, gdy reszta rodziny ogląda telewizję w salonie, za to bałagan kuchenny jest zawsze na widoku. Gdy powierzchnia pozwala, na środku robi się wyspę, na niej kuchnię lub zlew. Przy niej skupia się aktywność rodzinna i towarzyska, bałaganem nikt się nie przejmuje i nie ma czynności ukrywanych. To wszystko umożliwia rynek: kupuje się produkty oczyszczone, w niewielkich ilościach, jest dużo gotowców. Przygotowanie obiadu przestało być znojną walką z przeciwnościami.

Jednak gdy w magazynach wnętrzarskich ogląda się wielkie, świetnie wyposażone kuchnie, można się zastanowić, czy naprawdę ktoś tam gotuje. Tam widać kuchnie głównie ludzi zamożnych, a tych stać także na restauracje czy zamówienie jedzenia do domu. Mniej zamożni, którzy gotują sami i mają do nakarmienia choćby dzieci w wieku szkolnym, raczej nie wybiorą się do knajpy w dzień powszedni. I na ogół nie mają kuchni pokazywanych w „Dobrym Wnętrzu”.

Zmywarka, kuchnia indukcyjna, mikrofalówka stały się standardowym wyposażeniem – wchodząc do sklepu AGD, można doznać zawrotu głowy od wyboru sprzętu kuchennego. Plus setki mniejszych gadżetów – ugażdżetowanie pozornie ułatwia czynności kulinarne, ale rodzi problem, gdzie to wszystko pomieścić, mając pół metra kwadratowego blatu kuchennego i dwie szuflady.

Królem urządzeń kuchennych jest Thermomix, patent firmy Vorwerk, obecnie symbol statusu w grupie wiekowej 30–40 lat. Skomputeryzowany robot, który potrafi samodzielnie ugotować trzydaniowy obiad i upiec ciasto. Pod warunkiem że dostarczy mu się składników. Kosztuje kilka tysięcy (najnowsza wersja nawet kilkanaście) i podzielił opinie na entuzjastyczne i krytyczne. Ci drudzy najczęściej o Thermomiksie tylko słyszeli, ale wiedzą, że jest do niczego.

Dla tych pierwszych Thermomix, jego zdolności i zalety stały się centrum ogniska domowego. Jeśli nie rozmawiamy o wojnie w Rosji, to tylko o tiramisu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NISSAN X-TRAIL E-POWER E-4ORCE

◀ NASZE TESTY ▶ MOTO ▶ GADŻETY ▶



FOT. JAP

Japoński koncern samochodowy produkował SUV-y, jeszcze zanim wszyscy inni wiedzieli, że to będzie modne. Pierwszy X-Trail zadebiutował niemal ćwierć wieku temu podczas paryskich targów motoryzacyjnych Paris Motor Show 2000.

Nadwozie najnowszej wersji zostało wygładzone i zmodernizowane, ale nie jest ono zbyt futurystyczne, dzięki czemu zachowało sporo z dawnego charakteru. Najnowsza wersja X-Traila jest więc jednocześnie wystarczająco elegancka i zgrabna, aby śmiało podjechać nią na firmowy parking (świetnie wyglądają m.in. smukłe reflektory w technologii Full LED), wystarczająco praktyczna, aby pewnie czuć się w każdych warunkach, i wystarczająco nowoczesna, aby móc włączyć się

w dyskusje w korpo o zaletach i wadach samochodów z napędem elektrycznym. X-Trail ma bowiem ponad 19 cm prześwitu, pozwala też kierowcy łatwo dostosować najlepszy tryb jazdy do bieżącej sytuacji na drodze (do wyboru są tryb jazdy po śniegu, standardowy, eco oraz sportowy). Najnowsza wersja SUV-a średniej klasy z 213-konną hybrydą e-Power łączy również ze sobą kluczowe zalety silnika benzynowego i napędu elektrycznego. Auto wykorzystuje bowiem silnik benzynowy wyłącznie do wytwarzania energii dla silnika elektrycznego, który napędza pojazd. Zaletą takiego rozwiązania jest cicha jazda (niemal jak w „elektryku”), ale bez potrzeby poszukiwania stacji ładowania samochodów elektrycznych. „Ładowany” benzyną X-Trail jest

też wystarczająco dynamiczny jak na rodzinny SUV-a. X-Trail w wersji e-Power e-4orce z napędem na obie osie od zera do setki przyspiesza w 7 s. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h. Średnie zużycie paliwa w jesiennym teście wyniosło 7 l/100 km.

Wnętrze jest praktyczne i przestronne. W kabinie dominuje przyjemne w dotyku wykończenie. W najwyższej wersji wyposażenia na desce rozdzielczej, tunelu środkowym i drzwiach pojawia się skóra. Są też cyfrowy kokpit o przekątnej 12,3 cala, wyświetlacz NissanConnect o wysokiej rozdzielczości i przekątnej 12,3 cala oraz wyświetlacz przezierny o przekątnej 10,8 cala. System multimedialny z pewnością nie należy do najbardziej nowoczesnych na rynku, ale działa płynnie i bez problemu radzi sobie z obsługą Android Auto czy Apple CarPlay. Ergonomiczne fotele zapewniają wygodną podróż na długich trasach. Kierowca i pasażerowie mają też do dyspozycji trzystrefową klimatyzację oraz podgrzewanie zarówno przednich foteli, jak i tylnej kanapy. Bagażnik wersji pięcioosobowej ma 575 l pojemności, a siedmioosobowej 485 l.

Nissana X-Trail w wersji wyposażenia N-Connecta można kupić za 170,2 tys. zł. Wyższa odmiana Tekna z miękką hybrydą i napędem na jedną oś to wydatek co najmniej 195,5 tys. zł, a z napędem e-Power co najmniej 203,2 tys. zł (z silnikiem o mocy 204 KM i napędem na przednią oś) lub 213,2 tys. zł (z napędem na cztery łapy i silnikiem o mocy 213 KM).

DREAME L40 ULTRA

Bardzo wysoka wydajność sprzątania, automatyczne opróżnianie zbiornika na kurz oraz mycie podłóg mopujących gorącą wodą, banalnie prosta obsługa, minimalistyczne wzornictwo i świetny stosunek ceny do jakości – to największe zalety inteligentnego robota sprząającego chińskiej marki Dreame.

Robot wygląda na klasę premium. Wysoka jakość białych plastików idzie tu w parze z minimalistycznym designem. Stacja dokująca ma dwa zbiorniki na wodę (na czystą 4,5 l i brudną 4 l). Pojemność worka na kurz w stacji to zaś 3,2 l. A co z jakością sprzątania? Jest bardzo dobrze. Moc ssąca na poziomie 11 tys. Pa sprawia, że L40 Ultra świetnie radzi sobie na winylach, kafelkach, panelach czy dywanach. L40 Ultra ma też potężną przewagę w porównaniu z wieloma konkurencyjnymi robotami sprząającymi: do czyszczenia trudno dostępnych zakamarków służą tu nie tylko dodatkowo wysuwana szczotka boczna (tę ma już wiele modeli), lecz także wysuwający się pad mopujący (pady podczas mopowania obracają się 180 razy na minutę). Dzięki temu dokładnie posprzątane są także przestrzenie w kątach, wzdłuż listew przypodłogowych czy np. pod niską szafką telewizyjną. Robot potrafi też sprzątać pod firanami i zasłonami.

Przydatną cechą L40 Ultra jest również czujnik zmiętnienia – gdy robot wykryje, że woda służąca do mopowania jest już zbyt brudna, to grzecznie pojedzie umyć swoje pady (w wodzie podgrzanej do 65 st. C), wysuszy je gorącym powietrzem i wróci do sprzątania. Dzięki temu urządzenie lepiej czyszczy i nie zostawia smug. Robot potrafi też samodzielnie zdjąć pady mopujące, pojechać odkurzyć dywan z wysokim włosiem i wrócić po pady do mopowania podłogi. Za nawigację odpowiedzialny jest laserowy radar LiDAR współpracujący z kamerą z doświetleniem LED i czujnikami. Bateria 5200 mAh mogłaby być nieco większa, ale i tak wystarcza na posprzątanie całego poziomu domu jednorodzinnego na jednym ładowaniu.

Wady? Niestety, trudno się do czegoś przyczepić. Droższe modele mają co prawda nieco większą moc ssania (12 tys. Pa wobec 11 tys.) i wyższą temperaturę wody do mycia padów (70 st. C wobec 65 st. C), ale różnice są minimalne. Niedawno wpisałem w tym miejscu wysoką cenę, ale akurat teraz L40 Ultra jest przeceniony z 5299 zł do 3699 zł, a to już atrakcyjna wycena jak na tak zaawansowanego robota. ☺



FOT. MATERIAŁY PRACOWNE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

105



Oda miłosna do karpia



Ważenie karpia na Wigilię w Krakowie
w 1934 r. FOT. NAC



Cezary Gmyz

Co roku zżymam się na bezmyślnie powtarzaną bzdurę, jakoby króla polskiej Wigilii na nasze stoły wprowadzili komuniści. A konkretnie aparatczyk Hilary Minc, który ponoć miał rzucić w latach 40. hasło: „Karp na każdym wigilijnym stole”. Poświęciłem trochę czasu, szukając źródła tej informacji w ukazujących się wówczas gazetach. I co? I nic

Nie było takiej kampanii. Bo jej nie mogło być, a to z tego prostego powodu, że karp daniem wigilijnym jest znacznie dłużej, choć nie sposób stwierdzić, kiedy wszedł na stałe do menu najważniejszej w roku polskiej wigierzy.

Najstarszy przepis na arcypolskiego karpia w sosie szarym pochodzi z pierw-

szej polskiej książki kucharskiej – słynnej „Compendium ferculorum albo zebranie potraw” Stanisława Czernieckiego, wydanej w 1682 r. Znajdujemy w nim wiele przepisów na karpia, w tym na „karpia z juszycą”, czyli po prostu krwią. Lektura przepisu nie pozostawia wątpliwości, że chodzi o danie znane później jako karp w sosie szarym.

Przepisy na karpia zawiera też druga znana polska książka kucharska, a mianowicie „Kucharz doskonały” Wojciecha Wielądki z 1783 r. Książka ta jest o tyle istotna, że korzystał z niej Adam Mickiewicz, odtwarzając staropolskie uczty w „Panu Tadeuszu”.

Na pewno jednak możemy stwierdzić, że w najważniejszych kucharskich pozycjach XIX-wiecznych i tych z początku XX w., takich jak „365 obiadów” Lucyny Ćwierczakiewiczowej (I wydanie 1860 r.) czy „Uniwersalna książka kucharska” Marii Ochorowicz-Monatowej (I wydanie 1910 r.), karp w menu wigilijnym stoi jak byk. Co ciekawe, u Ochorowicz-Monatowej karp figuruje zarówno w menu określonym jako wykwintne, jak i w menu określanym jako skromne. Zaprzecza to innej bzdurnej tezie, jakoby karp był jedynie rybą spożywaną przez biedotę ze względu na swoją niską cenę.



Owszem, w jadalospisach wigilijnych figurują również inne ryby uchodzące za bardziej wykwintne, takie jak turbot czy sandacz. Nie ulega jednak wątpliwości, że co najmniej od XIX w. karp na polskim stole wigilijnym był rybą najpopularniejszą, a niektóre przedwojenne książki kucharskie określają go jako jedyne rybne danie tradycyjne, co świadczy o tym, że jego rola wówczas, a więc na długo przed rządami Minca, na polskich stołach była już ugruntowana.

Innym faktem zaprzeczającym komunistycznemu rodowodowi karpia jest to, że ryba ta jako danie wigilijne była lub jest znana nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach środkowoeuropejskich, by wymienić Czechy, Austrię czy niektóre części Niemiec położone na wschodzie tego kraju. Ba! Nawet więcej – w języku niemieckim funkcjonuje wręcz określenie „Weihnachtskarpfen”, podobnie jak w czeskim „Vánoční kapr”, oznaczające świątecznego karpia, i dalibóg żaden Hilary Minc ich do tych języków nie wprowadzał.

Jeżeli już jesteśmy przy Czechach, to warto wspomnieć, że pomnikowa postać dla tamtejszej sztuki kulinarnej, Magdalena Dobromila Rettigová, w swojej książce „Domáci kucharka” (wydanej w 1826 r.) twierdzi, że najpopularniejszy sposób na przyrządzanie tej ryby, czyli w panierce, przywędrował do Czech z Austrii. I myślę, że można zaryzykować tezę, iż karp, podobnie jak chrześcijaństwo, do Polski zawędrował właśnie z Czech. I co ciekawe, przełomowe dla hodowli karpia odkrycia i wynalazki miały miejsce na ziemiach polskich pod zaborami właśnie, na pograniczu z Czechami. Ale o tym za chwilę.

DANIE Z MONGOLII

Pierwsza w ogóle wzmianka o karpie jako daniu wigilijnym pochodzi z 1253 r. Co ciekawe, dotyczy ona... Mongolii. Flamancki mnich Wilhelm z Rubruk, który dotarł z poselstwem od króla Francji Ludwika IX Świętego do wielkiego chana Mongke, stwierdził ze zdumieniem, że na jego dworze chrześcijaństwo jest już znane, choć w wersji nestoriańskiej. A konkretnie nestorianką była żona tego wnuka Czyngis-chana.

Franciszkański mnich odnotował, że na Boże Narodzenie „najpierw podano baranie, a potem na stół przyniesiono wielkie

Skąd popularność karpia? Nie jest wybredny w odżywianiu i nie potrzebuje dużej przestrzeni do życia

ryby, które nazywano karpami. Jedną z nich jadłem”. Zapewne karpie na dwór chana zawędrowały z Chin. Faktem jest, że od XIII w. karp jest już rozpowszechnioną rybą hodowlaną. Jednak spór o to, kto pierwszy udomowił tę rybę, pozostaje nierozstrzygnięty. Jedni przypisują to osiągnięcie starożytnym Rzymianom, inni twierdzą, że mniej więcej w tym samym czasie dokonali tego Chińczycy. Być może dałoby się ten spór rozstrzygnąć, porównując genetycznie populacje, ale nie udało mi się natrafić na takie badania.

Tak czy inaczej, na ziemiach polskich karp jako ryba hodowlana pojawia się w XIII w., a ma to miejsce w istniejących do dziś wspaniałych stawach hodowlanych w Miliczu, zasilanych przez wody Baryczy. To właśnie na tym terenie znajduje się największy w Europie staw Grabownica liczący sobie aż 283 ha.

Co sprawiło, że karp już od średniowiecza stał się najpopularniejszą rybą hodowlaną? Nie ulega wątpliwości, że są to cechy, którymi tę rybę obdarzyła sama

natura. Większość ryb do rozwoju potrzebuje dobrze natlenionych wód i specyficznego pokarmu. Na tym tle można by rzec karp swój hodowlany sukces zawdzięcza podobnym czynnikom jak świnia. Nie jest specjalnie wybredny w odżywianiu i nie potrzebuje dużej przestrzeni do życia. Jednak za jego sukces w hodowli odpowiada przede wszystkim cechująca go niezwykła odporność na niską zawartość tlenu w wodzie, a dodatkowo to, że stosunkowo dość długo potrafi przeżyć poza wodą dzięki pęcherzowi pławnemu, absorbując tlen atmosferyczny. Przy zachowaniu wilgotności skóry i skrzelii oraz odpowiednio niskiej temperaturze karp jest w stanie przeżyć kilka godzin. To zaś w praktyce oznacza, że bez większego uszczerbku przeżywa proces przetrzucania z jednego do drugiego stawu, a także dobrze znosi transport w minimalnej ilości wody.

PRZEŁOM NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

Począwszy od średniowiecza, metoda hodowli karpia przez wieki pozostawała niezmienna. Po prostu narybek wpuszczano do stawu, zapodawano paszę i po pięciu–sześciu latach odławiano. Ryby hodowano wszędzie, począwszy od niewielkich sadzawek w chłopskich zagrodach, a na wielohektarowych stawach w majątkach dworskich i klasztornych skończywszy.



Kolejka po karpia na Wigilię w Krakowie w 1934 r. FOT. NAC



■ Przełom dokonał się na Śląsku Cieszyńskim wchodzącym w skład monarchii austro-węgierskiej. Autorem epokowego odkrycia był Tomasz Dubisch będący mistrzem rybackim w stawach w Iłownicy. Przypadkiem zaobserwował on, że karpie mające więcej miejsca rozwijają się lepiej i szybciej przybierają na wadze. Zaowocowało to wynalezieniem metody zwanej metodą Dubischa, od nazwiska wynalazcy – Tomasza Dubischa. Polega ona na tym, że karpie w ciągu swojego życia są trzy, a nawet czterokrotnie przenoszone do nowych stawów, gdzie mają coraz więcej miejsca i świeżego pożywienia.

W pierwszym roku narybek z tarlisk jest wpuszczany do pierwszego stawu. Kiedy rybki osiągną od 1 do 5 gramów, co ma miejsce zazwyczaj w okolicach lipca, przenoszone są do następnego stawu. Od nazwy miesiąca ten rozmiar określany jest lipcówką. W drugim roku życia karpie przenoszone są do jeszcze większego i głębszego stawu. Tam osiągają masę ok. 250 gramów. Trzeciego roku na wiosnę kroczyki – bo tak się określa karpie tej wielkości – są przerzucane do stawów określanych mianem towarowych. Tutaj osiągają wielkość do 2,5 kg. Na samym końcu trafiają do stawów magazynowych, z których kierowane są do sprzedaży. Od razu dodajmy – karp jest w stanie osiągnąć znacznie większą wagę. Rekordowy karp został złowiony przez polskiego wędkarza na Węgrzech. Waży ponad 47 kg. Jednak osobniki tej wielkości uchodzą za mało smaczne i są przez wędkarzy wypuszczane.

Metoda Dubischa okazała się strzałem w dziesiątkę. Skróciła o blisko połowę czas hodowli. Była takim przełomem, że jej wynalazca został uhonorowany przez cesarza Franciszka Józefa złotym medalem.

Kolejny przełom w hodowli karpia dokonał się również na Śląsku Cieszyńskim za sprawą Adolfa Gascha z Kaniowa. Sporą część życia poświęcił on na wyhodowanie karpia doskonałego. „Nie spocząłem na laurach – zagaja w jednej ze swoich publikacji Gasch – lecz wziąłem sobie za cel ulepszenie rasy karpia przez odpowiednią selekcję osobników, mając specjalny wzgląd na ich budowę i zdolność do szybkiego wzrostu (nie może to dziwić, tak postępuje się z każdym gatunkiem).



Nie sposób stwierdzić, kiedy karp wszedł na stałe do menu najważniejszej w roku polskiej wieczery. Ilustracja z książki Jadwigi Izdebskiej „Kuchnia polska” z 1912 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dążyłem do uzyskania ryby, w której znajduje się więcej mięsa, mającej dobrze wykształcone ciało – nie tylko poprzez zwiększanie wagi, lecz przede wszystkim proporcji między bardziej a mniej cennymi częściami karpia. Rozwijałem te zwiększające jego wartość. Zwracam zatem uwagę na odpowiednio małą głowę, łukowato wygięty, pełny grzbiet i zaokrągloną sylwetkę. Innymi słowy, dobry, rasowy karp jest między rybami tym, czym szlachetne gatunki pośród bydła. Prawdopodobnie więc karpie na długo staną się głównym podmiotem hodowli w naszych stawach” – czytamy w publikacji Sławomira Lewczyka, biografą Gascha. Sukces nastąpił w 1880 r., kiedy Gasch zaprezentował swoje osiągnięcia na wystawie w Berlinie. Jego ryby zrobiły wielkie wrażenie. Co ciekawe, choć Gasch swój podręcznik gospodarki stawowej napisał po niemiecku, to jego odmiana karpia określana jest mianem polskiej lub rzadziej galicyjskiej. Nawiasem mówiąc, mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego za tym drugim określeniem nie przepadają, ponieważ nie uważają się za część Galicji. Właśnie z tego powodu w Kaniowie do dziś obchodzi się Święto Karpia Polskiego, a nie galicyjskiego. Dodajmy po raz kolejny – jeśli komuś zawdzięczamy wigilijnego karpia, to są to właśnie Dubisch i Gasch, nie zaś komunistyczny aparatczyk Minc.

ZASADY KOSZERNOŚCI

Choć dziś najpopularniejszą formą spożywania karpia jest jego wersja smażona soute lub w panierce, to jednak najbardziej tradycyjną formą przyrządzania karpia w Polsce było przyrządzanie go w szarym sosie, którego najważniejszymi składnikami są krew zabitej ryby oraz bakalie. W 1930 r., a więc wiele lat przed Hilarym Mincem, Elżbieta Kiewnarska w książce „Jedz ryby. Przepisy przyrządzania karpia i innych ryb słodkowod-

nych” tak pisze o tym sposobie przyrządzania karpia: „Przez dzieci przede wszystkim, lecz i przez wiele dorosłych osób, lubiana i tradycyjna wigilijna potrawa”. Ta wersja karpia znana jest w kuchni międzynarodowej właśnie jako karp po polsku. Jednak mimo polskiego charakteru tej potrawy jej źródłem jest słynny na świecie karp po żydowsku, czyli gefilte fisch będąca symbolem kuchni aszkenazyjskiej. W obu daniach mamy do czynienia z bardzo podobnymi nutami smakowymi. Choć oczywiście oryginalny przepis aszkenazyjski nie zawiera krwi, a chałka dodawana do farszu musi być moczona w wodzie, a nie w mleku, gdyż zasady koszerności zakazują łączenia białka zwierzęcego z mlekiem.

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o jednym daniu z karpia. Do kuchni międzynarodowej wprowadził go nasz rodak znany we Francji jako Edouard de Pomiane. Urodził się w rodzinie polskich emigrantów jako Edward Pożerski. Był lekarzem i gastronomem. Jest chyba jedynym cudzoziemcem, który wdarł się do plejady takich gwiazd francuskiej sztuki kulinarnej jak Marie-Antoine Carême, Paul Bousse czy Auguste Escoffier.

Najsłynniejszym daniem wymyślonym przez Polaka jest drobiowy kotlet à la Pożerski, mylnie nazywany w ojczyźnie jego przodków kotлетem pożarskim. Jednak poczesne miejsce w jego twórczości kulinarnej zajmuje również karp nazwany jego francuskim nazwiskiem Pomiane. Choć można wyczuć w tym daniu lekką inspirację karpem po żydowsku – jest to bowiem ryba faszerowana – to jednak przepis ten ani nie jest koszer, ani nie nadaje się na Wigilię. W skład farszu wchodzi bowiem słonina. Niemniej przepis wart jest wypróbowania w inne niż wigilijne dni. Do czego państwa namawia autor będący fanatycznym wielbicielem karpia nie tylko na Wigilię.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



ANNA POPEK Z D. CHRZUZI
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUZI

SIOSTRY GOTUJĄ

Inny pomysł na karpia

Czasem pomysłów na dania szukamy po całym świecie, a czasami „gołąbki same wlecą do gąbki”, czyli potrawy i przepisy na nie same do nas przychodzą. Ostatnio spotkałyśmy się z KGW Jagodzianka z Bukowej z Lubelszczyzny. Wśród potraw, które przywiozły ze sobą miłe panie, był także delikatny i wyśmienity paszтет z karpia. Jeśli ktoś nie lubi smażonej wersji tej ryby, to autorski przepis pani Doroty będzie bardzo dobrym wyborem. Karp z miejscowych stawów hodowlanych jest na Lubelszczyźnie łatwo dostępny i jest to ryba świeża i dobrej jakości. Lubelskie lasy obfitują zaś w żurawinę. Dlatego też danie z wykorzystaniem lokalnych składników, ale połączonych w oryginalny sposób będzie ciekawą propozycją na świąteczny lub noworoczny stół.

Świąteczny paszтет z karpia

- 1 kg mięsa z karpia • 3 jaja
- 100 g kaszy manny • 2 łyżki bułki tartej • 2 cebule • 2 szczypty gałki muszkatołowej • 2 szczypty pieprzu
- 1/2 łyżka soli • 1 łyżka majeranku
- 2 łyżki świeżego koperku • olej do smażenia • garść żurawiny suszonej

Zaczynamy od przygotowania 1 kg karpia. Mięso ryby porcjujemy na mniejsze części, wykładamy na blachę, posypujemy pieprzem białym, polewamy olejem i pieczemy przez ok. 12 min w temperaturze 185 st. C. Potem starannie obieramy z ości i mielimy w maszynce do mięsa. Następnie podsmażamy cebule na złoty kolor na oleju, przepuszczamy przez maszynkę do mięsa. Dodajemy jajka, doprawiamy solą, białym i czarnym pieprzem, gałką muszkatołową, majerankiem. Mieszmamy, dodajemy kaszę mannę ugotowaną na sytko i bułkę tartą, wyrabiamy, aż składniki dobrze się połączą. Dodajemy posiekany koper, posiekaną żurawinę suszoną, wszystko jeszcze raz mieszmamy. Keksówkę smarujemy masłem, posypujemy bułką tartą, wykładamy masę i formujemy, wierzch można posmarować dodatkowo roztrzepanym jajkiem i posypać majerankiem.

Pieczemy w piekarniku przez ok. 35 min w 185 st. C.

Jeśli macie zgrzewarkę próżniową, to można zapakować paszтет. I wtedy w lodówce wytrzyma dwa tygodnie. Ale sądzimy, że zjecie od razu – w końcu święta to najlepszy czas na spotkania oraz jedzenie i radowanie się relacjami z bliskimi. © ©



FOT. ANDRZEJ STOK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Apocalypse now?

Zmobilizowana przez Yves'a Cocheta – deputowanego Partii Zielonych z Paryża i byłego ministra środowiska – grupa specjalistów od katastrofy stawiała się na kolokwium w grudniu 2010 r., i to nie było gdzie, ale w siedzibie Zgromadzenia Narodowego Francji. Z tego szacownego miejsca przemówili głosiciele apokalipsy, zapowiadając upadek całego systemu cywilizacji nie za 50 lat, by zostawić wszystko opiece potomnych, ale do roku 2020. Przed rokiem 2020 globalna katastrofa zmieni bieg spraw [...]. Myślę tu szczególnie o załamaniu się światowego systemu finansowego z równoczesnym upadkiem przemysłu naftowego i kataklizmem klimatycznym, ekologicznym lub geologicznym w wielkich rozmiarach”.

To fragment fenomenalnej książki rumuńskiego historyka Luciana Boia „Koniec Zachodu? W stronę jutrzejszego świata”. Wydał ją PIW, gwarancja jakości.

Mamy koniec roku 2024 i żadna katastrofa „o wielkich rozmiarach” się nie wydarzyła, pomijając katastrofę komunikacyjną w miejscach, gdzie do asfaltu przyklejają się aktywiści grupy Ostatnie Pokolenie. Kolejna prognoza przyszłości trafiona kulą w płot.

Ile już było podobnych przepowiedni: ekspertów, naukowców, wróżbitów? Każda wypowiedziana tonem absolutnej pewności. O Rosji, Ameryce, Chinach, wojnie na

Ukrainie, wyborach. Kto się przyczyna, że trafił kulą w płot? Nikt. A co u pana, panie Cochet? Czy siedzi pan teraz cichutko w jakimś schronie, czekając na apokalipsę?

W tej maleńkiej książeczce, którą przeczytacie w jeden wieczór, Lucian Boia się nie mądrzy, nie wyrokuje, nie prognozuje. Analizuje, myśli, stawia pytania. Od Horacego się zaczyna, przelatuje przez historię cywilizacji europejskiej i jest tam wszystko, co powinniśmy wiedzieć, żeby zrozumieć, co dzieje się teraz. I oto jesteśmy w roku 2010 – Zachód jest wciąż dominującym graczem współczesnego świata. Ale przez ostatnie lata żyje ponad stan swych rzeczywistych możliwości, pokrywając rosnącą pustkę substancji gospodarczej fikcyjną konstrukcją operacji finansowych. Dodałabym: oraz lewicowymi ideologiami, które zamiast pustkę zapełnić, tworzą pole konfliktów.

Boia nie mógł tego wiedzieć. Pisząc tę książkę w 2010 r., nie wiedział też o wojnie na Ukrainie, o kryzysie migracyjnym, o pandemii.

Czytałam to, jakbym czytała Scrutona, ale jest to lektura łatwiejsza, bardziej syntetyczna, lżejsza. Swoboda, z jaką Boia porusza się w obszarach cywilizacji naszego regionu, sprawiła, że postanowiłam kupić tę książeczkę na Gwiazdkę liczny członkom rodziny i znajomym.

Ofiarować parę godzin czystej przyjemności czytania – czy można więcej? © ©



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Buntownicy z Ciążenia

Wieś Ciążen niedaleko Słupcy w Wielkopolsce znana jest z zabytkowego kościoła pw. Jana Chrzciciela z początku XVI w. Drugi zabytek to pałac zbudowany w latach 1758–1768 przez bp. Teodora Czartoryskiego. Mało kto wie jednak, że okolice wsi, a przede wszystkim pobliski, leżący na południowym wschodzie Królików, stały się w 1651 r. ośrodkiem buntu chłopów, który miał wspomóc uderzenie wojsk kozacko-tatarskich na siły Korony i pospolite ruszenie. Ostatecznie 30 czerwca 1651 r. armia koronna pobiła przeciwnika pod Beresteczkiem.

Na ziemiach zachodniej Korony doszło wówczas do wzburzenia wśród ludności luźnej i chłopów nazywanego przez komunistycznych i lewackich szamanów

historii powstaniami chłopskimi, z których najsylniejszym był bunt Aleksandra Kostki-Napierskiego.

Drugą taką próbą był ten wywołany przez niejakiego Grzybowskiego w Wielkopolsce.

W rzeczywistości oba zbrojne zajścia były raczej próbą wykorzystania sytuacji przez lokalnych awanturników, aby spróbować dywersji i w razie powodzenia pójść drogą sławy Bohdana Chmielnickiego.

Czy bunty na Podhalu i w Wielkopolsce inspirowane były przez kozackiego przywódcę? Brakuje dowodów na to, choć liczne źródła historyczne podają, że w celu wywołania niepokojów Chmielnicki wysłał na Ruś Czerwoną, do Małopolski i Wielkopolski licznych emisariuszy, aby podpalali miasta, folwarki szlacheckie i zatruli studnie. W samym województwie

kaliskim było ich ponoć 80. Wątpliwe jednak, aby istniała sieć takich agentów.

Znaleźli się jednak awanturnicy próbujący wykorzystać okazję do zaistnienia jako chłopscy watażkowie. W Ciążeniu i Królikowie pojawił się zatem niejaki Grzybowski, być może Piotr, nie wiadomo, czy szlachcic, bo Wawrzyniec Rudawski nazywa go człowiekiem nieznanego pochodzenia. Dobrawszy sobie kilku popleczników, próbował buntować chłopów i organizować z nich oddziały wojskowe. Grzybowski był, jak wyznał u mistrza na igraszkach jego konfrater Kułakowski: „Mąż urodziwszy, pleczysty, wieku średniego, dołkowaty, wąs czarny, czupryna okrągła, u lewej ręki dwa palce kaleka, podle wielkiego stoi jako rożen, skurczyć go nie może, a mały zaś skurczony, podle oka lewego w końcu brwi czarne zagajenie”. Oprócz Kułakowskiego poplecznikami Grzybowskiego stali się dwaj krewni sobie Ostrowscy. Jeden miał czarną brodę, jeździł na kolasie z myszą szkapą, posiadał dwie małpy, z których jedna duża, tłusta i ślepa potrafiła żebrać; młodszy Ostrowski nazywał starszego stryjem. Poza nimi agitatorami byli jeszcze: Ostrołęcki i Piasecki, który miał lat 40, lewe ramię wyższe od prawego, jeździł z żoną w kolasce zaprzężonej w białego konia. Tacy to właśnie ludowi herosi, zapewne wkrótce bohaterowie nowej, jedynie słusznej, bo ludowej historii polskiej, próbowali opanować Wielkopolskę.

Grzybowski i jego kompania wykorzystali konflikty między panami i poddanymi, których nie brakowało, zwłaszcza w dobrach królewskich. Przywódca miał, podobnie jak Napierski, sfalszowane listy od hetmanów świadczące, że był w niewoli u Tatarów i zbiera na

okup. Korzystając z nich, werbował ochotników do oddziałów wojskowych w Poznaniu. Wspólnie zachęcali chłopów do wystąpienia przeciwko swoim panom, przedstawiając im korzyści z rabowania dworów i wydobywania się z ciężkiego położenia. Zebrawszy, jak podaje Niedźwiedzki, dzierżawca Królikowa, ok. 2 tys. ochotników, założyli obóz w lesie pod wsią, wykopali rowy i umocnili się. Jednak ok. 7 czerwca 1651 r. ich przygotowania wyszły na jaw.

Zaniepokoił się właściciel Ciążenia, bp Kazimierz Florian Czartoryski, i wysłał z Poznania 200 swojej własnej jazdy dla pokonania Grzybowskiego. Wkrótce dotarli do nich posiłki przysłane z Warszawy przez królewicza Karola Ferdynanda – 300 konnych. Na czele połączonych sił stanął opat łądecki Jan Zapolski, kolejny wojujący mnich polski, który zasłużył się później w czasach potopu szwedzkiego. Zapolski pomiędzy 7 a 23 czerwca uderzył na obóz chłopski pod Królikowem, błyskawicznie pobił i rozproszył watahy, które nie przejawiały dużego zapału do walki.

Przywódców powstania ujęto. Czterech z nich posadzono na palikach jak na krzesłach senatorskich, zapewne był wśród nich Kułakowski, nie wiadomo, jaki los spotkał Grzybowskiego, gdyż dwóch z hersztów, nieznanymi z nazwiska, ukryło się w lasach. Słaba i źle zorganizowana ruchawka wzbudziła więcej nerwów w Poznaniu i Warszawie niż zagrożenia dla wojsk koronnych maszerujących już pod Beresteczko. Wydaje się też, że chłopci nie mieli ochoty do walki, a szlachta – poza straceniem przywódców – do stosowania krwawych represji. Oznacza to, że w Wielkopolsce nie istniał podobny konflikt społeczny jak na Ukrainie. ©



RCS OBA



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wigilijny
świerszcz

Zbliżają się święta i zapełnią się polskie stoły. Okazuje się, że największa uczta Polaków jest postna. Uczmy się więc, że można wyjść z Wigilii z pełnym brzuchem, nie jedząc mięsa. W Europie zorganizowanej postanowiono pociągnąć ten stan na cały rok. Białko to białko i, głównie w Unii, i to z powodów ekologicznych, zaczęto rozglądać się za alternatywą białka zwierzęcego.

W styczniu zeszłego roku Unia dozwoliła na dodawanie składnika owadziego (tu chodziło o świerszcza domowego) do produktów spożywczych. Ale od razu okazało się, że do świerszcza dołączyły pleśniakowiec lśniący, mącznik młynarek, karaluchy, szarańcza wędrowna i robaki bufallo. Kolejna sprawa to kwestia informowania, że coś takiego jest w produkcie. W tym przypadku się okazało, że to przecież z tymi robakami nie nakaz, lecz wybór. Konia z rzędem jednak temu, kto rozczyta w mikroskopijnych opisach składu, co tam jest.

Kto się nie uczył łaciny, ten przepadł. Jakoś tak przypadkiem bowiem nie podaje się tu nazw rodzimych, tylko ich łacińskie odpowiedniki. A więc jak przeczytacie, że macie do czynienia z *Acheta domestica*, to jesteście tuż przed spożyciem świerszcza domowego, *Alphitobius diaperinus* to pleśniakowiec lśniący, *Tenebrio molitor* to mącznik młynarek, niewinne *Blattodea* zaś to karaluchy. Do tego mamy

też zakodowane wszystko to w numerycznych zapisach. Na przykład E120 to koszenila. To ona po zmieleniu czerwca kaktusowego czerwieni nasze produkty, tychże czerwców zaś wydzielina (E904), zwana szelakiem, jest nabłyszczaczem do tego, co spożywamy. A więc jest to tak kodowane, że nie wiemy, co jemy.

Kto miał tu jakiegoś wątpliwości, stawał przed pręgiem śmiechu, bo takiemu się tłumaczyło, że robaki je od lat, czego dowodzono na przykładzie wspomnianej koszenili. Ale ta sprawa pokazała nam tylko to, co przemysł spożywczy pcha do żywności, a my – nie wiedząc o tym – jemy to, niechby, od lat. To tak, jakbyśmy się dowiedzieli, że pchano tam sproszkowane gwoździe. A więc skąd ta awantura, skoro było tak zawsze – a więc dołożymy jeszcze mielone śrubki i śrubokręty?

Ja jestem za tym, by każdy jadł to, co chce. Chcę mieć tylko wybór. Czemu więc tacy Węgrzy, przecież członkowie Unii, wprowadzili u siebie rozwiązanie, by produkty, że tak powiem odowadzie, były jasno oznaczane na opakowaniu, bez łaciny, a ich amatorzy mogli się zaspokoić na wydzielonych i oznaczonych półkach? My, wiedzeni niewiedzą, będziemy za chwilę poddani medialnej bece, że po co się awanturujemy, skoro od lat zjadamy larwy i ich odchody.

A więc pytanie: Czy świerszcz w galarecie na wigilijnym stole jest postny? ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Złowrogi! Na
ekranie i w życiu

Jednym z największych sukcesów Złego jest doprowadzenie do takiej sytuacji, że nawet najmniej wzmianka o istnieniu osobowego, inteligentnego bytu, którego celem jest zguba dusz ludzkich, budzi w towarzystwie wymianę spojrzeń i uśmiech politowania. Ostatnio zostałem zapytany przez znajomego, praktykującego katolika, czy popelnia grzech, nie wierząc w istnienie diabła. Odpowiedziałem mu, że istnienie diabła jest niezależne od liczby osób, które twierdzą, że istnieje lub nie, natomiast skuteczność jego podbojów jest wprost zależna od stopnia bagatelizowania jego obecności w świecie.

Nie osiągnąłem za wiele, dlatego odwołałem się i zaproponowałem obejrzenie niesamowitego filmu „Nefarious”. Historia opowiedziana przez amerykańskiego reżysera dotyczy kwestii opętania, dzieje się współcześnie, ale nie jest typowym piekielnym horrorem z egzorcyzmami, demonami i manifestacją ciemnych sił za pomocą efektów specjalnych. Film jest jakby kameralną etiudą graną w zasadzie przez dwóch aktorów. Graną rewelacyjnie. Jedną z ról to osobowość rozdwojona, czyli tak, jakby ten sam odtwórca wcielał się w dwie diametralnie różne osoby. Akcja rozgrywa się w kilka godzin, w jednej przestrzeni, ale istota dramatu sięga głęboko w czeluści ludzkiej duszy i wykracza poza horyzont doczesności. Nie uprzedzając

istoty intrygi, zaznaczę tylko, że w tle pojawia się diagnoza współczesnego społeczeństwa z aborcją, eutanazją, utratą elementarnego rozróżnienia dobra i zła. Film, choć dotyka metafizyki, jest boleśnie realistyczny. Obok głównego wątku, którego nie chcę zdradzać, pokazuje arogancję uniwersyteckich celebrytów i pożałowania godną kondycję postępowej części amerykańskiego duchowieństwa.

Na kanale „Jan Pospieszalski rozmawia” opublikowałem z kapłanem obszerny podcast o tym filmie i nagle zaczęły się piętrzyć trudności. Pod pretekstem uchybień prawnych nagranie zostało zablokowane. Choć szybko wyjaśniliśmy sporne kwestie, to mnożone są kolejne zastrzeżenia. Jednocześnie od polskiego dystrybutora, który zapowiadał wprowadzenie filmu do polskich kin 27 grudnia, nadeszła wiadomość, że popularna sieć, mimo wstępnej pozytywnej oceny, nagle odmówiła rozpowszechniania. W tym samym czasie kapłan, z którym zrealizowałem nagranie, doznał poważnej kontuzji, a ja sam zacząłem zaliczać niespodziane awarie i kłopoty.

Ktoś może powiedzieć: przypadek – a łączenie różnych, rozproszonych zdarzeń to nadużycie i przewrażliwienie. Być może tak. Bez względu jednak na to, czy film wejdzie na ekrany czy trzeba go będzie pobrać z płatnych platform, naprawdę warto go obejrzeć. Polecam szczególnie niedowiarkom. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

I tak to się
u nas kręci

10 zł za kostkę masła. Do tego doprowadził prezes Glapiński – powiedział w Gliwicach kandydat Tuska na prezydenta Polski, Rafał Trzaskowski. Stop. Po słowach tych wiekopomnych ludzie podzielili się na trzy grupy. Stop. Pierwsza zaczęła się zastanawiać, czy aby Trzaskowski nie zwariował? Druga zaczęła rechotać, wizualizując szefa Narodowego Banku Polskiego trzymającego w skarbcu krowy i inwestującego w fabryki masła. Trzecia powzięła zaś pewność: Trzaskowski jednak zwariował... Stop.

Marcin Józefaciuk, poseł Platformy Obywatelskiej, nie przestaje zaskakiwać. Stop. Zaskakiwał najpierw jako nauczyciel, a nawet wicedyrektor tatuażami, potem, że jest jakimś poganinem i wierzy w jakieś bóstwa pogańskie zdaje się, chyba że być może drzewa nawet albo coś. Jeszcze później zaskoczył wszystkich, bo nie wiedział, czym jest władza wykonawcza, gdyż się biedakowi myliło permanentnie z ustawodawczą, potem ogłosił ni z gruchy, ni z pietruchy, że jest gejem, choć nikt go nie pytał, ale chciało mu się akurat ogłosić. Teraz przekazał światu, że jest otóż daltonistą. Stop. Józefaciuk na pomysł, że jest daltonistą, wpadł, kiedy dziennikarz pokazał mu flagę Finlandii i spytał, jakiego państwa to flaga, a on nie wiedział. Stop. Taki daltonistyczny wybieg, na który nie nabrał

się nikt chyba oprócz samego posła. Stop. Najbardziej jednak w przypadku posła Józefaciuka zaskakuje, że ktoś tak fajniutki został wybrany przez ludzi na posła...

Redaktorzy Figurski i Słowik ustalili, że żona ministra nauki Wieczorka została dyrektorką na Uniwersytecie Szczecińskim. Stop. Nie mogłaby zostać, gdyby kilka miesięcy temu na tym uniwersytecie nie zmieniono regulaminu. Stop. Dziennikarze ustalili też, że z kolei żona rektora US trafiła do Komisji Ewaluacji Nauki, którą powołał... Dariusz Wieczorek. Stop. Taka tam tradycyjna wymiana żon. Stop. Pytany o wymiankę typu: rączka żonę myje minister z lewicy rzekł, że fakty się zgadzają, ale wszystko nieprawda. Stop. Geniusz.

Politycy zaczynają właśnie bezwzględnie wykorzystywać temat drożyzny. Stop. „Boli was cena gazu, boli was cena prądu, boli was cena benzyny? No nie ma już chyba nad czym dyskutować. Ludzie już nie mają powoli z czego żyć. Są metody i sposoby, aby walczyć skutecznie z drożyzną” – powiedział jeden z polityków. Stop. A nie, przepraszam, pomyliłem coś, to akurat powiedział Tusk, ale grubo ponad rok temu, jak jeszcze nie rzadził, gdyż wtedy w ogóle obiecanki cacanki przychodziły mu lekko. Stop. Niemniej słowa Donka są jakby gotowcem dla dzisiejszej opozycji, tylko brać i cytować. Stop. I tak to się u nas kręci. ©©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Bojowe pianie
koguta

Nadspodziewanie szybko kończy się francuska obecność wojskowa w Afryce. Kontynent ten od stuleci uważany był za francuską strefę wpływów, zarówno gospodarczych, jak i politycznych. Kilkutysięczne kontyngenty wojskowe, rozlokowane w kluczowych państwach Afryki Środkowej, zabezpieczały interesy Paryża w ważnym surowcowo regionie.

Przed dwoma tygodniami prezydent Emmanuel Macron ogłosił plany szybkiego zredukowania obecności wojskowej Francji w Czadzie, Gabonie i Wybrzeżu Kości Słoniowej. Miało to związek z niespodziewaną decyzją prezydenta Czadu, który zerwał wszelką współpracę militarną z Paryżem. Dwa stacjonujące w Czadzie myśliwce Mirage zdążyły już wrócić do Europy, w ślad za nimi podążyć mają w ekspresowym tempie ekipy i ponad 2 tys. żołnierzy. „Czad był francuskim lotniskowcem na kontynencie afrykańskim, niezbędną bazą logistyczną. Bez obecności w Czadzie Paryż będzie miał wielkie kłopoty z prowadzeniem jakichkolwiek operacji wojskowych w regionie” – skomentował sytuację dyrektor miejscowej Fundacji Adenauera. Kolejnym niespodziewanym ciosem dla ambicji Emmanuela Macrona była wypowiedź prezydenta Senegalu, który w niedawnym wywiadzie dla francuskiej telewizji publicznej zażądał natychmiastowe-

go zamknięcia francuskich baz wojskowych. Są one „nie do pogodzenia z suwerennością Senegalu”. „To Chiny są dziś naszym największym partnerem gospodarczym, pod względem inwestycji i handlu. Czy Chiny obecne są militarnie w Senegalu? Nie” – wyjaśnił afrykański polityk.

Żalona rejteradę pogubionego Paryża obserwujemy od kilku lat we wszystkich krajach Afryki Zachodniej i Środkowej. Odesłać Francuzów do domu zdołały już plemienne junty w Mali, Nigrze i Burkina Faso. Szczególnie spektakularnie wyglądał ten proces w Nigrze, gdzie przebywało aż 1,5 tys. francuskich żołnierzy. Miejscowa policja po prostu anulowała tam ambasadorowi wizę, dając mu 48 godzin na opuszczenie kraju.

Często daje się słyszeć wojownicze wypowiedzi prezydenta Macrona, dotyczące konfliktu Ukrainy z Rosją. Raz po raz ogłaszał on, że nie wyklucza wysłania na Ukrainę żołnierzy. Czy wyobraża sobie, że dla armii niezdolnej do utrzymania pozycji w N’jamenie i Ouagadougou łatwiejsze będzie postawienie na swoim w Odessie lub Charkowie? Przeciwnikiem, przed którym cofały się w pośpiechu francuskie kontyngenty wojskowe, były pozbawione ciężkiego sprzętu półbose afrykańskie milicje. Na Ukrainie może im stawić czoła dobrze wyposażona armia o większych od Afrykanów kwalifikacjach i doświadczeniu. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nie śpij, bo cię ukradną

Bardzo zaniepokoiło mnie stwierdzenie pana Grzegorza Schetyny, że zwycięstwo kandydata Koalicji Obywatelskiej „domknie system” w Polsce. Nie wiem, czy do końca przemyślał on tę wypowiedź. Jako obywatel zadaję sobie pytanie, co to znaczy i o jaki system chodzi. Gdyby chodziło o system oparty na prostych zasadach prawnych i poznawczych, byłbym bardziej spokojny. Obawiam się jednak, że byłby to system, w którym prawo byłoby stosowane tak, jak w danej chwili rozumie je władza, i to zależnie od tego, kogo ma ono dotyczyć, a więc dziś tak, a jutro – czy w innej

z rządzącą większością może nie uznać wyniku wyborów prezydenckich ani orzeczenia Izby Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego. Jeśli więc wygra kandydat nie lubiany przez większość rządzącą, to nie będziemy mieli prezydenta.

Przedstawiciel PKW nie zauważył być może, że nie uznając Izby Kontroli, która zatwierdziła wynik wyborów sejmowych z 2023 r., podważył istnienie Sejmu i rządzącej większości. Oznacza to, że nie powinniśmy też mieć rządu. Na ratunek pospieszyl pan Szymon Hołownia, stwierdzając, że wtedy będzie rządził on. Plan może wyglądać logicznie, ale szkopał polega na tym, że funkcja

drewno, jakimi samochodami jeździć, ile powietrza wydychać i które lektury czytać. Co więcej, uchwała, ile płci mamy znaleźć wśród siebie oraz jak to tłumaczyć dzieciom, które będą zajęte autoerotyzmem. Mam jeszcze gorszą wiadomość: oni będą dowodzić, że wszystko, co się powie w obronie zdrowego rozsądku i obiektywnej rzeczywistości – jak powiadał towarzysz Stalin: „grzaskiego gruntu obiektywizmu” – jest „mową nienawiści”, która winna być karana. Obawiam się, że oznacza to inwestycje w więziennictwo.

Jeśli komuś to wszystko dziś wydaje się złym snem, to niech potem nie twierdzi, że nie wiedział. Mówi się o tym wszystkim otwartym tekstem. Kto ma uszy do słuchania, niech słucha, i kto ma oczy do patrzenia, niech patrzy. Jeśli Polacy prześpią ostatni moment, w którym mogą zaprotestować przeciw rewolucji obłędu i rezygnacji z resztek suwerenności, którym będą nadchodzące wybory prezydenckie, to obudzą się w naprawdę nieciekawej rzeczywistości. Przecież Unia zdominowana przez Niemcy zamierza wypchnąć Stany Zjednoczone z Europy, związać się z zasobami rosyjskimi i zorganizować jako superpaństwo konkurujące z USA i Chinami. Nie czekajmy, aż te szalone plany zawał się pod własnym ciężarem, bo możemy tego nie dożyć. Nie śpijmy, bo nas ukradną. ©

Jeśli Polacy prześpią ostatni moment, w którym mogą zaprotestować przeciw rewolucji obłędu i rezygnacji z resztek suwerenności, którym będą nadchodzące wybory prezydenckie, to obudzą się w naprawdę nieciekawej rzeczywistości

sprawie – inaczej. „Domykanie systemu” będzie więc oznaczać dalszy rozwój bałaganu prawnego i poznawczego. Co więcej, gdyby cała władza wpadła w ręce ekipy, która ten bałagan wytwarza, skutkiem tego byłoby nie tylko pogłębianie się chaosu w wymiarze sprawiedliwości i poszerzenie zakresu zaburzeń świadomości, lecz także konieczność szerszego jeszcze stosowania przymusu. Młodzi czytelnicy nie zaznali jeszcze rządów przymusu państwowego, więc perspektywę taką bagatelizują, ale zapewniam ich, że to nic przyjemnego.

Słyszeliśmy też ostatnio, że Państwowa Komisja Wyborcza

pana Hołowni wynika także z wyborów w 2023 r. Jest więc jedyne wyjście: bez prezydenta i bez rządu rządzić w Polsce będzie Komisja Europejska. Ktoś przecież rządzić musi.

Jeśli rządzący dziś Polską z werwą zapowiadają taki scenariusz, to być może wiedzą, co robią. Być może właśnie chcą zmienić Polskę w niemieckie land, w ramach unii brukselsko-berlińskiej, w państwo bez własnej gestii gospodarczej i kulturowej, w której urzędnicy brukselscy będą decydować, co mamy uprawiać, komu dostarczać półfabrykaty, ile drzew rąbać, a ile sadzić, komu dostarczać

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Dawna „Zatoka czerwonych świń”, czyli osiedle w Warszawie, gdzie kiedyś mieszkali komunistyczni aparaczkowcy, zamieniło się obecnie w Murzynowo. W blokach po komunistach otworzono hostele dla imigrantów pracujących na uberach. Bijatyki, przemoc, wrzaski, dżeganie nożem – imigranci są bardzo agresywni. Polacy boją się wychodzić z domów.

Policja nie wie, co robić, bo do takich rzeczy ich nie szkolono. Patrol na Murzynowie będzie w mniejszości, czyli zwyczajnie strach jechać. Czarni dookoła radiowozu będą konfrontacyjni, mówienie do nich nie ma sensu, bo nie znają polskiego, legitymowanie ich nie ma sensu, bo nie znają polskiego, aresztować nie ma jak, bo ich dokumenty zawierają słabej jakości zdjęcia, a dla nieobitego Polaka jedna czarna twarz nie różni się od drugiej, więc nie wiemy, czy dokument należy do osoby, która nam go pokazuje; no i jak odczytać to, co napisano w alfabecie etiopskim, arabskim... W dodatku Murzyni są rasistami i wcale się z tym nie kryją, że nie lubią białych. Gardzą nami. Są tu, żeby zarobić, a kraj, który ich wpuścił, jest w ich oczach zwyczajnie głupi – traktują Polskę jak dojną krowę frajerkę.

Murzynowo jest na południu Warszawy, a na północy leży dzielnica Marymont. Oto relacja opublikowana w sieci. Autor podpisał się imieniem i nazwiskiem (Karol Melon) i prosił o udostępnienie. Cytuję: „W dniu 07.12.2024 ok. godz. 12 obywatel Ukrainy napadł i skopał po głowie moją 71-letnią Mamę na przystanku



FOT. W. CEJROWSKI / DZIENNIKARSKA WISCIENKA

autobusowym przy metrze Marymont. Został zatrzymany i odwieziony na komisariat przy Rydygiera. Mamie potrzebna była kilkugodzinna operacja. Proszę, udostępnijcie ten post. Jak będzie głośno o sprawie, to może uda się prokuraturze zastosować areszt. Tak wygląda Mama po spotkaniu tego sk...syna”. Pod zdjęciem fotografia pobitej. Nie chcą państwo tego oglądać.

28 listopada premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer w przemówieniu na temat migracji powiedział tak: „Brytyjczycy mają prawo oczekiwać wyjaśnień. Porażka na taką skalę to nie jest kwestia pecha, globalnych trendów ani chwilowych zaniedbań. Ten poziom porażki oznacza, że zrobiono to z premedytacją, a nie przypadkiem. Celowo zmieniono regulacje prawne, aby ułatwić imigrację. W Wielkiej Brytanii odbył się eksperyment otwartych granic”.

W Polsce odbywa się ten sam eksperyment. Rząd Tuska wydał od początku roku ponad 400 tys. pozwoleń na pobyt dla cudzoziemców, a do tego 2 mln Ukraińców wpuszczono po wybuchu wojny. Premier Wielkiej Brytanii na razie nie powiedział, jak ma zamiar odwrócić to, co zrobiono. W Polsce w ogóle nie ma mowy o naprawianiu szkód – odbywa się dalsze wpuszczanie i przyjmowanie na dużą skalę. W USA Trump ogłosił program masowych deportacji, wyznaczył stosowną ekipę i wszystko wskazuje na to, że mu się uda.

Jak się pozbyć z kraju tych, którzy już tu są? Jak ich zniechęcić do pobytu i zachęcić do wyjazdu? Oto kilka sposobów zapożyczonych z innych krajów. Każdy z tych krajów jest krajem demokratycznym (np. Austria, Hiszpania, USA).

TV Republika podaje koszt budowy trzech centrów integracyjnych dla cudzoziemców w województwie śląskim. Minister MSWiA mówi, że nikt tam nie będzie mieszkał, będą do celów informacyjnych. W kraju ma być ich 49. Zamiast centrów i ośrodków powinno być NIC. Nielegalnych imigrantów należy zabić na pastwę losu, a przede wszystkim zimy. Sami znajdują sposób, aby wyjechać do Niemiec, a jako pierwsi zrobią to Afrykanie, bo oni najgorzej znoszą zimno i śnieg.

Pomocą dla imigrantów mogą się nadal zajmować na własne życzenie organizacje prywatne, typu Caritas, ale nie państwo z pieniędzy podatników. Każda pomoc musi się zawsze wiązać z policyjnym sprawdzaniem paszportu. Podobnie jak w hotelu, gdzie w recepcji trzeba pokazać jakiś dokument. Gdyby w wyniku sprawdzania dokumentów okazało się, że ktoś przebywa na terenie Polski nielegalnie, jest natychmiast wypychany na Białoruś przez furtkę w płocie.

Jeżeli zatrzymany imigrant ma przy sobie jakąś forszę, to trafia do zamkniętego ośrodka, bez możliwości wychodzenia i tam płaci swoje rachunki za skromny wikt i opierunek oraz może zakupić bilet na samolot i opuścić Polskę. Gdyby

komuś się skończyła forsa, to go wysyłamy do nudnej pracy na terenie tego zamkniętego ośrodka, np. do kopania rowów przeciwczołgowych. Większość nielegalnych imigrantów to młodzi mężczyźni w pełni sił, a nie żadne rodziny z dziećmi.

A gdzie powinny się znajdować te zamknięte ośrodki, aby wszystkim było bezpiecznie i nie dało się uciec? Najtaniej wyjdzie na poligonach wojskowych (pomyśl z USA). Armia ma sporo pustostanów koszarowych i pilnuje swoich poligonów. Nielegalni imigranci mogą więc w ramach pracy zarobkowej na własne utrzymanie remontować te stare koszary, w których mieszkają. Jeżeli źle wyremontują, to będzie im się źle mieszkalo. Na koniec kwestia nazwy – słowo „ośrodek” jest niedobre, bo się dobrze kojarzy (z ośrodkiem wczasowym, rehabilitacyjnym i szkoleniowym). Dlatego lepiej posługiwać się nazwą OBÓZ, bo ta nazwa się kojarzy źle. Brzydka nazwa „obóz” będzie zniechęcać lub płoszyć imigrantów, a o to nam chodzi. Ten pomysł pochodzi z Austrii – to tam były obozy przejściowe, w czasie gdy w Polsce trwał stan wojenny. Trafiałeś do obozu jako uciekinier z kraju komunistycznego, a potem z tego obozu do kraju docelowego, który chciał cię przyjąć.

Masowa deportacja imigrantów wcale nie musi się odbywać wprost do kraju, z którego dany imigrant pochodzi. Nielegalni z terenu USA będą odsyłani do Ruandy w Afryce, gdzie będą w obozach czekać na decyzję o deportacji. Dotyczy to ok. 11 mln. osób. Tak zamierza ogarnąć te sprawy nasz strategiczny sojusznik, czyli USA. Można się wzorować. ©©

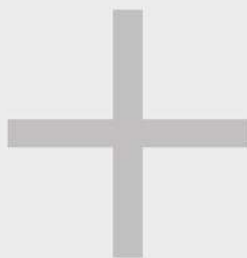
Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~771~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

IWONA KIENZLER:

„ŻONY I KOCHANKI KOMUNISTÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

293,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 478zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpmg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 900b753a8a

Zielony Ład uderza w portfele i wolność obywateli.

Nie możemy pozwolić na zniszczenie

europejskiej gospodarki. Musimy to zmienić.



**Śledź moją
aktywność
w Parlamencie
Europejskim!**

www.ecrgroup.eu

Jacek Ozdoba

POSEŁ DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO



@JOzdoba



@OzdobaJacek



OzdobaJacek



@j.ozdoba



@j.ozdoba